

W szczerzej rozmowie z **BEATĄ NOWICKĄ**
o ćpaniu, życiu na krawędzi i o swojej przemianie

A black and white portrait of Michał Koterski, a man with dark hair and a slight stubble, looking off to the side with a thoughtful expression. The background is dark and out of focus.

**MICHAŁ
KOTERSKI**
**TO JUŻ MOJE
OSTATNIE
ŻYCIE**

znak

W szczerzej rozmowie z **BEATA NOWICKA**
o ćpaniu, życiu na krawędzi i o swojej przemianie

MICHAŁ
KOTERSKI
**TO JUŻ MOJE
OSTATNIE
ŻYCIE**

Wydawnictwo Znak
Kraków 2023

Projekt okładki
Adam Gutkowski
goodkowskydesign.com

Fotografia na okładce
Filip Ćwik

Redaktorka prowadząca
Kinga Janas

Opieka redakcyjna
Anna Szulczyńska

Adiustacja
Katarzyna Węglarczyk

Korekta
Aleksandra Kielczykowska

Łamanie wersji do druku
Piotr Poniedziałek

Copyright © by Beata Nowicka & Michał Koterski
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2023

ISBN 9788324067251

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2023

Skład wersji elektronicznej na zlecenie Wydawnictwa Znak: Monika Lipiec /Woblink

*Człowiek bawi się w nieśmiertelnego i po kilku tygodniach
nie wie nawet, czy dociągnie do jutra.*

Albert Camus *Upadek* (tłum. Anna Wasilewska)

*Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie;
kołaczcie, a będzie wam otworzone. Każdy bowiem, kto
prosi, otrzymuje; a kto szuka, znajduje; a temu, który
kołacze, będzie otworzone.*

Ewangelia Mateusza 7, 7–8, Nowa Biblia Gdańska

ROZDZIAŁ 1

DZIECIŃSTWO, DORASTANIE I PIERWSZE KŁOPOTY

Mottem kultowego filmu *Wszyscy jesteśmy Chrystusami* twojego ojca Marka Koterskiego – w którym zresztą wspaniale zagrałeś, ale o tym porozmawiamy później – był dialog z *Małego Księcia* Antoine’a de Saint-Exupéry: „Co robisz? Piję. Dlaczego pijesz? Żeby zapomnieć. O czym chcesz zapomnieć? Chcę zapomnieć, że się wstydzę. Czego się wstydzisz? Wstyd mi, że piję”.

Twój tato tak opisywał fabularny pomysł na ten film: „Ojciec – Adam Miauczyński – jest kulturoznawcą i alkoholikiem. Od kilku lat niepijącym, leczącym się, trzeźwiejącym alkoholikiem. Film zaczyna się, gdy Adam pyta swojego ukochanego syna Sylwestra, co mu chciał powiedzieć. Syn zwierza się, że kiedyś, pod koniec jego – ojca – picia, on – Sylwek, jego syn – życzył mu śmierci i myślał, żeby go zabić. I opowiada, jak do tego doszło i co pamięta z ich wspólnego życia. A pamięta tylko jego picie i swój strach”.

No to zaczynamy... Byłeś szczęśliwym synem?

Ta historia zabrzmiała jak spowiedź z *Wszyscy jesteśmy Chrystusami*. Moje dzieciństwo było piekłem, tak je pamiętam. Z różnych względów. Byłem chłopcem spokojnym i miłym. A jednocześnie nieśmiałym i wycofanym, unikałem kontaktu z rówieśnikami. Wszystkiego się bałem. Moja mama mówiła: „Misio ma jeden problem. Nie potrafi poradzić sobie z prozą życia”. Tak mają dzieci alkoholików, narkomanów, wszystkich ludzi uzależnionych. Kiedy choruje jedna osoba, choruje cała rodzina. Tato pił, wszyscy cierpieliśmy. Żyliśmy w ciągłym lęku. Nie chodzi

o to, że on wracał do domu i lał matkę. Po prostu przychodził pijany i to budziło lęk.



Zamykałem się w moim pokoiku i bawiłem żołnierzami, których miałem całe pudło. Prowadziłem swoje wojny, czułem się jak w filmie. Wolałem świat fantazji od rzeczywistości. Nie lubiłem, jak ktoś mnie podglądał. Zaaferowany zabawą nie zauważałem, że ojciec to robił. Do czasu, aż pewnego dnia postanowił nakręcić o tym dokument, który zatytułował *Pieśń wojenna*. Bawię się w nim żołnierzami jako czteroletni chłopiec. Nie wyglądam na zachwyconego. Gdy byłem sam, było super, kiedy przyszła ekipa filmowa i rozstawiła sprzęt, strasznie mnie to krępowało. To już nie był mój świat. Zaingerował w niego inny człowiek. Dla mnie – koszmar. Może dlatego kiedy później ojciec proponował mi rólki w swoich pierwszych filmach, odmawiałem. Po pierwsze, nie interesowało mnie jego kino. Po drugie, źle to „granie” zapamiętałem.

Ba, ty nawet nie chciałeś się przyznać, że ojciec jest reżyserem!

Jako dziecko nie miałem pojęcia, co znaczy to słowo. Prawdę mówiąc, „reżyser” kojarzył mi się z leniem. Moja mama była nauczycielką klas I–III, wstawała rano, wyprawiała mnie i siebie na ósmą do szkoły, a mój ojciec spał. Wstawał koło dziewiątej, kręcił się, potem siadał przy biurku i coś pisał. Kilkanaście lat później napisze w scenariuszu *Dnia świra*: „Boję się rano wstać, boję się dnia, codziennie rano boję się otworzyć oczy ze strachu przed świtem, zupełnie nie wiem, co zrobić z nadchodzącym dniem. No nie mogę. (O kurwa... W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego). Mam niby jakieś obowiązki, a przecież – pustka, jakby zupełnie nie miało znaczenia, czy wstanę, czy nie wstanę, czy zrobię coś, czy nie zrobię (ja pierdolę)”.



W dzieciństwie wydawało mi się, że mój ojciec jest obibokiem i nic nie robi. Kiedy mnie w szkole pytali, kim jest tata, mówiłem, że lekarzem albo adwokatem. Dzieci krzyczały: „Kłamie, kłamie! Jego tato jest reżyserem!”, a ja ze wstydu

zapadałem się pod ziemię. Pewnego dnia, byłem wtedy w drugiej klasie podstawówki, wracam do domu, otwieram drzwi, patrzę, a mój tata siedzi z Panem Kleksem przy pomidorowej. Jedzą i rozmawiają. Pomyślałem: „Jezus Maria, mój ojciec zna Pana Kleksa?!”. Dla mnie to nie był Piotr Fronczewski, tylko Pan Kleks. Postać filmowo-bajkowa, niezwykła, magiczna. Usiadłem obok nich przy stole, mama na drugie podała moje ulubione knedle ze śliwkami. Byłem tak zafascynowany widokiem Pana Kleksa, że ich nie gryzłem, tylko połykałem wielkimi kawałkami. Na pożegnanie Pan Kleks podał mi rękę, pogłaskał po główce i wyszedł, a ja z emocji puściłem pawia i knedle wylądowały na podłodze w korytarzu. Do dziś źle mi się kojarzą. Zapytałem wtedy mamę, kto to jest ten „reżyser”, a ona na to, żebym zapomniał o tym zawodzie, bo zmarnuję sobie życie jak tata. Jednak po tej wizycie na pytanie, kim jest mój tata, odpowiadałem: „Nie wiem, ale za to zna Pana Kleksa!”. Dzieci patrzyły na mnie z niedowierzaniem.

Żyliśmy bardzo skromnie. To były czasy, kiedy artyści i tak zwana inteligencja generalnie biedowali. Matka brała dodatkowe dyżury, ojciec pracował w Wytwórni Filmów Oświatowych. Robił dokumenty, był sfrustrowany, bo skończył polonistykę, historię sztuki i reżyserię, spędził dwa lata na ASP, na wydziale malarskim, generalnie całe życie się uczył, a tu bida, znój i zero perspektyw. Matka była zajęchana od roboty, a ojciec nieszczęśliwy. W sumie obydwójce byli nieszczęśliwi, a w domu panował mrok.

Posmak luksusu dawała telewizja, w której leciała wtedy *Niewolnica Isaura* i jazda figurowa na lodzie. U nas stał czarno-biały telewizor, więc mama chodziła do sąsiadki, posiadaczki kolorowego odbiornika. A ja chodziłem do domowego przedszkola, dwa bloki dalej. Prowadziła je mama Dorotki, jej mąż był taksówkarzem. Dorotka była moją jedyną przyjaciółką: ja nieśmiałe chucherko, ona dorodna dziewczynka, która wszędzie ciągała mnie ze sobą. Mieli elegancki wypoczynek, kredens i wideo, na którym oglądaliśmy pirackie bajki kupione pod stadionem ŁKS-u. Za zgodą swojej mamy Dorotka poszła rok wcześniej do szkoły, żeby móc się mną opiekować! Taki byłem maminsynek. Zawstydzony, zakompleksiony, lękowy. Miałem trudności z nawiązywaniem kontaktów

z rówieśnikami, dzieci bawiły się na podwórku, ja stałem w bezpiecznej odległości i obserwowałem. Od małości porównywałem się z innymi i na ich tle zawsze wypadałem gorzej. Dorotka działała na mnie mobilizująco. Uwielbiałem chodzić do ich domu, bo tworzyli pełną rodzinę: mama, tata i dwie córki. Wszyscy się kochali. Czuję się tam bezpiecznie.

Wielki nihilista Nietzsche – który sam zresztą nie miał żony – pisał: „To nie brak miłości, lecz brak przyjaźni sprawia, że małżeństwa są nieszczęśliwe”.

Miał rację. Tyle że moi rodzice ani się nie kochali, ani się nie przyjaźnili. Odkąd pamiętam, żyli jak pies z kotem, każde w swoim pokoju. Na szczęście mieliśmy dosyć duże jak na tamte czasy mieszkanie: sześćdziesiąt metrów, trzy pokoje z kuchnią, na piętnastym piętrze jednego z bloków na słynnym Manhattanie, w centrum Łodzi. Ojciec dostał je od ministra kultury za najlepszy dyplom na reżyserii w Filmówce. Każde z nas żyło w swojej bańce: mama – ambicji, ja – fantazji i marzeń, a ojciec w bańce frustracji i niespełnienia. Rodzice rozwiedli się, kiedy miałem sześć lat, ale wciąż mieszkali razem. Nie miałem do mamy pretensji, no bo gdzie miała ze mną pójść? Pod most? Ale nie ma chyba nic gorszego niż rodzice, którzy żyją w nienawiści pod jednym dachem. Oni nie mogli na siebie patrzeć. Kłótnie wybuchwały o najdrobniejsze rzeczy, na przykład niedokładnie zakreconą tubkę pasty do zębów. A najgorsze, kiedy ojciec wracał pijany, czasem zaszczany. Matka była wściekła, że dziecko widzi ojca w stanie upodlenia i cierpi, więc się na nim wyżywała – raz z bezsilności dziabnęła ojca nożem kuchennym w rękę – ale nie rozumiała, co te awantury znaczą dla mnie. Nie radziła sobie z jego pijaństwem, nie wiedziała, co ma zrobić. Chciała dobrze, a wychodziło źle. Któregoś dnia ojciec zamontował zamek w drzwiach swojego pokoju. Czasem leżałem tam dwa, trzy dni i nie wychodziłem. Nie wiedzieliśmy, czy zapił się na śmierć, czy wciąż żyje. Dla dziecka to była psychiczna gehenna. Tego, co wtedy przeżyłem, nie da się – jak mówi dzisiaj młodzież – ani odsłyszeć, ani odzobaczyć. Piekło na ziemi. W tym piekle się wychowywałem.

Kiedy ojciec wyprowadził się do Warszawy, to był jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu. Miałem wtedy piętnaście lat.

Premiera filmu *Wszyscy jesteśmy Chrystusami* odbyła się dwudziestego pierwszego kwietnia 2006 roku. Twój tato mówił wtedy w wywiadzie: „Pierwszym powodem powstania filmu i jego głównym motywem osiowym są bolesne wspomnienia syna Sylwka o picciu jego ojca Adama. Naprzemianlegle do tego zaczyna się w ojcu odwijać taśma własnych wspomnień, tworzących – wraz z opowiadaniem syna – listę największych strat i ran, zadanych przez picie sobie i bliskim”.

Taśma twoich wspomnień też ma sceny okrutne.

Całą podstawówkę nie lubiłem wracać do domu. Bałem się tych powrotów. Przy wejściu do naszej klatki były schody i podjazd dla dziecięcych wózków, ale tak ostry, że żaden wózek nie mógł po nim zjechać. Posypywaliśmy go piachem z piaskownicy i zjeżdżaliśmy na kartonowych pudłach, to była nasza ulubiona podwórkowa zabawa. Całymi dniami – w lecie nawet do dwudziestej pierwszej, już zupełnie sam – zjeżdżałem do upadłego, jak potępieniec na tej zjeżdżalni, bo nie chciałem wracać do domu.

Nienawidziłem szkoły, mimo że dobrze się uczyłem. Tata potem genialnie odmaluje ten świat w *Siedmiu uczuciach*. Bałem się rzeczywistości i rówieśników. Nawet jeśli znałem materiał, wywołany do tablicy, nie byłem w stanie wydukać zdania. Spojrzenia kolegów i koleżanek mnie paraliżowały. Wydawało mi się, że wszyscy mnie oceniają, jak ktoś się śmieje, to ze mnie. Byłem więźniem własnego umysłu. Nie radziłem sobie z tym, że trzeba wstać, umyć zęby, ubrać się, spakować torbę. Strasznie mnie to spinało. Przez lata tak bolał mnie brzuch, że całą drogę do szkoły z nerwów puszczałem bąki... Nigdy tego nie zapomnę. Ciągle wagarowałem, a mama pisała mi usprawiedliwienia: „Misio chory”. Nikt mnie nie męczył, bo jednocześnie przynosiłem dobre stopnie. Byłem szczęśliwy, kiedy ojciec wyjeżdżał na plan zdjęciowy albo do Wytwórni Filmów Fabularnych we Wrocławiu, bo mama była wtedy spokojna. Korzystałem z tego. Niby wychodziłem

do szkoły, ale szedłem piętro wyżej i na klatce schodowej czekałem, aż mama wyjdzie z domu. Potem wracałem, zasłaniałem okna i uciekałem w sen. Spałem do dwunastej. Któregoś lata pod naszym domem otworzyła się pierwsza wypożyczalnia kaset wideo. Bardzo szybko zostałem najlepszym klientem. Brałem kasety „na kreskę” i do powrotu mamy oglądałem filmy. Czasami, kiedy późno wracała z dyżuru czy drugiej zmiany, potrafiłem obejrzeć pięć–siedem filmów! Po powrocie ojca wybuchały awantury. Był wściekły, że musi spłacać moje długi w wypożyczalni. Za każdym razem prosił właściciela, żeby nie dawał mi więcej kaset, ale on zawsze dawał się namówić. Widział, że jestem maniakiem kina i kocham filmy. Nie miał serca mi odmówić. Przynosiłem kolejne zdobycze do domu i zanurzałem się w filmowych historiach. Cały dzień był bajką. Chyba wtedy, podświadomie, zacząłem uczyć się aktorstwa. Co tylko było do oglądania, oglądałem. Nie przebierałem. Horrorzy, westerny, filmy wojenne, każdego typu kino kategorii B. Ojciec nienawidził filmów z van Damme’em, ja uwielbiałem. Lubiłem też komedie romantyczne. Może dlatego, że ta miłość była nieprawdziwa. Ona sprzątaczką, on księżę, spotkali się, pokochali i żyli długo i szczęśliwie. Bajkowe historie, które tak naprawdę się nie zdarzają. Albo się zdarzają, tylko nikt nie opowiada o tym, co dzieje się później, kiedy film się kończy, a zaczyna prawdziwe życie. W podstawówce przytrafiła mi się taka miłość. Bez happy endu, oczywiście.



Każdy z nas ma taką w życiorysie. Opowiedz.

W szóstej klasie przygotowaliśmy przedstawienie *Kopciuszek*. Mieliśmy szkolnego lover boya Maćka. Syna milicjanta, twardziela: na przerwach bił się na boisku ze starszymi kolegami, uwielbiały go wszystkie dziewczynki. Maciek dostał rolę księcia, ja halabardnika, niemą. Kopciuszką została najładniejsza dziewczyna w klasie. Tydzień przed premierą nasz przystojny kozak się rozchorował. Nie wytrzymał napięcia. Wtedy zrozumiałem, że w aktorstwie nie wystarczy mieć talent czy wygląd. Sztuką jest wyjść przed ludzi i wytrzymać ciśnienie setek spojrzeń wbitych w ciebie.

Wybuchła panika. Co teraz będzie z przedstawieniem? Zgadnij, kogo nauczyciele w to wmanewrowali?

Ciebie!

Do dziś nie wiem dlaczego.

Bo miałeś ojca reżysera i założyli, że drzemie w tobie jakiś talent?

Pytanie, jak go dostrzegli. Byłem typowym maminsynkiem i gamoniem. Nigdy z nikim się nie biłem. Popychadło. Dwie lewe ręce do sportu i koślawy chód. Jak z dialogu w *Ajlawju*, kiedy Pazura mówi do Buczkowskiego: „Co on tak biega z palców na piętę? To chyba z pięty na palce trzeba? No, kolana ma szpotawe. To chyba u konia tylko?! Nie, u dzieci też”. Tydzień przed premierą pasowali mnie na księcia. Do dzisiaj mam zdjęcia: w koszuli mamy i jej złotych bucikach, które jakimś cudem na mnie pasowały. Zagrałem tę rolę tak, że ze szkolnego melepety stałem się gwiazdą. Całą podstawówkę na dyskotekach wstydziłem się podejść do dziewczynek. Żadna nie zwracała na mnie uwagi. Po tym przedstawieniu same do mnie podchodziły. Każda chciała zatańczyć z księciem. Pomyślałem wtedy: „To jest zarąbisty zawód, ten aktor”. Paulina, najładniejsza dziewczyna w całej szkole, rok starsza ode mnie, nagle mnie zauważyła. Zawsze strasznie mi się podobała, ale wiedziałem, że jest poza moim zasięgiem. Była tak ładna, że kochały się w niej wszystkie chłopaki. Jak widać, zawód aktora czyni cuda. Jakiś czas później obie nasze klasy pojechały na wycieczkę szkolną, gdzie bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Nie wierzyłem w swoje szczęście. Byłem wniebowzięty i... zestrachany. Ja z biednego domu, ona z bogatego. Ja – melepeta, ona – gwiazda szkoły i osiedla. Zachodziłem w głowę, jak to się stało, że wszyscy smalili do niej cholewki, nawet dużo starsi chłopcy z forszą i furami, a ona wybrała mnie: bidoka i fajtkapę.



Była śliczna, strasznie ją kochałem. Chodziliśmy naokoło bloków na Manhattanie, trzymając się za ręce. Po każdym spacerze otrzymywałem pogrożki: „Kurwa, jak cię jeszcze raz zobaczę z Pauliną, to masz wpierdol”. Czasem ktoś mnie dopadał i tłukł, dostawałem w pysk albo kopniaka w dupę. Któregoś dnia na nasze podwórko zawitali chłopcy z innego osiedla. Chcieli nam, smarkaczom, spuścić łomot i zabrać pieniądze. Ale mieli pecha, bo na ławce siedział Kurzawa, czternastoletni dzieciak z ósmej klasy, który zadawał się z dużo starszymi łobuzami. Znał nawet bandziorów spod Grand Hotelu i na tej ławce, która była jego kwaterą główną, robił z nimi dziwne interesy. Wtedy stanął w mojej obronie: „Po co zaczepiacie tego małolata? Do nas przyjdźcie”. Dali się nabrać i Kurzawa z kumplami spuścili im taki łomot, że aż żal było patrzeć. Po wszystkim powiedział: „Słyszałem, że chodzisz z Paulinką. Masz przejebane na osiedlu, ale ja ci pomogę. Podobno jeden gościu wynajął nożownika, żeby cię dziabnął w windzie. Miej oczy z tyłu głowy”. „Jezus Maria, zabiją mnie za tę dziewczynę!” – panikowałem i... pęcniałem z dumy.

Miałem rok starszego kolegę Mikołaja, najlepszego przyjaciela Borysa Szycy, który wtedy jeszcze Szycem nie był, tylko Borysem Michalakiem. Obaj mieli fajne dziewczyny, ale główkowali, jak to jest możliwe, że Paulinka wybrała właśnie mnie. Ironia losu. Uważali się za wielkich podrywaczy, szczególnie mój kumpel Mikołaj, który za moimi plecami próbował odbić mi dziewczynę. Ale Paulina dała mu kosza. Była moją wielką miłością. Pierwszą i niewinną. Jedyna nasza pieśczoć erotyczna, jeśli można to tak nazwać, polegała na tym, że dotykałem jej aksamitnych włosów. Nigdy się nie całowaliśmy.

Niedawno byłem w Łodzi na zdjęciach do filmu, w przerwie poszedłem na spacer na Manhattan i wszystko do mnie wróciło. Przypomniałem sobie, jak całymi dniami przesiadywałem na ławce, gapiąc się w jej okno na dziewiątym piętrze. I marząc o niej.

Powiedziałeś, że to historia bez happy endu.

Paulina rok wcześniej niż ja skończyła podstawówkę i zdała do XXVI Liceum Ogólnokształcącego, najlepszego w Łodzi. Zresztą Borys Szyc też poszedł do tego liceum i tam, od konkursów recytatorskich, zaczęła się jego kariera. Jakiś czas jeszcze mieliśmy z Pauliną kontakt, ale powoli się rozmywał. Ona chodziła do liceum, ja wciąż do podstawówki, to się stało krępujące. Chyba jesienią wyjechała na szkolną wymianę do Heidelbergu. Pamiętam, bo przysłała mi stamtąd pocztówkę, że bardzo za mną tęskni. Pytała, dlaczego nie odpisuję na jej listy. A ja chyba czułem się porzucony, bo nie rozumiałem, że szkoła za granicą może być ważniejsza od miłości. Zresztą wtedy trudno było utrzymać relację na odległość. Warto przypomnieć, że nie mieliśmy ani FaceTime'a, ani telefonów komórkowych. W każdym razie bardzo cierpiałem, a tę kartkę mam do dzisiaj. Wtedy doznałem pierwszego zawodu miłosnego, moje serce zostało złamane.

W naszych dwudziestopiętrowych wieżowcach były ogromne drewniane jednoszybowe okna. Uchylane w pionie albo w poziomie, wiecznie zepsute. Trzeba było uważać, żeby przy otwieraniu okno nagle nie wypadło z zawiasów. Często wieczorami leżałem na łóżku i patrzyłem na niebo. Pewnego dnia, miałem wtedy

może siedem lat, na szybie pojawiła się poświata, zarys białej postaci. Uśmiechała się do mnie łagodnie. Opowiedziałem o tym rodzicom, ale uznali, że poniosła mnie wyobraźnia. Do tej pory nie wiem, czy to była prawda, czy mój wymysł. Byliśmy rodziną wierzącą, ale niepraktykującą. Nie chodziło się do kościoła, nie rozmawiało o Bogu ani nie czytało Biblii. Czemu ci o tym mówię? Bo już wtedy wierzyłem, że nie jestem sam na tym świecie. Że jest Ktoś, kto się mną opiekuje. Tamtego dnia zacząłem się modlić. To nie były prawdziwe modlitwy, raczej dziecięce zwierzenia.

Kiedy poznałem Paulinę, okazało się, że chodzi do kościoła. Niedziela była moim ulubionym dniem. Uwielbiałem spać, a tylko w niedzielę mama mnie nie budziła. Nie musiałem sterczeć na klatce schodowej, czekając, aż wyjdzie z domu i będę mógł wrócić do łóżka, tylko bezkarnie mogłem się wyspać. Tymczasem Paulina chodziła na dziewiątą do łódzkiej katedry i ja co tydzień, w geście miłości, zasuwalem na niedzielną mszę, żeby na nią popatrzeć! Nie wiedziałem, kiedy należy klęknąć, wstać, przeżegnać się, nie znałem modlitw – zresztą do dziś nie interesuje mnie bezmyślne klepanie zdrowasiek – ale w kościele czułem błogostan. Wychodziłem szczęśliwy i uspokojony. Miałem poczucie, że rzeczywiście istnieje jakaś siła wyższa i otacza mnie miłością, której tak bardzo mi brakowało. Pan Bóg zapraszał mnie do siebie już w dzieciństwie.

W siódmej klasie postanowiłem przystąpić do bierzmowania. Rodzice się nie sprzeciwiali. Na egzaminie ksiądz zapytał: „Jakie wybrałeś imię?”. „Jerzy”. „A co wiesz o świętym Jerzym?” „Nic”. „To dlaczego wybrałeś to imię?” „Mój dziadek ma imię Jerzy, jest moim idolem, chcę mu sprawić przyjemność i oddać hołd”. To księdza ujęło: „Jeśli znajdziesz w Biblii fragment Apokalipsy świętego Jana Apostoła o walce ze smokiem, masz zaliczone”. W życiu nie miałem Biblii w rękach. Kiedy ją dostałem od mamy, otworzyła się dokładnie na tej opowieści, o którą prosił ksiądz. To był znak. Potem napisałem wypracowanie: „Wiara w życiu człowieka”. Na piątkę z plusem. Ojciec niedawno odnalazł je w swoich papierach, zadzwonił do mnie wzruszony. Przeczytam ci, nie jest długie.

Dobrze.

„Moim zdaniem wiara w życiu człowieka jest bardzo potrzebna, ponieważ gdy wierzymy, mamy jakiś cel w życiu. Wierzymy, że kiedy umrzemy, pójdziemy do nieba i nasza dusza będzie oczyszczona. Gdybyśmy nie wierzyli, nasze życie nie miałoby sensu. Tak naprawdę nie wiedzielibyśmy, po co żyjemy. Wiara podpira nas na duchu. W kłopotcie możemy zwrócić się do Boga o pomoc. Możemy się pomodlić. Możemy pomodlić się za zdrowie rodziców. Kiedy ktoś z naszych bliskich jest ciężko chory, możemy się też za niego modlić. Wiara jest nam również potrzebna do zbawienia. Wiarę musimy podpirać dobrymi uczynkami. Wiara to znaczy przyjąć wszystko, co głosił Bóg, i uznać to za prawdę. Trzeba na to odpowiedzieć miłością, szczerością i posłuszeństwem”.

Zrozumiałem, że Bóg był mi potrzebny od zawsze. Wiązałem z Nim wielkie nadzieje.

Zanim dotarłeś do Boga, przeszedłeś długą, wyboistą drogę. Liceum to był symboliczny początek końca...

... dobrego, kochanego Misia. Dostałem się do jednego z najlepszych liceów, XXI Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi. Po pół roku dyrektor wezwał mamę i powiedział, że musi mnie relegować, bo ja do tej szkoły w ogóle nie chodzę. Mama przeniosła mnie do równie dobrego XX LO, ale tam było jeszcze gorzej. Nadal kumplowałem się z Mikołajem i paroma innymi chłopakami, to była moja paczka. Zaczęły się papieroski, piwka, tanie wina, dyskoteki, a przede wszystkim klub bilardowy Blue Monday przy Piotrkowskiej 55, który do dzisiaj wszyscy w Łodzi pamiętają. Kolebka słynnych afer i muzyki: rave, techno, drum and bass. Przychodziła tam śmietanka z całego miasta: pierwsi biznesmeni, politycy, ludzie kultury, lokalne gwiazdy i... przestępcy.

Tam się narodziła moja miłość do gangsterów.

Klub był otwarty od dziesiątej rano. Trzeba było przebujać się gdzieś dwie godziny i już można było siedzieć w ciepłku. Mikołaj z chłopakami byli

zapalonymi graczami, codziennie grali w „pula” albo w „ósemkę”. Oczywiście na pieniądze. Można było sporo wygrać. Ustalało się konkretne kwoty od wygranej partii, a przegrany płacił również za stół, więc jeśli chłopaki wygrywały, nie tylko zgarniały kasę, ale jeszcze mogliśmy pograć sobie za darmo. Ja grałem głównie dla towarzystwa, pociągało mnie coś innego. Wieczorami w klubie zbierała się gangsterka z całego miasta, podjeżdżały superfury i wysiadały piękne dziewczyny. W sali niedostępnej dla innych gości faceci palili marihuanę i grali w pokera za ogromne pieniądze. My siedzieliśmy na kanapie i ich podziwialiśmy, każdy chciał być taki jak oni. W tamtych czasach jeśli jeździłeś polonezem, byłeś kozakiem. Renault fuego czy inne zagraniczne auto to była już petarda. Mało kto mógł sobie na to pozwolić. Mój ojciec jeździł znanym z filmu *Nic śmiesznego* pomarańczowym trupem, czyli rozklekotanym maluchem, który trząsał się jak galareta i do którego trzeba było wsiadać od strony pasażera, ponieważ drzwi kierowcy były zakleszczone. Nie imponowało mi to w żaden sposób. Opowiadałem, że ojciec ma mitsubishi pajero, które faktycznie stało pod naszym blokiem i było widoczne z piętnastego piętra mojego wieżowca, ale tak naprawdę należało do rodziców Pauliny.

Gangsterzy z Blue Monday mieli wszystko: piękne samochody, piękne dziewczyny i pieniądze. Moja przyszłość została wytyczona: postanowiłem, że będę gangsterem.

Spotykamy się już od jakiegoś czasu i rozmawiamy o mojej przeszłości...

... w twoim mieszkaniu, przy herbacie. Ty opowiadasz, a ja słucham, nie oceniam. „Jestem człowiekiem uchem – mówiła genialna Swietłana Aleksijewicz. – Istnieje część ludzkiego życia – ta mówiona – której nie udaje się zawłaszczyć dla literatury. Mnie jednak oczarowała i uczyniła swoją niewolnicą. Kocham to, jak człowiek mówi”. Jestem tutaj po to, żeby wysłuchać twojej historii.

Kiedy wczoraj wyszłaś, zostałem sam, kompletnie zdewastowany emocjonalnie. Nagle przeszłość wróciła do mnie z całą siłą. Poczułem się jak mały, zbity piesek.

Takim zbitym pieskiem byłem przez wiele lat. Uzależnienie rodzica odbiera dziecku pewność siebie, zrozumiałem to na terapii wiele lat później. Dziecko przesiąka wstydem i różnymi kompleksami już od małości. Trudno, żeby było inaczej, kiedy twój tata, odprowadzając cię do szkoły, leje na drzwi sąsiadki. Potem sąsiadka puka do was i prosi: „Misiu, mógłbyś ojcu przekazać, żeby nie sikał na moje drzwi, jak następnym razem będzie cię odprowadzał do szkoły”. Kiedy opowiadam to po dwudziestu pięciu latach, brzmi śmiesznie, ale wyobraź sobie dziesięcioletniego chłopca, który tego doświadcza.

Odkrycie Blue Monday stało się przełomem. Garstka pogubionych dzieciaków z domów alkoholowych, zaniedbanych, z domów bez miłości – większość tych chłopaków wychowywała się z samotnymi mamami – odnalazła wsparcie i siłę wśród ludzi, którzy tą siłą emanowali. Dla nas ten klub stał się drugim domem. Nikogo i niczego już się nie bałem, bo wiedziałem, że stoją za mną ludzie, których bali się wszyscy. Mieliśmy po czternaście, piętnaście lat, byliśmy dla tych gangsterów maskotkami. Wiedzieli, że przychodzimy ich podziwiać, i to im się podobało.

Kiedy w klubie paliłem papierosy, piłem piwo czy zaciągałem się pierwszym w życiu jointem, nie spodziewałem się, co mnie czeka. Ekscytowało nas, że gangsterzy nas lubią, że dostajemy od nich za darmo dobry towar. Paliliśmy marihuanę i myśleliśmy, że oto ktoś nam nieba uchylił. Wszystko stawało się piękniejsze. Oczywiście była to tylko iluzja, ale iluzja nam potrzebna. Potem wracaliśmy do naszych rozbitych domów i awantur. Nawet jak siedziało się na ławce, paliło jointy i patrzyło na te obskurne dwudziestojednopiętrowe bloki, to w chmurze upojenia odlatywało się w sferę marzeń. Będąc na blokach, tak naprawdę na nich nie byłeś. Marihuana dawała nam możliwość ucieczki.

Ojciec wyprowadził się do Warszawy, kiedy zdałem do liceum. Mama została z chłopakiem, który najbardziej potrzebował ojca – autorytetu, ojca, który go utemperuje. Pierwszą klasę w ogóle zawałem i z tego XX LO też mnie wyrzucili. Zaczęły się poważne problemy, ale mama jeszcze wtedy w ogóle nie miała pojęcia, co robię, gdzie chodzę, z kim się zadaję. Nie bardzo wiedziała, co się ze mną

dzieje. Myślała, że jestem tylko nadwrażliwy, i traktowała mnie z wyrozumiałością, nie robiła mi żadnych scen. Kiedy pojawiał się problem, powtarzała: „Misiu, jesteś najlepszy, zostaniesz kimś i będziesz miał wspaniałe życie!”. Zaklinała rzeczywistość. Ojciec był realistą, w takich chwilach pytał: „Ale powiedz mi, w czym ty jesteś najlepszy?! Przecież masz pały z góry do dołu!”. A mama wtedy mówiła: „Nie słuchaj tego starego wariata, i tak będziesz wielki”. Tymi słowami zaszczepiła we mnie wiarę, że cokolwiek by się działo, coś w życiu osiągnę. Nigdy się ode mnie nie odwrócili. Akceptowali mnie. Dziś wiem, że popełnili błąd, bo skupili się na tak zwanym partnerstwie. Nastolatek nie jest żadnym partnerem dla rodzica. Niedawno usłyszałem – i bardzo mi się spodobała ta myśl – że chłopca do piątego roku życia powinno się wychowywać jak księcia, od piątego do piętnastego jak niewolnika, a od piętnastego jak partnera. Wtedy partnerstwo zdaje egzamin. Mnie śruby nikt nie przykręcał. Obydwoje rodzice czuli wyrzuty sumienia i chcieli mi zrekompensować wszystkie krzywdy, prawdziwe i wymaginowane.

Mama po naradzie z ojcem znalazła prywatne liceum na ulicy Rajdowej, na Retkini, i tam od nowa zacząłem pierwszą klasę. Na Rajdową chodziły „orły” z całej Łodzi: outsiderzy i czarne owce, czyli młodzież „specjalnej troski”, nieprzystosowana, połamana emocjonalnie. Dzieci artystów, decydentów i syn szefa łódzkiej „ośmiornicy”, którego ochroniarze przywozili codziennie piękną furą. Wtedy wszyscy mu zazdrościliśmy, że ma pieniądze i ojca – szefa mafii. Dzisiaj wiem, że to była kolejna iluzja. Niedawno dowiedziałem się, że wrócił z entej imprezy i już się nie obudził. Serce w końcu nie wytrzymało. Był rok młodszy ode mnie. Równie dobrze to mogłem być ja, gdybym osiem lat temu się nie zatrzymał.

O naszej szkole mówiło się na mieście, byliśmy gwiazdami, co niestety wiązało się z narkotykami i imprezami techno. Smutne i śmieszne, ale cieszyliśmy się prestiżem wśród innych dzieciaków. Wierzyliśmy, że jesteśmy wyjątkowi.

Tvoja mama kiedyś mi powiedziała: „Chciałam Miśka przeprosić za wszystko, co w jego życiu było nie tak, jak powinno”. Uważasz, że mama ponosi

odpowiedzialność za twoje porażki?

Całe życie patrzyłem, jak moja matka obwinia się za wszystko: za nieudany związek, za brak zwyczajnego domu, za to, że mam problemy z różnymi uzależnieniami, że tak, a nie inaczej potoczyło się moje życie. Zawsze będzie się winić, choć starała się być i ojcem, i matką. Przez lata oskarżałem rodziców, że popsuli mi życie. Nie zdałem w szkole, zatrzymała mnie policja, nie wyszło mi z dziewczyną – to była ich wina. Wykorzystywałem ich słabości, a oni to przyjmowali z pokorą. Wbijałem im nóż w serce, traktowałem jak worek treningowy, ale byłem egoistą i nie chciało mi się o tym myśleć. Byli dla mnie za dobrzy. Po latach zrozumiałem, że nie potrafili spełnić mojego jedyne marzenia: z dzieckiem trzeba być, okazywać mu czułość, bawić się z nim. Za to całe życie ich karałem.

Ale też siebie, z czego wtedy nie zdawałeś sobie sprawy. Siebie najostrzej.

To prawda. Do miliona rzeczy musiałem dorosnąć. W liceum na Rajdowej paliłem już dużo marihuany. Kiedy do szkoły przychodziła mama i pytała, co tam u Michała, wychowawczynie mówiła: „Michał nawet jak jest na lekcjach, to go nie ma. Cały czas patrzy w okno”. Zawsze chciałem być gdzie indziej, więc przenosiłem się tam myślami. Uciekałem od prozy życia. Nie radziłem sobie z nią. Była dla mnie nieatrakcyjna. Kiedy nadszedł TEN dzień, byłem gotowy. Na imprezie techno w Blue Monday, gdy już wypiliśmy kilka browarów, zapaliliśmy marihuanę, jakiś chłopak poczęstował nas amfetaminą. Wtedy spróbowałem amfetaminy pierwszy raz. Zakochałem się w narkotykach i była to miłość od pierwszego wejrzenia. Dostałem coś, na co czekałem całe życie: poczucie mocy. Złudnej, ale wtedy tego nie wiedziałem. Wszystkie łańcuchy, którymi byłem spętany: pijaństwo ojca, wstyd, lęk, nieśmiałość, nagle spadły. Wydawało mi się, że narkotyki są odpowiedzią na wszystkie moje problemy.

Gangsterzy nas lubili i często stawiali nam różne rzeczy, mieli forszę, która łatwo im przyszła. Nasze imprezy były na ich koszt. Ale nigdy nie pozwalali nam brać twardych narkotyków. Inni mogli, my nie. Jeden z nich, Krzysiek, już na początku wziął mnie pod swoje skrzydła. Tamtego dnia od razu poznał, że jestem pod wpływem. Wpadł w furję: „Kto ci dał amfetaminę?!”. Jak na spowiedzi wyśpiewałem, że Łapciuch. Krzysiek go odnalazł i sprzął. Do mnie powiedział: „Jeszcze raz zobaczę, że wzięłeś amfetaminę, to dostaniesz tak jak on. Jasne!?”. Jasne, ale... było już za późno. Spróbowałem tego narkotyku i poczułem się tak, jakby ktoś mnie dotknął magiczną różdżką.

W pewnym momencie paliłem tyle marihuany, że nie byłem w stanie skupić się na lekcjach ani niczego nauczyć. Przed ważnymi sprawdzianami brałem gram amfetaminy i przez jedną noc potrafiłem przyswoić materiał z dwóch miesięcy. To było niesamowite uczucie. Tylko Lucyfer w podziemiach piekła mógł wymyślić taką substancję. Narkotyki nie zabierają ci wszystkiego od razu. Wystawiają rachunek z odroczonym terminem płatności, na tym polega ich fenomen. Na początku dają ci to, czego pragnąłeś: moc, euforię, miłość. A kiedy już nie potrafisz bez nich żyć, odbierają ci wszystko po kolei: od emocji i uczuć, przez wrażliwość, po godność i życie. Na pewnym etapie w głowie, w myślach nie pozostaje ci już nic poza obsesją brania, poza tym szeptem: weź mnie, weź mnie, weź mnie. Widzisz tylko narkotyki. Cała reszta przestaje się liczyć: twoi bliscy, nauka, twoje pasje. Na własne oczy widziałem upadek Kaczora, mistrza karate juniorów. Na Manhattanie każdy chciał być taki jak on. Dla amfetaminy i heroiny rzucił sport, a potem oddał życie.

Rozumiem, że miłość też nabrała dla ciebie innego posmaku?

Kiedy zakochałem się w amfetaminie, wpadła mi w oko Sylwia z równoległej klasy. Odkąd zamieszkała w moim sercu, polubiłem chodzenie do szkoły, chodziłem tylko po to, żeby ją zobaczyć na korytarzu, żeby spotkał się nasz wzrok, żeby stanąć blisko i poczuć jej zapach. Na wycieczce szkolnej zakochaliśmy się w sobie bez pamięci. To był najdłuższy związek w moim życiu, trwał dziewięć lat.

Sylwia była naocznym świadkiem mojego uzależnienia w najbardziej skrajnej postaci aż do momentu, kiedy ode mnie odeszła, bo – jak sama powiedziała – nie mogła dłużej patrzeć, jak na jej oczach umiera osoba, którą najbardziej kocha. Wiedziała, że nie może mi pomóc. To mogę zrobić tylko ja.

Jednak zanim cię zostawi, dziewięć kluczowych lat twojego życia spędzicie razem. To dużo.

Wiem. Byłem szczęśliwy. Na początku żyłem odurzony miłością i narkotykami. Zdawałem z klasy do klasy, amfetamina mi w tym cały czas pomagała. Chodziłem do klubu, grałem w bilard, odkryłem LSD i ecstazy. Łódź stała się mekką oldskulu, jungle i drum and bassu. Zorganizowano pierwszą w Polsce wzorowaną na berlińskiej łódzką Paradę Wolności. Ulice Piotrkowska, Piłsudskiego i okolice Centralu wypełniły się tysiącami młodych ludzi tańczących do głośnej muzyki puszczanej z ciężarówek. Nam w tym liceum wydawało się, że jesteśmy najbardziej wyjątkową młodzieżą na świecie, a Łódź – najcudowniejszym miastem, do którego ciągną ludzie z całej Polski. Kwitła scena klubowa, pojawił się słynny Alcatraz, gdzie grali najlepsi didżeje: Amnesia, DJ Tornado, DJ Dukee czy DJ Mono, który słyszał tylko na jedno ucho. W Alcatraz ludzie tańczyli całą noc, machając łapami w białych rękawicach, z czołami wysmarowanymi odblaskowymi mazakami, których kolor podkreślało wszechobecne ultrafioletowe światło. Infinity, Exwookie i Nobis założyli Sonic Trip, jedną z najbardziej znanych grup drumandbassowych w Polsce. To wszystko napompowywało mnie entuzjazmem. Żyło się od weekendu do weekendu. W dniu, w którym otwarto w Łodzi restaurację McDonald's, prawie nikt nie przyszedł do szkół na pierwsze lekcje, wszyscy stali w kolejce u McDonalda, żeby kupić shake'a i cheeseburgera. To było niesamowite wydarzenie, całe miasto o tym gadało. Każdy chciał usłyszeć szelest odwijanego papierka z cheeseburgera i poczuć ten smak. Potem pojawiła się Pizza Hut. Nagle ten szarobury świat nabierał kolorów. Okraszony narkotykami wydawał się jeszcze piękniejszy.

Mama wciąż żyła w nieświadomości, co się z tobą naprawdę dzieje?

Mama całe życie chciała wynagrodzić mi ojca alkoholika i biedę w domu. Brała dodatkowe zmiany, fuchy, wiecznie była zagoniona. Zawsze mnie ładnie ubierała i zabierała na zakupy. Zresztą ojciec też o mnie dbał. W nowym sklepie Levi'sa kupił mi słynną pomarańczową kurtkę, którą nosiłem w *Dniu świra*. Między mną a Markiem toczył się o nią słynny dialog:

„– Sylwuniu, to jednak samobójstwo było kupować ci jaskrawopomarańczową kurtkę Levisa.

– Livajsa.

– Livajsa, jeszcze cię gdzieś zabiją przez nią.

– Jest zajebista.

– Tyle napadów teraz...

– Napadów... Ty jesteś, tato...”.

Jak pojechał na stypendium do Stanów, przywiózł mi pierwsze jordany. Co wieczór czyściłem je gumką, stawiałem na regale i zasypiałem, patrząc na nie. Takich jordanów nikt nie miał. Cała szkoła mi zazdrościła. Wtedy w polskich sklepach były dostępne sportowe buty z plastiku, które natychmiast załamywały się w zgięciu i robiły się tam dziury. Poza tym stopy się w nich tak pociły, że smród po zdjęciu był nie do zniesienia.

Kiedy tata się wyprowadził, przejąłem po nim duży pokój. Mama straciła nade mną kontrolę. Potrafiłem zniknąć na całą noc i w ogóle się do niej nie odezwać. Rano mówiła zapłakana: „Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? Całą noc nie spałam”. A ja na to: „Twoja wina. Trzeba było iść do łóżka”. Głupota zbuntowanego gówniarza. Nie rozumiała, co się ze mną dzieje. Narkotyki to była dla niej czarna magia, nigdy nie wypła łyka alkoholu. Żeby mieć mnie na oku, pozwalała mi zapraszać kolegów do domu, całe podwórko o tym wiedziało. Marihuanę paliliśmy na klatce, żeby w domu nie śmierdziało. Mama już wtedy zaczęła robić karierę, została rzecznikiem prasowym łódzkiej straży miejskiej, działała w Unii Wolności, była dyrektorem delegatury Łódź Śródmieście. Ciężko

pracowała i dobrze zarabiała. A ja sprawiałem coraz większe problemy. W pewnym momencie kompletnie mi odwaliło. Miałem kolegę, który handlował narkotykami. Kiedyś przylazł do mnie przestraszony: „Słuchaj, Misiek, ścigają mnie bramkarze z Irish Pubu za towar, który przećpałem”. Ja na to: „Powiedz im, że ja ten towar od ciebie wzięłem, i niech wypierdalają”. Wydawało mi się wtedy, że jestem szefem mafii. Po kilku dniach w środku nocy zadzwonił domofon. Mama wstała, a potem mnie obudziła: „Coś ty narobił, synu?! Jacyś bandyci grożą, że jak im nie zapłacisz za towar, to cię wywiozą do lasu!”. To nie były żarty. Wtedy jeszcze gangusy były bezkarne, wszyscy się bali. Porywano ludzi, obcinano palce, mordowano. Po wielu ślad zaginał na zawsze. Matka była przerażona, a ja byłem głupim, aroganckim nastolatkiem: „Dobra, mama, daj spokój. Idź spać”. Nie dała jednak za wygraną. Zwróciła się o pomoc do swojego kolegi, ówczesnego komendanta policji w Łodzi. Trzy dni później poprosiła, żebym po lekcjach przyszedł do jej gabinetu. Czekają na mnie dwóch mięśniaków w marynarkach, którzy okazali się tajniakami. Przeprowadzili ze mną edukacyjną rozmowę: „Dzieciaku, czy zdajesz sobie sprawę, że ludzie, z którymi się zadajesz, to niebezpieczni przestępcy?!”. Zaczęli mnie straszyć, a na koniec powiedzieli: „Na mieście poszła informacja, że od dziś nie wolno cię wpuścić do żadnego klubu. Wszyscy bramkarze dostali twoje zdjęcie”. Tak mnie moja matka załatwiła. Popłakałem się. Nie mogłem jej tego wybaczyć, zabrała mi ulubioną „zabawkę”, mój klub. Nienawidziłem jej za to. Przez tydzień się do niej nie odzywałem.

Poszedłem do Mariusza, jednego z gangsterów, który bardzo mnie lubił, i opowiedziałem szczerze, jaka jest sytuacja. Bałem się, czy nie pomyślą, że kogoś sprzedałem, doniosłem. A oni w ogóle się tym nie przejęli. Rządzili i czuli się nietykalni. Mariusz załatwił też problem z facetami od długu. Do dziś nie wiem jak, ale nikt już więcej mi nie groził.

Matka zdała sobie sprawę, że syn totalnie wymknął się jej spod kontroli. Nauczycielka regularnie dzwoniła i straszyła: „Michał nie zda do następnej klasy, bo jest zagrożony z każdego przedmiotu”. Wtedy mama dzwoniła do ojca: „Marek, przyjeżdżaj”. No i Marek przyjeżdżał. Siedział miesiąc w domu, uczył się ze mną

i przechodziłem do następnej klasy. Mimo że wciąż był w chorobie alkoholowej, zawsze potrafił stanąć na wysokości zadania i mi pomóc.

Jakimś cudem dotrwałem do matury. Od pierwszej klasy codziennie paliłem marihuanę, a w czwartej zacząłem codziennie brać amfetaminę. Nawet Sylwia, która miała pewne doświadczenie z narkotykami, nie zdawała sobie sprawy, że jestem uzależniony na taką skalę. Do głowy jej to nie przyszło, bo patrzyła na mnie swoimi oczami. A ona uczyła się do matury, chciała iść na studia, imprezowała tylko w weekendy. Marzyła, żeby się rozwijać, iść do przodu, robić karierę. Dojrzała szybciej niż ja.

ROZDZIAŁ 2

MATURA, PIERWSZE CHWILE DOROSŁOŚCI I FILMOWI IDOLE

Adaś Miauczyński, *alter ego* twojego ojca, mówi w *Dniu świra*: „Nie udało mi się życie; zmarnowałem. Uciekłem od pierwszej jedynej miłości. Potem ożeniłem się bez miłości. Jedyna istota, którą kocham, mój syn, wychowywał się w piekle mojego małżeństwa! Tak jak ja wychowywałem się w piekle małżeństwa moich rodziców! A myśl, że mój Sylwunio będzie tak nieszczęśliwy jak ja, łamie mi serce”.

Wiesz, że Adaś zawdzięcza nazwisko babci, która często strofowała mojego ojca słowami: „Nie miaucz”? Widziałem ją ze trzy razy w życiu, nawet jej dobrze nie pamiętam, a to ona odcisnęła nieusuwalne piętno na swoim synu...

Tato w chwilach trzeźwości był strasznie fajnym gościem. Uwielbiałem spędzać z nim czas. Mieliśmy dwa święte rytuały. Na każde ferie jeździliśmy do Zakopanego. Dwa tygodnie w Domu Pracy Twórczej. Przy stoliku siadywali z nami między innymi Romuald Lipko, Anna Seniuk, Zbyszek Wodecki, Andrzej Sikorowski. Pamiętam niesamowite rozmowy wspaniałych pisarzy, muzyków, artystów. To była magia, że jako dziecko mogłem słuchać tych anegdot. W ciągu dnia jeździliśmy na nartach, ale bardzo mało, a jak mieliśmy wolny wieczór, chodziłem z tatą do kina. Raz poszliśmy na *Nieustające wakacje* Jima Jarmuscha. To było kino artystyczne, niszowe. Ojciec wcześniej mi tłumaczył, kim jest Jarmusch, jakie tematy porusza, i na maksa się tym podniecał. Nigdy tego seansu nie zapomnę: mija czterdziesta piąta minuta filmu, zero słów, ludzie wychodzą.

Przed ostatnią sceną, gdzie pada jedyna kwestia, na sali zostało może z pięć osób. Ojciec też chciał wyjść, ale głupio mu było. Zabrał syna na *art house*, a sam nie mógł wysiedzieć. Po projekcji był wykończony. A mnie tak fascynowało kino, że mogłem wszystko oglądać. W Zakopanem ojciec zaczął mi dawać swoje teksty do czytania. *Nic śmiesznego* było pierwszym scenariuszem, który przeczytałem. Miałem wtedy czternaście lat. Ojciec, pisząc scenariusz, zawsze wie, kto zagra drugoplanowe role. Zresztą często pisze je z myślą o konkretnych aktorach. O głównych decyduje na samym końcu. Pamiętam, że w *Nic śmiesznego* miał zagrać Krzysztof Tyniec lub Paweł Wawrzecki. Obaj byli na liście ojca, ale ja po *Psach* Pasikowskiego uwielbiałem Lindę i Pazurę. Cezary Pazura tak mi pasował do tej historii, że męczyłem ojca całe ferie, gadaliśmy o tym nocami, a ja uparcie podsuwałem mu Czarka. Kiedy go wybrał, byłem wniebowzięty, że liczy się z moim zdaniem.



W lecie z kolei jeździliśmy na dwa tygodnie do Dębek, które wtedy były jeszcze dzikie. Znajdowały się tam dwa kioski spożywcze, jeden na początku wsi, drugi na końcu. W barze Szapito można było zjeść grochówkę i napić się wódki. Przyjeżdżała tak zwana warszawka: Janek Jankowski, Paweł Królikowski z Antkiem w pieluchach, Mirek Baka. Pamiętam wieczory przy ognisku, kiedy oni siedzieli, pili wódkę i opowiadali o rolach, filmach, życiu i kobietach. „Bo to zła kobieta była” – dość często przewijał się ten wątek. Był w nich jakiś ból istnienia,

jako dziecko byłem tym zafascynowany. To ich uważałem za twardzieli, nie swojego ojca.



No cóż... Sam przyznałeś, że do wielu spraw musiałeś dojrzeć. Ojciec w wieku czterdziestu jeden lat zaczął kręcić *Dom wariatów* z Markiem Kondratem i Tadeuszem Łomnickim. Powołuje do życia Adasia Miauczyńskiego, swoje *alter ego*, neurotycznego inteligenta, przeżywającego frustrację z powodu

braku zawodowych i życiowych sukcesów. W *Domu wariatów* rozlicza się z własnych traum, konfrontuje z demonami przeszłości. Miałeś wtedy pięć lat.

Dużo później zrozumiałem, że ojciec był emocjonalnym inwalidą. Zrobił z naszego życia piekło, bo sam to piekło przeżył w rodzinnym domu. Zanim jego ojciec zapisał się na śmierć, fundował mu koszmar, katując na jego oczach starszego brata kablem. Mój tato nie miał więc wzorców. Był totalnie pozamykany i totalnie pogubiony. Dlatego Adaś Miauczyński był dla niego taki ważny. Po *Domu wariatów* nakręcił *Życie wewnętrzne*, *Porno*, *Nic śmiesznego* i *Ajlawju*. Od małego proponował mi rólki, ale mnie to nie kręciło. Zagrałem w *Ajlawju* z miłości do Czarka Pazury. Potraktowałem to jako przygodę.

Z pierwszych filmów najbardziej podobało mi się oczywiście *Porno*. „Kiedy nie mogę zasnąć, liczę dupy. Leżę po ciemku i liczę je w myślach...” – tak zaczyna się ta opowieść. Bohater wymienia każdą kobietę, z którą był w swoim życiu, a jest ich dużo. Główną rolę grał Zbigniew Rola. Byłem zafascynowany grą tego faceta. Ojciec rewelacyjnie go poprowadził, a poza tym potrafi tak oprawić sceny seksu, żeby nie siać zgorszenia. Dla tych scen obejrzałem *Porno* ze trzydzieści razy na taśmie VHS. Po jakimś czasie w „tych” miejscach była kompletnie wytarta i pomięta. Ojciec chciał ją pożyczyć na jakiś pokaz z publicznością i wściekł się, gdy zobaczył, w jakim jest stanie. Z drugiej strony był dumny, że synkowi aż tak spodobał się film tatusia.

Do *Dnia świra* ojciec – według krytyków filmowych – robił filmy dziwne, niezrozumiałe, hermetyczne. Dawali mu trzy punkty na dziesięć. Nie potrafili poznać się na jego sztuce. Kiedy zrobił *Nic śmiesznego*, film puszczano tylko w kinach studyjnych, nie miał więc szans na szerszą publiczność. Było to o tyle niepojęte, że wcześniejsze *Porno* obejrzało w dużych kinach milion widzów, co w tamtych czasach było rekordem! Wykosił takie hity jak *Batman*, *RoboCop 2* czy *Deja vu* Juliusza Machulskiego. Ojciec strasznie to przeżywał. Chodził wkurwiony i rozżalony, mówił: „Pieprzeni krytycy!”. Pamiętam taką scenę: Teatr Muzyczny w Gdyni, główna gala, ojciec dostaje Złote Lwy za *Dzień świra*, publiczność serwuje mu owacje na stojąco, wszyscy mówią, że film jest arcydziełem, a ojciec

geniuszem. Na korytarzu, gdzie kłębił się tłum gwiazd, do ojca podchodzi znany krytyk filmowy i mówi: „Panie Marku, od zawsze byłem fanem i wielbicielem pana twórczości...”, a mojemu ojcu wychodzi żyła: „Tak? A pamiętasz, kurwa, jakżeś mi dał trzy gwiazdki za *Ajlawju...*?”, i zaczyna go opierdalać jak burą sukę. Małgosia Bogdańska, żona taty, wiedząc, że tylko ja mam na niego wpływ, przybiega do mnie przerażona: „Błagam cię, uspokój go, bo on tego krytyka zaraz zamorduje”. Ja na to: „Właśnie że nie będę go uspokajał! Niech go opierdala, bo mu się to należy. Krytycy to hipokryci, oportuniści i krętacze”. Tato nienawidzi hipokryzji. Przez lata patrzyłem, jak cierpiał, bo go nie doceniano. Zawsze działał poza układami, nigdy nie był w żadnych studiach filmowych. Utrzymywał się z własnej sztuki, kręcił filmy i robił przedstawienia teatralne na podstawie swoich scenariuszy. Nigdy nie zrobił żadnej reklamy, żadnego serialu. Jako młody chłopak tego nie rozumiałem. Dostawał różne propozycje i konsekwentnie je odrzucał. Kiedyś zaproponowano mu reklamę Orange. Miał dostać za jeden dzień pracy tyle, ile zarabiał za cały swój film. Ojciec powiedział, że przecież nie potrafi robić reklam, a producent na to: „Panie Marku, pan nic nie musi reżyserować. Wystarczy, żeby pan siedział. Klient chce mieć tylko pana nazwisko w portfolio. Chce się pochwalić, że to pan zrobił jego reklamę”. Pytałem ojca: „Dlaczego tego nie weźmiesz? Tyle kasy przejdzie ci koło nosa!”, a on tłumaczył: „Michał, gdybym to wziął, już nigdy nie zrobiłbym żadnego filmu. Nie robię tego z wyboru, tylko ze strachu. Boję się tych pieniędzy. Boję się, że one by mnie rozleniwiły, odebrały motywację do tworzenia”. Potem do mnie dotarło, że wybrał własną drogę. Jest twórcą jedynym w swoim rodzaju. Warto być wiernym swoim przekonaniom.

Rozumiem, że nie podobały ci się pierwsze filmy ojca. A kto był wtedy twoim filmowym idolem?

Władysław Pasikowski i Boguś Linda, a właściwie Franz Maurer. Zresztą Pasikowski mieszkał w sąsiednim bloku na Manhattanie, a w kolejnym Witold Leszczyński, reżyser *Siekierzady* nakręconej na podstawie prozy legendarnego Stachury. Wychowałem się na filmach *Miś*, *Seksmisja*, *Rejs*, *Rozmowy*

kontrolowane, ale kiedy zobaczyłem w kinie *Psy*, byłem olśniony! Pomyślałem: „Kurde, czemu mój ojciec nie robi takich filmów jak Władysław Pasikowski?”. Myślę, że ojciec był trochę o to zazdrosny. Widział, że jestem *Psami* zafascynowany.

Dla ludzi starszych *Psy* były filmem przełomowym, bo Pasikowski pierwszy odważył się opowiadać o tamtych czasach w tak obrazoburczy sposób. A dla nas, dzieciaków, był objawieniem, bo odpowiadał na nasze bolączki, opisywał nasze emocje, uczucia. Na tym polegał fenomen tego filmu, że wszyscy mieli do niego z jakichś powodów sentyment. Myślałem sobie: „Dlaczego ojciec zawsze robi filmy o mięczakach, frajerach i nieudacznikach?! Czy choć raz nie mógłby zrobić filmu o twardzielach?!”. Wtedy nie mogłem tego zrozumieć. Każdy z nas chciał być Franzem Maurerem. Twardzielem. Stuprocentowym mężczyzną, złym, zbrukanym życiem, zdradzonym przez kobietę, przez przyjaciela, takim, który popełnił wiele błędów, ale w imię zasad walczył o sprawiedliwość.

Ojciec często zabierał mnie do – nieistniejącej już niestety – Wytwórni Filmów Fabularnych na ulicy Łąkowej. Uwielbiałem tam chodzić. Z naszego bloku na Manhattanie szliśmy na piechotę przez park Poniatowskiego. W wytwórni były słynne kręte schody, którymi Pazura w filmie *Nic śmiesznego* często wchodzi na górę, bo gra reżysera. Pewnego dnia wchodzimy z ojcem po tych schodach, a tu nagle na szczycie pojawia się on: „boski Bogi”, Franz Maurer! Do dziś pamiętam, jak był ubrany: w długim płaszczu i kowbojkach. Ojciec się z nim przywitał i zaczęli gadać. Znowu nastąpił przełom. Ojciec, którego miałem za słabego człowieka, stłamszonego alkoholem, robiącego filmy, które wtedy jeszcze mnie tak nie pasjonowały, zna Bogusia Lindę – Franza Maurera! Pamiętam, że Linda na pożegnanie podał mi rękę, a ja tę rękę uścisnąłem i serce mi zadrżało. Wszystkim w szkole opowiedziałem, że mój ojciec zna Franza Maurera i że się przyjaźnią. Przy okazji ściemniłem, że przywiózł mnie na lekcje jaguarem! Nikt tego nie widział, ale moi koledzy byli zafascynowani tą opowieścią. Z łatwością w nią uwierzyli, bo jednak mój ojciec był reżyserem.

Pytałaś mnie o idola... Miałem siedemnaście lat, kiedy mama poznała mojego ojczyrna. Wspaniałego człowieka, lekarza, chirurga naczyniowego, jednego z najwybitniejszych w Polsce. Zupełne przeciwieństwo mojego ojca. Człowieka stonowanego i wyciszonego. Spełnionego. Od dwudziestu pięciu lat nie słyzałem, żeby mój ojczyrn kiedykolwiek podniósł głos. Mama zaczęła sobie z Andrzejem układać życie. Coraz częściej pomieszkiwała u niego, a ja zostawałem na Mickiewicza sam. Domyślasz się, co to oznaczało dla siedemnastolatka. Wszystkie wagary, imprezy, zabawy odbywały się u mnie. Do dziś spotykam znajomych, którzy wspominają: „Twoja chata na Manhattanie była konkurencją dla klubów na Piotrkowskiej”. Czasami wychodziłem z domu, wracałem nad ranem, a w moim mieszkaniu siedziały obce osoby, nie wiadomo skąd, bawiąc się w najlepsze. Pod wpływem narkotyków robiliśmy rzeczy, które mogły wydawać się straszne, a dla nas była to świetna zabawa. Potrafiliśmy z piętnastego piętra spuszczać drzwi na linach, do dziś nie wiem dlaczego. Pamiętam, jak mój blok był ocieplany i robotnicy postawili rusztowanie na całej wysokości, a my odurzeni LSD, halucynogenną substancją psychoaktywną, po której faluje ci cała rzeczywistość, biegaliśmy po tych rusztowaniach z góry na dół, podglądając ludzi, waląc im dla jaj w okna i uciekając.

Kiedy zdałem maturę, mama wyprowadziła się na stałe, a ja zamieszkałem z Sylwią. Wyremontowaliśmy mieszkanie i zapanował większy spokój.

Maturę zdałeś gładko?

Przed maturą byłem już w pełni uzależniony od marihuany i amfetaminy. Normalni ludzie rano jedzą śniadanie, ja wciągałem amfę. Wiedziałem, jak ją zbić marihuaną, żeby nie być zbyt pobudzonym i żeby w szkole nikt się nie zorientował. To było niewiarygodne, że połowa klasy siedziała na lekcjach naćpana, nawalona wszelakim towarem, a nauczyciele nie mieli o tym zielonego pojęcia! Myślę, że do dziś tak jest. Trzeba byłoby robić testy, żeby to sprawdzić. Jest to jednak nierealne.



Rzeczywiście przygotowywałem się do matury, zależało mi, żeby zdać. Sylwia mnie motywowała, sama dużo się uczyła. Tyle że ja jechałem nocami na amfetaminie, a ona nie. Mój ojciec od paru lat wpadał w ciągi alkoholowe, które stawały się coraz dłuższe i coraz gorsze. Za każdym razem – już jako świadomy chłopak – myślałem, że tym razem z tego nie wyjdzie. Przed moją maturą miał przyjechać do Łodzi, żeby się ze mną przygotowywać, strasznie mi na tym zależało i potrzebowałem jego wsparcia. Nie przyjechał. Do matury zostały chyba dwa tygodnie. Dzwoniłem do niego, ale odpowiadała mi cisza w słuchawce. Ojciec na trzeźwo był perfekcjonistą, kiedy więc dwadzieścia razy nie odebrał ani nie oddzwonił, zrozumiałem, że jest źle. Zadzwoiłem do mamy, żeby mnie zawiozła do Warszawy, bo ojciec pije i czuję, że tym razem tego nie przeżyje. Matka była tak wściekła, że robi mi takie świństwo przed maturą, że z tej nienawiści powiedziała: „Niech ten stary wariat w końcu zdechnie, będziemy mieli święty spokój”. Nie chciała mnie do niego zawieźć. Ja na to: „Jak mnie nie zawieziesz, to nigdy ci tego nie wybaczę”. Pojechaliśmy do Warszawy, walimy w drzwi. Cisza. Wszedłem po balkonach, wybiłem szybę i na podłodze zobaczyłem ojca pijanego do nieprzytomności. Od razu wiedziałem, że chleje od wielu dni, w tak strasznym był

stanie. Mama wróciła do Łodzi, ja zostałem. Intuicyjnie rozumiałem, że nie mogę z nim walczyć i na siłę zabierać mu alkoholu. Po prostu muszę z nim być i pilnować, żeby coś zjadł i nie zapił się na śmierć. Po trzech dniach ojciec obudził się w nocy, zapalił światło, napił się wódki i zapytał: „Skąd ty się tu wzięłeś? Dzisiaj przyjechałeś?”. „Nie, tato – odpowiedziałem. – Jestem tu z tobą od trzech dni”. Ojciec usiadł i coś się wtedy stało. Coś nim wstrząsnęło. Nie odrywał ode mnie wzroku, jakby zobaczył jakiegoś demona. Po czym opróżnił butelkę, zasnął, a rano powiedział: „Błagam cię, pójdź mi po piwko”. Poszedłem. Dzisiaj zastanawiam się, jak ja to zniosłem, a wtedy mnie w ogóle nie przerażała ta sytuacja, bo cały czas jechałem na amfetaminie. Nie bałem się. Jestem pewien, że na trzeźwo byłoby to nie do udźwignięcia. Nie wytrzymałbym, serce by mi pękło, tak jak potem pękło mojej Sylwii. Widok zapitej czy zaćpanej osoby, którą kochasz, jest dla trzeźwego człowieka nie do zniesienia. Chodziłem do sklepu po alkohol, ojciec pił coraz mniej i chyba piątego dnia wstał pierwszy, obudził mnie i powiedział: „Proszę cię, zamów mi odtrucie”. Otworzyłem jakąś gazetę, zamówiłem odtrucie, przyjechała pani doktor, dała mu tabletki i podłączyła do kroplówki. Siedziałem z nim jeszcze ze trzy dni. Jak trochę doszedł do siebie i był w stanie sam jeść, zapytałem: „Niedługo mam maturę. Dasz sobie radę?”. „Dam”.

Tamtego dnia przestał pić i poszedł na terapię. Nie pije już dwadzieścia cztery lata.

Po latach zapytałem ojca, co się właściwie wtedy stało. Dlaczego właśnie tamtego dnia przestał pić? Odpowiedział: „Kiedy się ocknąłem w środku nocy i ty mi powiedziałaś, że jesteś ze mną od trzech dni, to mnie poraziło. Chwilę wcześniej śniło mi się, że się powiesiłem, a ty znalazłaś mnie martwego. W tym śnie uświadomiłem sobie, że swoim samobójstwem zrujnowałbym do reszty twoje życie. Jeśli nie zatrzymam się tym razem, zapiję się na śmierć. A jeśli się zapiję, wyrządę ci straszną krzywdę, bo już nigdy w życiu w nic nie uwierzysz”. Zapamiętam to na całe życie.

Pomogłeś ojcu stanąć na nogi i wróciłeś do Łodzi na maturę... Chyba niewielu twoich rówieśników miało podobne doświadczenia. Kilka ważnych dla ciebie osób powiedziało mi, że masz dobre serce. Masz.

Czasami mnie to gubiło, ale o tym jeszcze ci opowiem. Nie wyobrażałem sobie, że zostawię ojca samego. Zawsze go kochałem. Tyle że oprócz niego i mamy miałem jeszcze Sylwię. On oprócz mnie nie miał nikogo.

Byliśmy z rodzicami umówieni, że do matury dają mi kieszonkowe i opłacają rachunki za mieszkanie, po maturze idę na studia albo do pracy. Sylwia zdała na marketing i zarządzanie i zatrudniła się jako kelnerka w restauracji. Była ambitna i pracowita, ze wszystkim sobie radziła. Ja w ogóle nie miałem pomysłu na siebie. Przyszłość mnie przerażała, budziła mój największy lęk. Kim zostanę? Co będę robił? Nie znałem odpowiedzi na te pytania. Zresztą w *Dniu świra* Adaś Miauczyński mówi: „Co za ponury absurd – żeby o życiu decydować za młodu, kiedy jest się kretynek?”. Bałem się, że do starości będę klepał biedę, bo przecież nic nie potrafię. Z braku pomysłu też zdałem na marketing, ale po dwóch miesiącach mi się znudziło i zacząłem szukać jakiejś pracy. Zostałem pomocnikiem szefa w kawiarni w Teatrze Wielkim. Ta praca z początku wydawała mi się bardzo fajna, mogłem za darmo podglądać przedstawienia operowe i teatralne, to była wielka atrakcja. A jednak stamtąd też szybko uciekłem i zostałem barmanem w kultowym klubie Łódź Kaliska. Podobało mi się tam. Klub tętnił życiem. Odbywały się w nim koncerty, przedstawienia, wystawy, pokazy filmów i performance’u. Grali wszyscy, którzy liczyli się na scenie muzycznej, od Maleńczuka po Nosowską. W czasie słynnego festiwalu Camerimage, który wtedy odbywał się w Łodzi, przychodziły tam wszystkie gwiazdy: Oliver Stone, Ed Harris, Val Kilmer, David Lynch, Neil Jordan. Dla zagubionego chłopaka jak ja – żyć nie umierać. Byłem w siódmym niebie, nie wiedząc, że wkraczam do piekła.

Na dole klubu była część artystyczna, na górze bardziej komercyjna. Raz pracowałem za jednym barem, raz za drugim. To był fantastyczny czas w moim życiu. Dobrze tam zarabiałem i wiele się nauczyłem. Goście często siadali przy barze i sami do mnie zagadywali. Opowiadali niewiarygodne historie. Klub był

otwarty do piątej nad ranem. Najgorsze były chłopaki z miasta, niedobitki po łódzkiej „ośmiornicy”. Naszym szefem ochroniarzy był wicemistrz świata w kulturystyce, ale nawet on nie miał odwagi wejść im w drogę. Przychodzili zazwyczaj nad ranem, narąbani czym się dało, i zaczęli rzucać w nas kieliszkami, to była ich ulubiona zabawa. Nie można było ich wyprowadzić, więc się mściliśmy. W klubie serwowaliśmy dwa dania: gulasz i pierożki. Kiedy nas maltretowali, pluliśmy im do gulaszu albo maczaliśmy w nim swoje fiuty. Używając ich slangu, zostali przez nas przecweleni. Zemsta była słodka.

Zamykaliśmy o piątej, w domu byłem o siódmej, więc potem spałem pół dnia. Narkotyki i alkohol łąły się tam strumieniami. W narkotykach, jak już wiesz, szybko znalazłem swój azyl, ale długo miałem wstręt do alkoholu. Nie lubiłem stanu upojenia. Gardziłem tym. Marihuana czy amfetamina dawały mi fałszywe poczucie, że mogę „normalnie” funkcjonować, i nie odcinały mnie totalnie od emocji. No, ale znalazłem się w przedsionku piekła. Wszystkie rodzaje alkoholu miałem na wyciągnięcie ręki.

Zaskoczyło mnie, że wszyscy ludzie za barem byli po studiach. Uwielbiałem z nimi pracować i słuchać, jak rozmawiają. Znali się na wszystkim: literaturze, kinie, malarstwie, teatrze. Patrzyłem na nich i myślałem: „Co ci wspaniali goście tutaj robią?!”. Tłumaczyli mi, że więcej zarobią, stojąc za barem, niż wykonując swój zawód. Niestety, najczęstszą chorobą barmana jest alkoholizm. Trudno się dziwić, skoro cały czas patrzysz, jak inni piją. W Łodzi Kaliskiej nauczyłem się pić alkohol.

Drugą zmorą barmana jest depresja. Klienci przychodzą i odchodzą, a ty cały czas stoisz w tym samym miejscu. Zaczynasz się dręczyć: „Czy tak będzie wyglądać moje życie?! Będę podawał alkohol i oglądał nawalone mordy?”. Ćmy barowe siedzą do rana, bo mają przegrane życiorysy. Barman jest spowiednikiem. Nasłuchałem się wielu historii nieszczęśliwych miłości, zdrad, połamanych karier, bankructw i zawiedzionych nadziei. Do dziś pamiętam swoją narastającą frustrację.

W tym czasie Sylwia pięła się w górę. Studiowała, dostała płatny staż u mojej mamy w Netii, na którym bardzo jej zależało. Potrafiła wszystko pogodzić.

W liceum razem próbowaliśmy marihuany, razem braliśmy LSD, razem zażywaliśmy ecstasy, ale Sylwia nigdy się nie uzależniła. Dla niej był czas zabawy i czas pracy. Umiała to rozdzielić. Ja nie. Po liceum zwyczajnie z tego wyrosła. Zażywanie przestało ją bawić, nie było jej do niczego potrzebne.

Mama martwiła się o mnie i poprosiła ojca, żeby czymś mnie zainteresował. Mówiła: „Zobacz, co się dzieje z tym dzieciakiem, zaraz wyląduje w kryminale”. No i ojciec zaproponował mi rolę Sylwusia w *Dniu świra*. Do dziś jestem mu za to wdzięczny. W najtrudniejszych momentach życia, w kryzysach, załamaniach, lękach i sytuacjach bez wyjścia, praca jest moją największą wartością. Cokolwiek by się działo, mam cel, żeby wstać z łóżka. Aktorstwo trzyma mnie w pionie i nie pozwala zatonąć. Właśnie *Dzień świra* na tym zaważył. Pokochałem kino, granie. Zrozumiałem, że mój ojciec jest wielkim reżyserem.

ROZDZIAŁ 3

DZIEŃ ŚWIRA, POJEDNANIE Z OJCEM I PAPARAZZI

Opowiedz o tej pasjonującej przygodzie z *Dniem świra!*

Pojechaliśmy we dwóch po raz kolejny do Zakopanego i ojciec dał mi do przeczytania pierwszą wersję scenariusza, o wiele dłuższą niż ostateczna. Czytając, płakałem ze śmiechu. Do dziś nie mogę przeboleć wspaniałych scen, które nie weszły do filmu. W środowisku wszyscy wiedzą, że ojciec najpierw pisze tysiąc stron, potem je redukuje do ośmiuset, sześciuset, dwustu, aż na końcu zostaje sto stron czystej kwintesencji. Jacek Bromski zaproponował mu kiedyś: „Marek, daj mi te wszystkie sceny, które wyrzucasz ze swoich scenariuszy, to zrobię z tego osobny film”. Tato odpowiedział: „Dobra, ale ja tego nie podpiszę. Żeby podpisać, musiałbym siedzieć nad tymi stronami kolejne dwa lata”.

Ojciec każdy scenariusz pisze kilka lat. Przywiązuje ogromną wagę do języka. Wszystko jest wymuskane, rozpisane i niczego nie wolno ominąć. Mało kto wie, że *Dzień świra* był pisany w trzech czwartych trzynastozgłoskowcem, jak *Pan Tadeusz*. Najważniejszy jest rytm. Wszystko jest w tym rytmie związane i dlatego tak łatwo wpada w ucho.

Twój tato często powoływał się na francuskiego dramaturga, reżysera i aktora Jacques’a Lassalle, który mówił: „Tekst jest partyturą. W każdym dobrym tekście jest zawarta instrukcja obsługi. Trzeba ją tylko umieć przeczytać (...).

Jeśli w sztuce jest przecinek, to znaczy, że on jest po coś. Nie traktujemy autorów jak idiotów, którzy nie wiedzą, co piszą”.

Nie będę ukrywał, przy *Dniu świra* sam tego nie wiedziałem. Dopiero podczas pracy nad *Wszyscy jesteście Chrystusami* Marek Kondrat mi to wszystko wytłumaczył. Miałem tam gigantyczne monologi. Marek pomagał mi się przygotowywać. Siedzieliśmy w miniaturowym mieszkanku na Powiślu i godzinę próbowaliśmy moje sceny, a godzinę Marek opowiadał mi o winach. Pewnego dnia mówię: „Marek, tu są rozpisane nawet zająknięcia i przerwy. Może byśmy to skrócili, sami uprościli. Nie przyznamy się ojcu”. Wtedy Marek powiedział: „O nie, nie, nie! Nie ma mowy! U twojego ojca wszystko jest rozpisane jak w utworze muzycznym. Każda nutka ma znaczenie, każde słowo, każde zająknięcie nadaje rytm następnemu zdaniu. Jeśli wykreślimy choć jedną nutę, to już nie będzie ten sam utwór. Tu nie można niczego wyrzucić. Twój ojciec pamięta miejsce każdego przecinka”. A ja pamiętam, że płakałem na tych próbach, tyle mnie to kosztowało wysiłku.

Okazało się, że nie byłem w tym odosobniony. Po latach Robert Więckiewicz opowiedział mi o tym, jak się uczył do filmu *Baby są jakieś inne*. Wyjechał na dwa tygodnie nad morze, chodził wte i wewte po plaży i powtarzał swoje monologi. Ludzie patrzyli na niego jak na wariata. Mówił, że nigdy w życiu nie miał takiej trudności z nauczeniem się tekstu. Ale każdy aktor przyznaje, że jak już nauczysz się tego na blachę, czujesz lekkość, masz wrażenie, że w każdym zdaniu, które wypowiadasz, jest prawda. Nie słyhać, że „szeleści papier”. Zresztą to nie wzięło się z niczego. Mój ojciec przez lata robił dokumenty, nagrywał swoich bohaterów na dyktafon, a potem w domu wszystko spisywał. Słowo w słowo. Wtedy zrozumiał, że język mówiony jest inny niż język pisany. Ma swoją charakterystyczną melodię. Często mówimy niegramatycznie, przestawiamy słowa, powtarzamy, a to jest cholernie trudne do nauczenia.

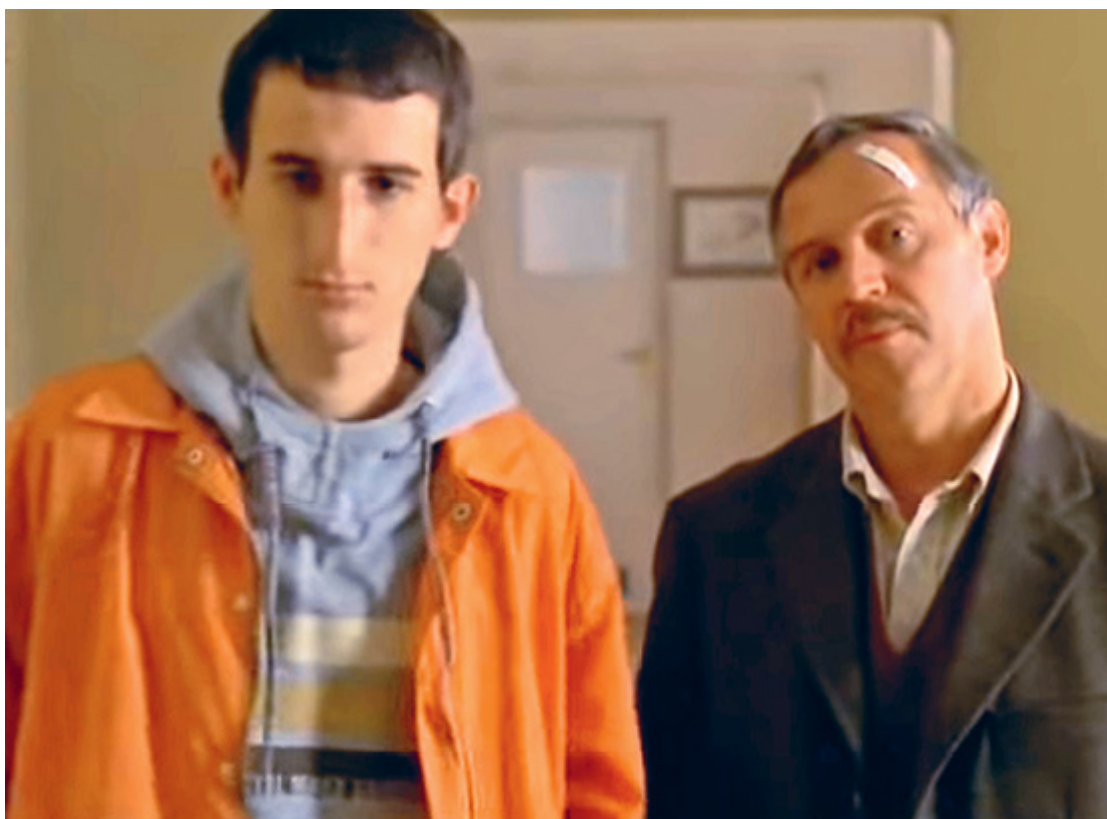
W pierwszej wersji *Dnia świra* Adasia Miauczyńskiego miał zagrać Bogusław Linda.

Ale odmówił. Przeczytał scenariusz, zadzwonił i powiedział szczerze: „Marek, to jest świetne, ale ja się w tym nie widzę. Ja po prostu wiem, że u ciebie będę musiał upuścić krwi, że ty wyciągniesz ze mnie wszystkie soki, a to nie jest ten moment”.

Mówiłem ci, że ojciec już na etapie pisania scenariusza wie, jakiego aktora chciałby obsadzić w każdej roli. Oprócz Adasia Miauczyńskiego. Miauczyński zawsze spływał na niego w ostatnim momencie. Za każdym razem miał sekretną listę, zawsze mi ją pokazywał i zawsze się denerwował: „Nie mam Miauczyńskiego! Nie mam Miauczyńskiego”. Tak było z Cezarym Pazurą w *Nic śmiesznego* i tak było przy *Dniu świra*. Kiedy Boguś Linda odmówił, ojciec spanikował. Któregoś dnia po długiej przerwie zobaczył Marka Kondrata, który był akurat po wypadku samochodowym. Miał szramy, twarz mu się zmieniła, stała się bardziej męska. Ojciec opowiadał mi później: „Paradoksalnie po tym wypadku jego twarz nabrała głębi wyrazu. Dostał gęby z charakterem. Nagle zobaczyłem w nim Adasia”.

Twój tato sam przyznał w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”: „(...) praca u mnie to jest skrajna trauma, trzeba dać z siebie wszystko. Trzeba zapisać rolę potem, krwią, złością, bezwstydem, strachem, złością, buntem przeciw ekshibicji. Na nic innego nie można u mnie liczyć. Jak ktoś chce się – jak to mówią kolarze – »ujechać«, niech dzwoni do mnie. To jest pewny adres”.

To prawda. Ale dla mnie była to wielka przygoda. Zabawa. Szansa, żeby na co dzień obcować z tymi wspaniałymi aktorami, których uwielbiałem. Nie czułem się umęczony, nie ponosiłem żadnych kosztów. Byłem do tej roli przygotowany perfekcyjnie, bo u ojca nie mogło być inaczej. Wszystko przychodziło mi z ogromną łatwością. W scenach młodzieżowych ojciec wiele czerpał z mojego życia, mojego sposobu wyrażania się, moich pomysłów. Nietrudno się domyślić, że teksty typu: „popuściła mu szpary”, „gwint zerwał”, i wiele innych usłyszał ode mnie.



Najpierw kręciliśmy w Warszawie. Przed każdym filmem jest pół roku prób. Nikt nie wejdzie na plan nieprzygotowany. Marek Kondrat okazał się fantastycznym, ciepłym człowiekiem. Duszą towarzystwa. Traktował mnie trochę jak syna i ogromnie mi pomagał. Miał do mnie anielską cierpliwość. Natychmiast się zgraliśmy, złapaliśmy swój *flow*. Nasze sceny robiliśmy bardzo szybko. Ojciec był wniebowzięty, mówił do mnie: „Uwielbiam cię. Jesteś zwierzę aktorskie. Dwa duple i zrobione”. Unosiłem się nad ziemią z dumy, ale wiedziałem, że to była zasługa Marka. Marek nie dorabiał do grania wielkiej filozofii. Mojego ojca krew zalewała, kiedy na próbach aktorzy godzinami tokowali o swoich bohaterach: „Przecież to są proste rzeczy, o czym oni opowiadają?! Muszą nauczyć się tekstu, zagrać i niczego więcej nie wymyślać”. I rzeczywiście, w *Dniu świra* niczego nie wymyślaliśmy. Historia była już tak wymyślona, że wystarczyło ją tylko odtworzyć.

Boguś Linda, który znał scenariusz, dokuczał Markowi. Dzwonił i pytał: „Srałeś już pod tym oknem czy dopiero będziesz srał?”. Wszyscy się z niego

nabijali, a on był przerażony. Marek to wybitny aktor, moim zdaniem najlepszy, jaki chodził po ziemi polskiej, a do tego dystyngowany i elegancki w sposobie bycia. Snuł się struty przez dwa tygodnie, w końcu nie wytrzymał i zapytał ojca: „Słuchaj, Mareczku, może byśmy jednak ominęli tę scenę ze sranie? To Powiśle, biały dzień, pełno ludzi, dzieci się bawią... Jak ja mam tu wyjść przed balkon i zdjąć gacie?”. Ojciec popatrzył na niego z niedowierzaniem: „Nie ma mowy! Ta scena jest kluczowa”.

Mój ojciec kocha aktorów. I szanuje. Tego szacunku nabrał, kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych Boguś Linda zaproponował mu małą rolę w swoim debiutanckim filmie *Seszele*. Wtedy zrozumiał, jak strasznie eksploatujący psychicznie jest to zawód. Aktorzy muszą nieustannie obnażać się przed innymi i majstrować w swoich emocjach. Często robił awantury dyżurnym planu, bo u niego aktor pomiędzy scenami nie może stać, tylko musi siedzieć, żeby nie wypstrykał się z energii. Pilnował osobiście, żeby aktorzy odpoczywali, nigdzie nie łazili i... nie gadali. Uwielbia skupienie i powagę.

Na planie nieraz wkurzał się na Marka i zalił się do mnie: „Już mi tu, kurwa, od rana kawały opowiada i rozmontowuje całą ekipę”. Nienawidził kawałów, kabaretów, sprośnych dowcipów. I nienawidzi do dziś. Uważał, że są poniżej godności. Ekipa uwielbiała jednak Kondrata, więc niezrażony robił swoje.

Nadszedł dzień kręcenia słynnej sceny. Kondrat od rana był nieszczęśliwy, wszyscy żartowali za jego plecami. Ojciec w pewnym momencie wstał od monitora i powiedział: „Chodź, Mareczku, ja ci pokażę, jak to ma wyglądać”. I na tym Powiślu, w słoneczny dzień zdjął gacie pod balkonem i dokładnie pokazał Markowi, co ma zrobić. Tym go ośmielił. Tak powstała jedna z najśmieszniejszych scen w tym filmie:

„– A jak ja bym tak nasrał pod pani oknem? Pod panią?

– Co pan?

– A sram, jak pani pies!

– Chyba ma pan coś z głową!

– Psy obowiązuje taka sama dyscyplina i reguły współżycia jak ludzi. Wolność jednych nie może być kosztem drugich”.

Marek Kondrat po premierze mówił w wywiadach: „Jak bardzo kosztowne to było przeżycie, odkryłem właściwie już w trakcie zdjęć, kiedy po półmetku mówiłem Markowi Koterskiemu, że go zabiję deską z gwoździem, jeśli jeszcze chwilę będziemy pracowali razem”.

Nigdy nie zapomnę, jak kręcili scenę, w której Adaś Miauczyński siada na kanapie. Ojciec próbował zademonstrować Markowi, co miał na myśli, pisząc ten konkretny fragment. Zaczął pokazywać, jak poprawia spodnie, żeby mu się nie wrzynały w kroku, żeby było pod udami gładko. Kiedy odstawiał całą tę ekwilibrystykę spodniowo-siadaniowo-kroczoową, ekipa zastygła w absolutnej ciszy. Czterdzieści osób patrzyło na ojca w osłupieniu. Czegoś takiego w życiu nie widzieli. Po chwili ojciec bez słowa zamienił się miejscami z Kondratem, który to genialnie zagrał. Aktorzy uwielbiali, kiedy pokazywał im, jak grać. Często żartowali: „To ty, Marku, powinieneś grać główne role w swoich filmach”. Ale ojciec po epizodzie u Lindy wiedział, że reżyseria i aktorstwo to dwa różne zawody i ten drugi to nie jest jego bajka.

Ostatnie zdjęcia kręciliście w Dębках. Był wrzesień 2001 roku. Tam wydarzyła się niezwykła scena. Scena rodem z filmu. Tym razem z tobą w roli głównej.

Wtedy kręciło się na taśmie, która kosztowała majątek. Producenci dostawali piany za dwie rzeczy: przekraczanie limitu taśmy i przedłużenie dni zdjęciowych. Z wiadomych względów. Dzień zdjęciowy jest najdroższym elementem filmu. Niezależnie od pogody i zrealizowanego planu dnia trzeba zapłacić całej ekipie, zapłacić za sprzęt. Nikogo nie interesuje, że czegoś nie dało się zrobić. Pojechaliliśmy do ukochanych Dębek, na tę cudowną plażę, gdzie razem z ojcem przez całe moje dzieciństwo jeździliśmy w wakacje, żeby nakręcić najważniejsze

sceny. Rano wszyscy wstali na śniadanie, a tu burza, leje. Po południu trochę się przejaśniło, ale ledwo wjechaliśmy na plażę, znowu się rozpadało. Nie dało się nawet zacząć. Ojciec chodził jak zbity pies. Nazajutrz nagrał rano trzy sceny, potem znowu lunął deszcz. Trzeciego dnia cały czas padało, wszyscy zostali w barobusie. Andrzej Grabowski i Marek Kondrat opowiadali kawały, darmowy występ wirtuozów, ekipa sikała ze śmiechu w gacie. Wieczorem ojciec pokłócił się z producentem, który kazał mu wracać do Warszawy, a zdjęcia nad morzem dokończyć w innym terminie. Ojciec był załamany, bo to były dla niego kluczowe sceny. Zdawał sobie sprawę, że jeśli teraz tego nie zrobi, bardzo trudno będzie mu zebrać ekipę ponownie i wrócić do Dębek. To była katastrofa. Ojciec strasznie wszystko przeżywa, wyciska z siebie trzysta procent, chudnie dziesięć kilogramów i oddaje filmowi swoje życie. Widziałem, jak się wykańcza. Czwartego dnia coś tam nakręcili i znowu zaczęło padać. Kondrat dalej opowiadał kawały i w ten sposób trzymał całą ekipę w psychicznych ryzach. I nagle w radiu usłyszeliśmy, że padła pierwsza wieża World Trade Center. A potem druga. Wszystko siadło, kompletna dupa. Szok i przerażenie. Stany – imperium, które rządziło światem i było nietykalne – zostały zaatakowane. Każdy pomyślał o tym samym: wybuchnie trzecia wojna światowa. Na dworzec lało, nie dało się wyjść. Wszyscy z tej rozpaczki pili wodę, a mój ojciec, który od pięciu lat był trzeźwy, schował się w pokoju. Zapukałem do niego wieczorem. Siedział na kanapie, walizki miał już spakowane: „Michał, to koniec, ja wyjeżdżam”. Kompletnie mnie zaskoczył: „Zwariowałeś? Uciekasz? Teraz?!”. Powiedział, że nie wyobraża sobie tego filmu bez scen na plaży. I wtedy się rozplakał z bezsilności. Ramiona mu drżały, łzy leciały po twarzy. Usiadłem obok niego i mówię: „Słuchaj, Marek, jeśli ty dzisiaj wyjedziesz i nie dokończysz tego filmu, to ja już nigdy w nic nie uwierzę. Musisz tu zostać i zrobić to dla mnie. Nie możesz teraz uciec”. Wtedy wszystko było dla mnie proste, łatwe i przyjemne. Nie rozumiałem do końca jego problemów. Przecież dostał pieniądze na produkcję, ruszyła machina, robi zajebisty film, Marek Kondrat gra główną rolę. I gra ją koncertowo! A to, że pada? Że walnęło World Trade Center? O co chodzi?! Miałem poczucie, że świat realny jest poza mną.

Byłem młody i na wszystko miałem wywalone. Liczył się tylko film, plaża, to, że jest pięknie, że są kamery i w ogóle cała ta filmowa bajka, którą kocham, i ojciec, z którym jestem blisko. Chciałem tak żyć i już. I ojciec musiał mi tę możliwość dać. To było proste jak pstryknięcie palcami. Myślę, że na tym entuzjazmie, na skrzydłach tej radości go uniosłem, choć wtedy nie zdawałem sobie sprawy z siły mojej młodości. To nim wstrząsnęło. Zostawił walizki, przytulił mnie, pocałował i powiedział, że musi się położyć.

Po burzy zawsze wychodzi słońce. Tym razem też wyszło i rano dokończyliśmy ten film. Oczywiście w atmosferze skupienia i ciszy, bo wszyscy byli przerażeni. Myśleli wciąż o wieżach World Trade Center i trzeciej wojnie światowej. Po zakończeniu zdjęć ojciec był skrajnie wycieńczony, jak zresztą za każdym razem. W szpitalu przeszedł serię badań, na koniec lekarze powiedzieli: „Diagnoza jest taka: zabija pana stres”.

Dokładnie rok później, we wrześniu 2002 roku, na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni Marek Koterski dostał Złote Lwy i dziesięciminutową owację na stojąco. Widzowie ten film pokochali. W 2021 roku za film wszech czasów Polacy uznali właśnie *Dzień świra*. Profesor Wiesław Godzic, filmoznawca i socjolog, mówił: „Filmu kultowego się nie robi, on się kultowy staje w relacji z widzami, często po wielu latach. Tego ani nie można zaplanować, ani nawet chcieć. Musi zaistnieć szczególny kontekst zdarzeń. W przypadku *Dnia świra* niewątpliwie zaistniał”.

Z jednej strony zrobiliśmy ten genialny film, z drugiej – ciągle miałem ogromny żal do ojca. Do mamy również. Był we mnie bunt. Ćpanie też było buntem wobec świata, otaczającej rzeczywistości i rodziców, którzy – o czym byłem przekonany – zniszczyli mi życie. Cały czas dawałem im do zrozumienia, że są winni. Chciałem, żeby wiedzieli, że cierpię przez nich. I że oni też muszą cierpieć.

Mieliśmy zwyczaj, że przyjeżdżałem pociągiem do Warszawy, zostawałem u ojca na weekend, w niedzielę chodziliśmy razem na obiad, a potem na spacer Nowym Światem, po drodze wstępując do Bliklego na słodycze. Któregoś razu, to

było już po zakończeniu zdjęć do *Dnia świra*, ojciec powiedział nad swoim pączkiem: „Słuchaj, Michał, jak ty będziesz ciągle ćpał i pił, to nie możemy się kontaktować, bo ja teraz trzeźwieję. Jak będziesz trzeźwy – owszem. Ale jak będziesz naćpany, nie dzwoń do mnie ani nie przyjeżdżaj”. Poczułem się tak, jakby ojciec publicznie dał mi w twarz: „Kurwa, a jak on pił i szczał pod siebie, to ja jeździłem do Warszawy, żeby go ratować! A teraz on mi mówi, że nie może mieć ze mną kontaktu, bo trzeźwieje, a ja jestem dla niego zagrożeniem!”. Strasznie mnie to zabolalo, byłem na niego wściekły, rozżalony i śmiertelnie obrażony. Nosilem ojca na rękach, jak on upadł, i też chciałem być noszony. Ale ojciec walczył o siebie. Po latach zapytałem go, dlaczego wtedy tak mi powiedział, a on odparł, że terapeuta mu to podsunął.

Prawda jest taka, że ja już wtedy jechałem po bandzie, bo poznałem smak heroiny. Kiedy moja mama pierwszy raz poszła do znanego w Łodzi terapeuty z pytaniem, co ma zrobić, bo syn ćpa, odpowiedział: „Proszę go wyrzucić z domu”. Mama była w szoku: „Ale jak to?! Moje dziecko? Mojego Misia? A jak coś mu się stanie?”. On na to: „Poprosiła mnie pani o radę i ja jej pani udzieliłem. Proszę spakować Michałowi walizki i wyrzucić go z domu, a potem zmienić zamki i go nie wpuszczać. Wstrząs jest jedynym rozwiązaniem”. Rzeczywiście tak doradzają terapeuci. Ale żadna matka tego nie robi.

Po tamtym spotkaniu przestałem się do ojca odzywać. Nie rozmawialiśmy aż do pamiętnego Festiwalu Filmowego w Gdyni. Zresztą zaprosiła mnie produkcja, nie ojciec. Przyjechałem, ale nie szukałem z nim kontaktu. Chodziłem po różnych klubach, jarałem jointy, piłem, poznałem różnych bandziorów z Wybrzeża, od razu stałem się ich maskotką. Znajomi śmiali się potem, że mógłbym wszędzie wyjść na imprezę bez portfela, a wróciłbym pijany, naćpany i z kokainą w kieszeni.

Chyba po trzech dniach recepcjonistka wręczyła mi zaproszenie na galę rozdania nagród, wcześniej go nie dostałem. W Teatrze Muzycznym zobaczyłem fascynujące targowisko próżności. Same znane osobistości. Ojciec w smokingu, Kondrat w smokingu, kobiety w kreacjach od Zienia i Wolińskiego, a ja w krótkich spodenkach i jordanach. Stałem z boku pod ścianą, noga za nogę,

i z rozbawieniem patrzyłem na ten spektakl: nagrody, brawa, nagrody, brawa... Wyszedłem na papierosa, bo wiało nudą. Kiedy wróciłem, usłyszałem: „Grand Prix Festiwalu – *Dzień świra* Marka Koterskiego”. Szok. Ojciec wyszedł na scenę, odebrał Lwy i wzruszony powiedział: „Dziękuję za te Lwy, ale muszę państwu powiedzieć, że nie dostałbym tej nagrody, gdyby nie mój syn. Gdyby Michał mnie nie powstrzymał rok temu, nigdy nie dokończyłbym tego filmu. Chciałem mu podziękować z tego miejsca”. Z pierwszego rzędu wstała jakaś elegancka dama i zaczęła mnie lekko wypychać na scenę, co wystraszyło ochronę prezydentowej Kwaśniewskiej, która wtedy wraz z Waldemarem Dąbrowskim, ówczesnym ministrem kultury, wręczała Grand Prix Festiwalu. Pomyśleli chyba, że to zamach. Złapali mnie za ręce i wtedy ktoś krzyknął: „Zostawcie go, to syn Koterskiego!”. Wpadłem na scenę w krótkich spodenkach, wysuszony jak patyk od narkotyków i oszołomiony. Przytuliłem się do ojca i rozplakałem. Ludzie klaskali, a pani Jolanta Kwaśniewska ścisnęła mnie za rękę, mówiąc, że mam niezwykłego ojca. Wtedy coś we mnie tąpnęło. Zawsze uważałem, że ojciec kocha sztukę bardziej niż wszystkich. A Adaś Miauczyński jest jego ukochańszym dzieckiem niż ja. I że twórczość zawsze była dla niego na pierwszym miejscu, a dopiero potem cała reszta. Chyba pierwszy raz w życiu uwierzyłem, że jednak ja jestem jego największą miłością.



Na bankiecie ludzie filmu podchodzili do mnie i dziękowali. Zachodziłem w głowę, za co mi dziękują, aż ktoś powiedział: „Ta chwila pokazała, jak film przeplata się z życiem. Tak naprawdę są jednością”. Dużo osób wiedziało, że to jest też pojednanie ojca i syna. To była magiczna chwila. Jeszcze parę lat po tym wydarzeniu, kiedy jeździłem na Festiwal, ludzie mi ją przypominali. Ten moment pokazał, że mimo całej tej uroczystej gali, blichtru i nagród to drugi człowiek jest najważniejszy. Tego dnia nigdy nie zapomnę, myślę, że to był przełom w mojej relacji z ojcem.

Puenta tego wieczoru zapisała się na zawsze w archiwach wielu gazet. Była w... rockandrollowym stylu.

Bankiet w końcu mi się znudził i po północy ruszyłem do klubu spragniony towarzystwa sopockich bandziorków. Szedłem zdrowo nawalony głównym bulwarem, kiedy podjechał samochód i z okna wysunął się wielki zoom aparatu fotograficznego. To był Przemek Stopa, którego poznałem dwa dni wcześniej w jakimś klubie, najstłynniejszy wówczas polski *paparazzo*. „Cześć, Misiek!” – krzyknął z okna. Nie potrzebowałem dodatkowej zachęty: zdjąłem gacie

i wystawiłem mu gołą dupę do obiektywu. Kiedy zaczął pstrykać zdjęcia, podjechał do nas radiowóz policyjny, otworzyły się drzwi i jeden z policjantów grzecznie zapytał: „Dzień dobry, ładnie to tak pokazywać goły tyłek w miejscach publicznych?”. Zacząłem coś bełkotać, zaplątałem się we własne nogi i zawisłem na drzwiach radiowozu. Stopa tylko na to czekał. Wyskoczył z samochodu i zaczął robić nam zdjęcia. Policjanci, nie rozumiejąc, co się dzieje, na wszelki wypadek lekko mnie odepchnęli i odjechali. Dotoczyłem się do klubu i bawiłem do rana. Obudziłem się o piętnastej z kacem gigantem. Miałem czterdzieści nieodebranych połączeń. Hotel był już pusty, wszyscy wyjechali. Po śniadaniu oddzwoniłem do mamy: „Misiu, coś ty tam narobił?!”. Jak to co? Ojciec Lwy dostał. Wygraliśmy. Mama: „Nie o tym mówię. Jesteś na pierwszych stronach gazet”. Rzeczywiście – ja z gołą dupą i nagłówek: „Tak Koterski junior kontaktuje się z fanami po wygranej ojca na festiwalu”. W środku, w bonusie, zdjęcia z policjantami.



ROZDZIAŁ 4

WIELKA MIŁOŚĆ, PRODUKCJA FILMOWA, BROWN SUGAR I PIERWSZY DETOKS

Tak naprawdę praca na planie *Dnia świra* zajęła ci miesiąc, który spędziłeś w Warszawie i słynnych Dębkach. Na co dzień w Łodzi prowadziłeś życie dwudziestolatka.

A w tym życiu najważniejsza była dla mnie Sylwia. Bardzo mnie kochała. I wszystko mi wybaczła. Nie wyobrażałem sobie bez niej życia, była moją pierwszą dziewczyną. Wielka miłość i przyjaźń w jednym. Tak jak mówił Nietzsche. Wszystko o sobie wiedzieliśmy. Sylwia miała do mnie ogromną cierpliwość. Pamiętam, jak jeszcze przed *Dniem świra* postanowiłem zdawać na studia aktorskie do Filmówki, ale... nie dotarłem na egzamin. Poszedłem z kolegami zajarać i zapomniałem. Moja Sylwia, widząc, że praca za barem nie zaspokaja moich ambicji, zaczęła za moimi plecami sprawdzać różne kierunki, na które – jej zdaniem – się nadawałem. Pewnego dnia powiedziała: „Słuchaj, otworzyli nowy kierunek: produkcja filmowa. Nie ma egzaminów, tylko rozmowa kwalifikacyjna. Będziesz mógł pracować w klubie, bo to są studia zaoczne. Proszę cię, spróbuj”. Zadzwoiłem do ojca, który uznał, że to jest znakomity pomysł, więc dałem się namówić. Tak zostałem studentem na kierunku produkcja filmowa.

Na pierwszych zajęciach przywitał nas Edward Zajiček, słynny kierownik produkcji. Niesamowicie elegancki i dystyngowany pan, uważany za gentlemana i playboya: „Witam państwa, może zaczniemy od tego, że każdy się przedstawi i opowie parę słów o sobie”. Był to nowy kierunek i dużo osób już wcześniej

pracowało w branży, więc wstawali i mówili: fotosista, asystentka reżysera, operator, pracownik agencji reklamowej. W końcu pan Edward zwraca się do mnie: „O, proszę! Pan Koterski, syn wybitnego reżysera. A pan czym się zajmuje?”. „Jestem barmanem w klubie Łódź Kaliska”. Sala w ryk, ale po tym jednym zdaniu wszyscy mnie pokochali. Zobaczyli, że jestem normalnym chłopakiem. Natychmiast skrócił się dystans. Do tego stopnia, że jak szedłem na balety i nie zdążyłem napisać pracy zaliczeniowej, pisali ją za mnie. Kiedy szef klubu robił wielką imprezę i nie chciał mnie puścić w weekend na zajęcia, przychodzili do mnie i opowiadali, co się działo. To była fantastyczna ekipa. Kilku z moich kolegów założyło firmy produkcyjne, które dzisiaj są potentatami na rynku.

Ty, niestety, odkryłeś nową pasję.

Na drugim roku studiów w naszej grupie pojawił się chłopak z Warszawy, który był uzależniony od *brown sugar*, czyli heroiny syntetycznej, i dał mi jej spróbować. Marihuana, amfetamina, ecstazy uzależniają i zabijają powoli. Tak samo alkohol. Heroina uzależnia od pierwszego razu. Wtedy tego nie wiedziałem.

Problem w tym, że po heroinie stan euforii i błogości jest nieporównywalny z niczym innym na świecie. Jakby człowiek przeżył sto orgazmów w ułamku sekundy. To doznanie jest tak silne, że nie możesz przestać o nim myśleć. W twojej głowie cały czas krąży tylko jedna myśl – znowu chcę to poczuć.

Uzależniłem się błyskawicznie. Kolega zaczął u nas pomieszkiwać w weekendy, kiedy przyjeżdżał na zajęcia. Sylwia niczego się nie domyśliła, była pewna, że zwyczajnie się zaprzyjaźniliśmy, a tak naprawdę połączyło nas uzależnienie. Marihuany czy amfetaminy możesz nie brać kilka dni. Przy heroinie uzależnienie psychiczne łączy się z uzależnieniem fizycznym. Nie zażyjesz, nie jesteś w stanie funkcjonować. Ból po odstawieniu jest przeszywający, czujesz się tak, jakby ktoś wziął dłuto i na żywo piłował twoją tkankę kostną. Myjesz twarz wodą, a masz wrażenie, że szorujesz ją opiłkami szkła. Na zewnątrz jest czterdzieści stopni, a ty dygoczesz z zimna. Tego nie da się z niczym porównać. Nic wcześniej nie przyniosło mi większego fizycznego cierpienia. Żeby uciec od

tego bólu, zacząłem brać, brać, brać, brać i brać. A w klubie podlewałem to jeszcze alkoholem.

Taki narkotykowo-alkoholowy cug to ucieczka. Od czego, tak naprawdę?

Nie czujesz strachu, lęku ani żadnych negatywnych uczuć, z którymi całe życie najślabiej sobie radziłem. Masz wrażenie, że znalazłeś lekarstwo na wszystkie swoje smutki, kompleksy i lęki. Lubiłem, jak było fajnie i pozytywnie, wtedy byłem w swoim żywiole. Narkotyki sprawiają, że nie myślisz o tym, co trudne czy złe, tylko po prostu lecisz. Lecisz jak surfer na wielkiej fali. On ryzykuje życie i ty też wiesz, że sięgając po narkotyk, dotykasz śmierci. Ale lecisz, bo narkotyk cię niesie. Nie ma rzeczy niemożliwych, niczego się nie boisz, świat należy do ciebie. Nie czujesz się wewnętrznie rozdarty, wiesz, czego chcesz. Jesteś w tunelu. Zapominasz o wszystkich ludziach dookoła, stajesz się egoistą, myślisz tylko o tym, żeby cały czas płynąć na swojej fali. Chcesz zatrzymać to doznanie błogostanu i pewności siebie. Wyłącznie ono się liczy. Wtedy człowiek dla bliskich staje się najgorszym wcieleniem siebie, bo widzi tylko iluzję, którą daje mu narkotyk. Ludzie, którzy cię kochają, chcą się do ciebie dostać, ale nie mają szans, bo ciebie już nie ma.

Z czasem tolerancja staje się coraz większa, żeby osiągnąć stan euforii, trzeba mieć coraz więcej narkotyku. Poznałem chłopaków, którzy brali heroinę dożylnie, mówili, że daje lepszego kopa, bo wpuszcza się ją bezpośrednio do krwiobiegu. Zastrzyki robił mi kolega, ale kiedy wyjechał, musiałem spróbować sam. Źle sobie wstrzyknąłem i dostałem podskórny wylew. Było lato, gorąco na maksa, mieliśmy pootwierane okna, oboje byliśmy spoceni, ale ja siedziałem w koszulce z długimi rękawami. Wtedy Sylwia zorientowała się, że coś jest nie tak. Nie wiedziałem, że w nocy sprawdziła mi ręce i przeszukała moje rzeczy. Kiedy na drugi dzień wróciłem z pracy do domu, czekały Sylwia i zapłakana mama: „Misiu, co ty robisz?” – zapytała. A potem błyskawicznie podwinęła mi rękawy i odsłoniła pokłute ręce. Pamiętam do dziś, jak jej odpowiedziałem: „Mamo, ale przecież tu nic nie ma”. Żyłem w tak głębokim zaprzeczeniu. Długo rozmawialiśmy.

Tłumaczyłem się, że popełniłem błąd, i obiecałem, że więcej się to nie powtórzy. Powiedziałem im to, co chcieli usłyszeć. Oczywiście kłamałem.

Wtedy w Łodzi na ulicy Piotrkowskiej był Monar. Pracował tam fantastyczny terapeuta, o którym już wspominałem. Mama mnie do niego zaprowadziła. Wyznawał zasadę, że nie przyjmuje pacjentów pod wpływem. Z jakiegoś powodu mnie jednak przyjmował. Zaraził mnie życiem na trzeźwo. Opisywał je w tak cudowny sposób, że potrafił przekonać mnie do leczenia. Sam był ze starej gwardii kompociarzy – heroinistów, którzy wytwarzali tak zwaną polską heroinę, gotując mak zmieszany z różnymi syntetykami. Trzeźwy od dwudziestu jeden lat. Przekonał mnie, żebym poszedł do tak zwanego ośrodka ambulatoryjnego. Tak trafiłem do grupy terapeutycznej, mieliśmy zajęcia codziennie od rana do południa. Potem mogłem iść do pracy. Dowiedziałem się – i bardzo mi się to nie spodobało – że nie powinienem pracować w miejscu, gdzie alkohol leje się strumieniami i jest dostęp do narkotyków. Kochałem klub, swój tryb życia i nie chciałem tego słuchać. Kiedy ktoś mówi, że czegoś mi nie wolno, od razu się najeżam i robię dokładnie odwrotnie. To było moje przekleństwo. Pewnie dlatego tak bardzo kochałem Sylwię. Była partnerką, która nigdy niczego ode mnie nie wymagała, niczego nie zakazywała ani nakazywała. Akceptowała mnie takiego, jaki byłem.

W pewnym momencie po cichu z powrotem zacząłem palić marihuanę. Pomyślałem: „Dobra, może rzeczywiście mają rację i ta heroina jest zła, ale od marychy nic mi się nie stanie”. Któregoś dnia po terapii pracownicy ośrodka niespodziewanie zrobili mi test na obecność narkotyków i natychmiast mnie wywalili.

Było ci wstyd czy raczej poczułeś się wolny?

Poczułem ulgę, wolność i... szybko wróciłem do heroiny. W mediach coraz częściej pisano, że w Polsce pojawił się nowy narkotyk, który uzależnia dogłębnie i z ogromną siłą; nazwano go „nową plagą”. Pamiętam, że jak bywałem u ojca w Warszawie, wystarczyło podjechać na Rondo Wiatraczna na Grochowie i wysiąść z tramwaju. Od razu podbiegało pięciu dilerów z brownem, każdy chciał

dorwać klienta. Ludzie zaczęli kraść, napadać, bić, wynosić z domu wszystko, co miało jakąś wartość, zdradzać najbliższe osoby, żeby tylko zdobyć kasę na kolejny towar. Szybko pojawiły się pierwsze przypadki przedawkowania i śmierci. Heroina zbierała żniwo.

Wszystko wiedziałem, widziałem i... udawałem, że mnie to nie dotyczy. Zero autorefleksji.

Nadal pracowałem w klubie, czasami w weekendy chodziłem na wykłady do Filmówki. A przede wszystkim codziennie ćpałem. To było moje główne zajęcie. Byłem tak chudy, że można mnie było powalić jednym strzałem, ale wydawało mi się, że rządę miastem. Filmy pomyliły mi się z rzeczywistością. Wdawałem się w bójkę, awantury, na haju czasami kogoś uderzyłem. W tle zawsze przewijali się gangsterzy, do których niezmiennie czułem wielką słabość. Kiedy nie wracałem na noc, Sylwia dzwoniła do mamy i mama z ojczymem – za którego tymczasem wyszła za mąż – odbierali mnie z izby wytrzeźwień albo z komisariatu. To było straszne. Dla nich, nie dla mnie.

W końcu mama zadzwoniła do mojego ojca – który cały czas żył w trzeźwości i chodził na mityngi dla anonimowych alkoholików – że trzeba mnie ratować, bo źle skończę. Ojciec podzielił się na mityngu kłopotami z synem i podczas przerwy podszedł do niego Robert, młody chłopak, który miał tak zwane uzależnienie krzyżowe, od alkoholu i od heroiny. „Słuchaj, Marek – powiedział – jestem po takich samych przejściach, od dwóch lat trzeźwy. Spędziłem rok w ośrodku terapeutycznym w Pławniowicach na Śląsku Opolskim, bardzo mi tam pomogli. Może wyślij do nich syna”.

Był jeden warunek: musiałem być czysty i trzeźwy.

Tak znalazłeś się na pierwszym detoksie. Wiedziałeś, co cię czeka?

Nie miałem pojęcia. Zresztą wtedy nie robiono detoksów, tylko tak zwane odtrucie w szpitalach psychiatrycznych. Ojczym lekarz załatwił, żeby mnie przyjęto na ulicę Czechosłowacką w Łodzi. To był jeden z lepszych psychiatryków, bo większość

cieszyła się ponurą sławą. Wylądowałem na oddziale zamkniętym, kazali mi się przebrać w piżamę. W oknach kraty, a w środku sami wariaci. Kiedy szli, szurając kapciami, do kolejki po leki, wyglądali jak zombie. Byłem przerażony. Czułem się jak w środku horroru. Spędziłem z nimi tydzień, marząc tylko o tym, żeby jak najszybciej stamtąd spieprzyć.

Do Pławniowic zawieźli mnie mama z Andrzejem. Drugim samochodem jechał ojciec z Robertem, który załatwił, że mnie tam przyjęli. Sylwia została w Łodzi.

Baleś się?

Bałem się ogromnie. Ośrodek był w środku lasu, dookoła same drzewa. Przyjmował mnie terapeuta Bogdan, wielki, łysy chłop, na ciele kropki i kreski jak u więźnia. Pomyślałem: „Ja pierdolę, gdzie ja trafiłem”. Po nim wyszło trzech wybujańców, od razu poznałem, że to „biała brygada”, amfetaminiarze i kokainiarze, czyli „gorsi”. Heroiniści zawsze uważali się za elitę. Ja brałem wszystko, ale głównie browna. Bogdan powiedział: „Pójdiesz z chłopakami na rewizję osobistą, a potem pokażą ci ośrodek”. Wzięli moje walizki, poszliśmy do mojego nowego pokoju i tam metodycznie przeszukali każdą rzecz, nawet szwy w ubraniach, sprawdzając, czy przypadkiem nie schowałem gdzieś narkotyków. Kazali mi rozebrać się na golasa i zrobić przysiady, na wypadek gdybym w tyłku szmuglował towar. Stałem nagi, na bosaka, ale od razu zacząłem bajerkę, figo-fago, próbując im zaimponować. To musiał być żenujący widok: wysuszony jak szkieletor puszę się i udaję nie wiadomo jakiego gangusa! Gorliwie buduję swój wizerunek. Widać, że chłopaki łykają moją opowieść jak pelikany, a tu nagle otwierają się drzwi, terapeuta wchodzi z moją mamą, która patrzy na mnie i mówi: „Misiu, nie stój na boso, bo się przeziębisz!”. Przez piętnaście minut prężyłem muskuły, a moja matka jednym ruchem zburzyła wszystko jak domek z kart. Oni rozbawieni do łez, ja upokorzony. Matka zawsze potrafi zrobić z synkiem porządek. Wesprzeć w najodpowiedniejszym momencie.

Rodzice odjechali, zostałeś sam. Spędziłeś w tym ośrodku prawie rok. To dużo. Pamiętaj pierwszą noc?

Oczywiście. W pierwszą noc zaprzyjaźniłem się z chłopakiem, z którym dzieliłem pokój. Wbrew początkowym obawom od razu poczułem się tam dobrze. Wiedziałem, że jestem wśród swoich, że tu każdy mnie rozumie, bo ma ten sam problem. Bogdan został moim terapeutą prowadzącym. Był legendą Opola. Wszyscy go znali, łącznie z największymi bandziorami. W poprzednim życiu handlował heroiną, gotował kompot, kilka razy siedział w więzieniu. Zaprosił mnie do swojego gabinetu, żebym opowiedział mu o sobie, a potem mówi tak: „Jestem dziewiętnaście lat terapeutą. Siedziałem w więzieniu. Uwierz mi, że nie ma takiej sytuacji w życiu, z której nie można się podnieść”. I rzeczywiście, sam był świadectwem, wierzyło się w każde jego słowo. O dziwo, wbrew wyglądowi był najłagodniejszym i najspokojniejszym terapeutą ze wszystkich, których poznałem. Miał w sobie mnóstwo ciepła i dobroci, czasem nawet dyrektor ośrodka zarzucał mu, że jest dla nas zbyt miękki. Dzięki niemu poczułem się tam bezpiecznie i od razu zaakceptowałem reguły gry. A one były bardzo proste. Przez pierwszy miesiąc nie mogłem mieć z nikim kontaktu telefonicznego. Do czwartego miesiąca nie mogłem wychodzić sam nawet do sklepu, na boisko ani do pracy w lesie; wszędzie chodziłem z opiekunem.



Drugim moim ulubionym terapeutą był Stachu, Ukrainiec, jedenaście lat trzeźwy. Wspaniały człowiek, dzięki niemu przeczytałem pierwszą książkę w życiu. Dał mi *Alchemika* Paulo Coelho. Stachu ogromnie mi pomógł. Przyszedłem do ośrodka z emocjonalnym garbem – wielkim buntem przeciwko rodzicom. Kiedy przestałem ćpać, moja nienawiść do mamy i do ojca wybuchła z taką agresją, że nie byłem w stanie tego kontrolować. Na każdych zajęciach za wszystko obwinałem rodziców. Któregoś dnia Stasiu wziął mnie na indywidualną terapię. Zwierzyłem mu się wtedy: „Mam kryzys. Dopiero do mnie dociera, jak

bardzo nienawidzę rodziców za to, że mi zafundowali takie życie. Matka wybrała tego alkoholika, a on mi zniszczył życie i teraz przez nich tutaj wylądowałem”. Słuchał mnie cierpliwie, a potem powiedział: „Michał, wyobraź sobie, że kiedyś twoi rodzice też byli małymi dziećmi. Że twoja mama była małą dziewczynką, która się bała, która była zastraszana, która nie wiedziała, jaką drogą w życiu pójść. Że twój ojciec – tak jak nam opowiadałeś – sam miał ojca alkoholika, twój dziadek zapił się na śmierć...”. Tłumaczył mi to wszystko spokojnym tonem. Świadomość, że moi rodzice też mogli mieć ciężkie dzieciństwo, mną wstrząsnęła. Do dwudziestego trzeciego roku życia wydawało mi się, że moi rodzice urodzili się dorośli. Nigdy im nie dawałem prawa do błędu. Łatwiej było mi ich oskarżyć, ponieważ myślałem: „Jak oni – dorośli – mogli do tego dopuścić?”. Do głowy mi nie przyszło, że moja mama była kiedyś małą dziewczynką, że mój ojciec był małym chłopcem. Bitym i przerażonym. Staszek powiedział mi jeszcze jedną mądrą rzecz. Ona była kluczowa: „Michał, dopóki tego nie zrozumiesz i nie wybaczysz rodzicom, całe życie będziesz zrzucał odpowiedzialność za swoje życie na nich. Dopóki nie przestaniesz ich obwiniać, nie ruszysz z miejsca. I tylko ty na tym stracisz”. Zrozumiałem, co do mnie mówił. Kiedy sobie wyobraziłem moją malutką mamę i mojego tatę w piekle ich dzieciństwa, pierwszy raz w życiu pomyślałem o nich z empatią. Może nawet ze zrozumieniem. Z czasem przyszło wybaczenie i – co najważniejsze – uczucie inne niż żal, złość, poczucie krzywdy. Tamtego dnia poczułem, że naprawdę ich kocham.

W filmie Łukasza Palkowskiego *Najlepszy* Marek Kotański, legendarny twórca *Monaru* – świetnie zagrany przez Janusza Gajosa – mówi: „Uzależnienie od narkotyków to straszna choroba. Z tego wychodzą tylko mistrzowie świata! Komu się uda – jest wybranym”.

Dzisiaj nie do końca zgodziłbym się z tym stwierdzeniem. Przez lata leczenia widziałem wielu wspaniałych ludzi, którzy robili wszystko, żeby wyjść z tej choroby, i naprawdę tego chcieli. Byli najlepszymi pacjentami. A i tak wracali do uzależnienia. Uważam, że jest to pewnego rodzaju łaska, której nie każdy może

dostąpić. W nałogu nie ma kompromisów. Kiedy człowiek jest alkoholikiem, nie może „czasem napić się piwa” ani siedzieć z pijącymi i nie pić. Tak samo jest z narkomanami. Jeśli poszło się w jedną skrajność, łamiąc normy i zasady, to trzeba pójść na maksa w drugą stronę, poświęcić wszystko, żeby potem znaleźć złoty środek i wrócić do normalności.

Tu chciałem zrobić dygresję. Kiedy ja się rodziłem, ojciec dla Wytwórni Filmów Oświatowych robił film o pierwszym ośrodku dla narkomanów w Głoskowie, gdzie głównym zarządzającym był Marek Kotański. Tato ciągle tam jeździł i robił wywiady środowiskowe. Poraziło go – opowiadał mi po latach – że mieszkali tam piękni, młodzi, inteligentni ludzie. Przebywały tam również uzależnione od heroiny młode matki z malutkimi dziećmi i tato za każdym razem przywoził im ubranka po mnie. Mama była zła: „Nie dawaj im, bo to przyniesie pecha”. Niedawno sama to wspominała. Jestem osobą wierzącą, uważam, że nie ma przypadków. Ojciec w 1989 roku na podstawie swoich notatek napisał scenariusz spektaklu telewizyjnego, którego bohaterami są Marek Kotański – w jego roli wystąpił Jerzy Stuhr – i społeczność ośrodka Monaru. W jednego z pacjentów wcielił się Zbigniew Rola, który potem zagrał w *Porno*. I tam Kotański mówi: „Narkomana trzeba złamać i zbudować na nowo”. Ta polityka z biegiem czasu ewoluowała, bo zmieniły się narkotyki. Puenta tej historii jest taka, że dyrektorem ośrodka w Pławniowicach, do którego trafiłem, był Krzysztof Czekaj, wychowanek Monaru z Głoskowa.

Historia zatoczyła koło...

Życie pisze najpiękniejsze scenariusze, mój tato zawsze to powtarza. W Pławniowicach było około trzydziestu pensjonariuszy. Chłopaki i dziewczyny z całej Polski. Gwiazdy narkomanii. Tak jak zauważył mój ojciec – piękni, młodzi i inteligentni ludzie. To się nie zmieniło. Byliśmy wśród swoich, każdy z nas w jakimś sensie wychował się na ulicy. Jeśli byłeś w stanie zdobyć duże ilości narkotyków, to znaczy, że zajrzałeś diabłu w oczy. Ci młodzi mieli tego

świadomość. Każdy z nas wiedział, że tam nie siedzą amatorzy. Łączył nas ten sam głód. Trawiła ta sama choroba. Na dzień dobry wiedzieliśmy o sobie wszystko.

W takim ośrodku przez pierwszy miesiąc człowiek oswaja się z nowym życiem. Plan dnia był restrykcyjny. Szósta trzydzieści – pobudka, pół godziny na ubranie się i toaletę, o siódmej biegaliśmy trzy kilometry, bez względu na pogodę. Wtedy myślałem, że trafiłem do piekła, bo heroiniści, którzy odstawili narkotyki, rano są w dygocie. Na szczęście mój organizm szybko się zregenerował. Potem sprzątanie pokoi, w każdym mieszkało pięć osób. Jedną z podstawowych zasad: nikt nigdy nie może być sam. O siódmej trzydzieści śniadanie i praca do godziny czternastej. To był nowy ośrodek, nie było w nim jeszcze wody, woziliśmy ją z pobliskiego domu w wielkich baniakach na taczkach. W kotłowni palono drewnem, inna grupa szła więc do lasu rąbać drewno. Nikt nie pytał, co umiesz. Dostawało się przydział do konkretnej pracy i trzeba było się nauczyć. Ja nic nie umiałem. Miałem dwie lewe ręce do roboty. O czternastej praca się kończyła, jedliśmy obiad, potem drzemka, a po południu zajęcia terapeutyczne.



Moim opiekunem został Jacek. Pamiętam go do dziś. Wspaniały facet, przystojny, świetnie zbudowany. Oczywiście okazało się, że wcześniej był w jakiejś grupie przestępczej, obecnie na warunkowym. Jako osoba uzależniona zamiast do więzienia trafił do naszego ośrodka na odwyk. Jak wiesz, zawsze miałem pociąg do twardzieli i bandziorów. Od razu się z nim zakumplowałem. Jacek zgarnął mnie pod swoje skrzydła, co szybko okazało się bardzo pożyteczne. Otóż żeby w naszym ośrodku wziąć kąpiel – czyli umyć się w zimnej wodzie

lejącej się prosto z baniaka – która każdemu przysługiwała raz na trzy dni, trzeba było czekać w kolejce. Pamiętam, jak weszliśmy pierwszy raz do łazienki i Jacek zapytał: „Kto następny w kolejce?”. Jakiś chłopak mówi: „Ja”. A mój opiekun: „Dobra, to wypierdalaj. Młody będzie się kąpał”. Zrozumiałem, kto trzęsie tym ośrodkiem. Zawsze rozpisywał mi lżejszą pracę i mogłem sobie bimbać.

Im dłużej tam byłem, tym bardziej – mam świadomość, że to może dziwnie zabrzmieć dla kogoś, kto czegoś takiego nie doświadczył – tych ludzi kochałem. Wytworzyła się między nami niesamowita więź. Z góry ustalony rytm dnia okazał się świetnym sposobem na życie, którego nie znałem, bo nigdy takiego trybu życia nie prowadziłem. Tu wszystko było przemyślane i robione po coś.

Po miesiącu wszyscy nowi trafiali do pierwszej grupy terapeutycznej, na tak zwany przewodnik samopoznania, który zaczynał się od napisania picio- lub ćpajorysu. Jednym słowem, opisywałeś swój życiorys w szczegółach. Nasza terapia opierała się na dwunastu krokach, na których są oparte wszystkie mityngi na świecie. W skrócie polega to na tym, że nieznanym ludziom opowiadasz najintymniejsze historie ze swojego życia i orientujesz się, że łatwiej ci o tym mówić obcym niż bliskim. To było megaważne odkrycie. Dotarło do mnie, że tylko inny uzależniony jest w stanie mnie zrozumieć. Łączyło nas uzależnienie, ale każdy doszedł do niego swoją drogą. Jedna z dziewczyn mówiła, że ojciec molestował ją w dzieciństwie. A druga opowiadała, że miała wspaniały dom: „Były pieniądze, jeździliśmy na cudowne wakacje, rodzice poświęcali mi czas. Nie wiem, co się stało. Spróbowałam narkotyków z ciekawości i już nie mogłam przestać”. Badania pokazują, że dwadzieścia procent ludzi ma gen odpowiedzialny za to, że uzależniają się szybciej i łatwiej niż pozostali, bez względu na przeżycia czy warunki, w jakich się wychowali. Podobnie jest z alkoholem. Jedni piją z umiarem całe życie, inni po pół roku uzależniają się i zostają alkoholikami, a jeszcze inni po kilku latach kontrolowanego picia. Dlatego jestem przeciwny legalizacji marihuany, bo to jest narkotyk, substancja zmieniająca świadomość. Wielu narkomanów zaczynało właśnie od „trawki”. Ja również. A z drugiej strony, wszyscy wiemy, że najwięcej alkoholu wypito w czasach prohibicji. Może więc

jednak zalegalizowanie marihuany miałoby jakiś sens? Tak naprawdę nie wiem. Staram się nie wymądrzać na ten temat, bo od tego są specjaliści i terapeuci. Oni się na tym znają. Martwi mnie jednak myśl, że legalizacja marihuany skończy się tak jak dopuszczenie do sprzedaży dopalaczy. Kiedy były ogólnodostępne, pod sklepami stały dzieciaki dwunasto- i trzynastoletnie, a w środku starsi koledzy kupowali im dowolną ilość tego świństwa. Szybko okazało się, że liczba zapaści, przypadków nieodwracalnych zmian w psychice i mózgu oraz nagłych zgonów jest porażająca. To było piekło na ziemi.

To prawda. Ale powiedziałeś ważną rzecz: wielu narkomanów zaczęło od „trawki”.

No właśnie. Nie można tego bagatelizować. Jestem tego żywym dowodem!

W każdym razie na terapii wysłuchiwałem swoich spowiedzi, a opowiadaliśmy o największych traumach. Możesz sobie wyobrazić, co tam się działo. Z dnia na dzień stawaliśmy się sobie coraz bliżsi. W pewnym momencie czujesz, że jesteś w najbezpieczniejszym i najlepszym miejscu na ziemi, również dlatego, że w takim ośrodku człowiek jest odłączony od problemów dnia codziennego. Nie martwisz się, z czego zapłacisz rachunki, za co zjesz obiad, w każdej chwili twojego załamania nerwowego w pokoju obok są terapeuci i ludzie, którzy cię rozumieją i wspierają. Nigdy nie jesteś sam. Kiedy po terapii alkoholicy czy narkomani konfrontują się na nowo z realnym światem, muszą przestrzegać tak zwanego haltu – to skrót od słów: *hungry, angry, lonely, tired* – czyli dbać o to, aby nie być głodnym, złym, samotnym czy zmęczonym. W ośrodku masz to zapewnione na miejscu. Na zewnątrz nie jest to takie proste.

Tam po raz pierwszy zrozumiałem, że nigdy wcześniej nie spotkałem się z rzeczywistością. Powoli spadały kurtyny iluzji i odsłaniałem się prawdziwy ja. Jak ci mówiłem, długo nie mogłem ruszyć w tej terapii, bo za wszystko obwiniałem rodziców. Dosłownie za każdy oddech, za każde niepowodzenie, za każdy lęk. W trzecim miesiącu trzeźwienia poszedłem na terapię do Staszka, o którym już słyszałaś, i to było olśnienie. Wtedy zacząłem trzeźwieć. Poczulem to

niemal fizycznie. Wybiegając trochę w przyszłość: pamiętam, jak po pobycie w kolejnym ośrodku zapytałem ojca, dlaczego to zdrowienie tak długo trwa. Dlaczego znowu mi się nie udało? Znowu zniszczyłem sobie życie i nie zrobiłem tego, co powinienem. A ojciec mi powiedział: „Gdybyś mógł, tobyś to zrobił. Z jakiegoś powodu musisz przejść taką, a nie inną drogę”.

Bardzo proste pytanie, ale boję się odpowiedzi: były narkotyki w tym ośrodku?

Były. Chyba zawsze znajdą się ludzie, którzy pękają. Mój opiekun Jacek i jego koledzy tworzyli grupę niebieskich ptaków ośrodka. Wśród nich była Ewelina, dziewczyna z Sopotu, z bogatego domu, podobna do młodej Cindy Crawford. Ciągle sprawiała kłopoty, ale była piękna. Strasznie mi się podobała, podkochiwałem się w niej skrycie. Pewnego dnia Ewelina wzięła mnie na rozmowę, usiedliśmy pod drzewem i zapytała: „Słuchaj, a co by było, gdyby się okazało, że Michał – prezes naszej społeczności, chłopak, który leczył się już jedenaście miesięcy i niedługo kończył pobyt w ośrodku, najbardziej zaufana osoba i wzór do naśladowania – jest uwikłany w układ?”. Dla wyjaśnienia – w ośrodkach często tworzą się układy między pacjentami, którzy łamią zasady. Jeśli w tak zwanej ochronie, która trzy razy dziennie sprawdza źrenice i język wszystkich pacjentów, umieścisz ludzi z układu, oni zawsze „swoich” odnotują jako trzeźwych, choć ci będą pod wpływem narkotyków. Momentalnie zrozumiałem, że chciała mnie wciągnąć w taki układ. Michała podała jako teoretyczny przykład, żeby odciągnąć uwagę od Jacka, na wypadek gdybym odmówił. Nagle wszystko ułożyło mi się w logiczną całość. Na szczęście terapeuci byli wyczuleni, to nie była ani pierwsza, ani ostatnia taka sytuacja. W naszym ośrodku był program adaptacyjny dla ludzi, którzy kończyli terapię. Polegał na tym, że po wyjściu dostawałeś mieszkanie w innym mieście, żebyś nie musiał wracać od razu do swojego środowiska naturalnego. Jeśli byłeś z Łodzi, lądowałeś na przykład w Katowicach, Gliwicach czy Zabrze. Mieszkanie było za darmo pod jednym warunkiem: że w ciągu miesiąca, a w wyjątkowych wypadkach dwóch, znajdziesz

pracę. Dziewczyna, która korzystała z tego programu, miała romans z jednym z chłopaków z układu. A ponieważ była trzeźwa, któregoś dnia przyjechała do ośrodka i powiedziała dyrektorowi, że część pacjentów zażywa narkotyki. Dyrektor zebrał naszą społeczność, przyjechali wszyscy terapeuci i zaczęły się obrady. Trochę to trwało, ale w końcu kilka osób pękło i układ został rozbity.

Domyślam się, że karą za zażywanie narkotyków jest usunięcie z ośrodka?

Tak. Natychmiastowe. Pakujesz się pod okiem nowej ochrony i wyjeżdżasz. Chodzi o bezpieczeństwo innych pacjentów.

Oczyszczono ośrodek, przyjechali nowi pacjenci. Moja terapia ruszyła pełną parą. Chciałem się leczyć. Dopiero wtedy zauważyłem, że pod skrzydłami Jacka migąłem się od pracy, a więc też łamałem zasady. Narkomania to choroba iluzji i zaprzeczeń. Terapeuci zawsze kładli duży nacisk na uczciwość, czego ja długo nie rozumiałem. Tłumaczyli: „Jedna nieuczciwość, jedno kłamstwo, jedna tajemnica u narkomana jest jak rak. Rozprzestrzenia się po całym ciele i duszy i pożera”. Kiedy oczyścił się ośrodek i zacząłem trzeźwieć na sto procent, nagle przyszedł kryzys. Pojawił się jakiś bunt, wewnętrzny opór, jakaś rozpacz, że wyrzucili tych ludzi. O wszystko się kłóciłem, sprzeciwiałem zasadom, przez co byłem dociążany przez społeczność. To były swego rodzaju kary: rąbałem drewno w lesie, czyściłem kible, gotowałem dla trzydziestu osób zupę mleczną, której sam nienawidziłem. Stałem się królem tych kar, codziennie, od rana do wieczora byłem w pracy. Zauważył to Stasiu i pewnego dnia powiedział: „Mikun – taką miałem dziwną ksywę, nie wiem dlaczego – zdejmuję z ciebie wszystkie obowiązki. Zaczynamy od nowa”. Ze Stasiem moja terapia rozkwitła. Pod koniec zostałem wybrany na prezesa całej społeczności.

To był czas, za który jestem na maksa wdzięczny, bo pierwszy raz spotkałem się ze sobą, ze swoimi uczuciami. Kilka lat temu mój ojciec zrobił film *Siedem uczuć*. Otwierają go słowa profesora Wiktora Osiatyńskiego, wybitnego prawnika i słynnego alkoholika, o tym, że w szkole nauczono go wielu rzeczy, ale nie tego, że jest siedem podstawowych uczuć, które trzeba umieć wyrażać: radość, złość,

smutek, strach, samotność, wstyd i poczucie winy. To prawda. Wychodzimy ze szkoły, znając na pamięć wszystkie dopływy Nilu czy Mekongu, daty koronacji polskich królów i tablicę Mendelejewa, ale o samych sobie wiemy niewiele albo nic. Nikt nas w szkole nie uczy rozpoznawania swoich uczuć, mówienia o nich ani – co gorsza – radzenia sobie z trudnymi emocjami. One są spychane na margines. W ośrodku doznałem oświecenia.

ROZDZIAŁ 5

ŻYCIE PO TERAPII, STACJA BENZYNOWA, POWRÓT DO HEROINY I WSZYSCY JESTEŚMY CHRYSZTUSAMI

Skończyłeś terapię i zacząłeś nowe życie?

Pamiętam dokładnie moją zakończeniówkę. Zdałem jako najlepszy pacjent, wszystko było super: bardzo dobrze poszła mi terapia, byłem pracowity, pomocny, okazałem się świetnym prezesem. W ośrodku to jest najwyższa i najbardziej odpowiedzialna funkcja, jaką może sprawować pacjent. Jako prezes zarządzasz całą społecznością. Jednym słowem, wyniesiono mnie na piedestał. Zgodnie z obyczajem odcisnęliśmy swoje dłonie jak na słynnej Alei Gwiazd, tylko że w gipsie, i powiesiliśmy te odlewy na bramie. Wychodziliśmy we trójkę: ja, Magda i Tomek. Każde z nas naładowane dobrą energią. Wydawało nam się, że świat czeka na nas z otwartymi ramionami. A życie... sprowadziło mnie do parteru.

Spakowałem walizki i pojechałem do Zabrze, gdzie dostałem mieszkanie readaptacyjne. Takie było zalecenie terapeutów. Chodziło oczywiście o to, żebym nie wracał do domu. Zamieszkałem sam w mieście bardzo podobnym pod względem atmosfery do Łodzi: wszędzie familoki, jedyne, co pamiętam, to Multikino, do którego chodziłem oglądać filmy. Była zima, szaro, buro, ciemno. Strasznie. I przede wszystkim samotnie. Mój najlepszy kolega, z którym kończyłem terapię, wyjechał z partnerką do Holandii.

Nie mogłem znaleźć pracy, nic mi się nie udawało. W końcu dostałem robotę na stacji benzynowej. Pensja wynosiła sześćset pięćdziesiąt złotych, pracowałem na

zmiany. Pierwszego dnia każdy, kto podjeżdżał, na mój widok wołał: „O kurwa, ja pierdołę! Jak tatuś robi dziubek, to nie ma chuja we wsi!”. Ludzie myśleli, że to ukryta kamera. Nie mieściło im się w głowie, że koleś z *Dnia świra* pracuje na stacji benzynowej. Z jednej strony było mi wstyd i zapadałem się pod ziemię, a z drugiej – bardzo miło, bo wszyscy super na mnie reagowali. Jedynie kierownik zmiany był wkurwiony i znęcał się nade mną. Kazał mi zbierać pety i czyścić kible, a musisz wiedzieć, że niektórzy klienci stają na deskach klozetowych, bo brzydzą się usiąść, i srają w pozycji „na Małysza”. Pamiętam, że trzeciego dnia wszedłem do kibla i zobaczyłem muszlę obsraną z góry do dołu, łącznie z deską opartą o spłuczkę. Wyglądała jak obsrana skocznia narciarska... Wtedy nie wytrzymałem i rzuciłem kierownikowi w twarz: „Wiesz co, kurwa, sam se to sprzątaj. Chuj z tą robotą”. Wróciłem do mieszkania rozgoryczony. Jeśli tak ma wyglądać trzeźwość, to ja dziękuję. Miało być nowe życie, miało być fajnie, a jestem zły i samotny.

No właśnie, chciałam zapytać o tę samotność. A Sylwia?

Sylwia była przy mnie cały czas. Na początku przyjeżdżała do ośrodka raz w miesiącu. Po czwartym miesiącu wyszedłem na pierwszą przepustkę z opiekunem, potem mogłem wychodzić sam, więc regularnie się widywaliśmy. Kiedy zamieszkałem w Zabrze, Sylwia została w Łodzi. Studiowała i pracowała u mojej mamy w firmie. Miała swoje życie. Nie chciałem, żeby ponosiła konsekwencje mojego nałogu.

Długo jednak sam nie wytrzymałem. Zacząłem coraz częściej jeździć do Łodzi. Rósł we mnie bunt. Pewnie sobie myślałem: „Nie nadaję się do normalnego życia. Pracy znaleźć nie mogę. Kibli czyścić nie będę. Pierdołę to”. Jedyne, na czym znałem się naprawdę, to było zażywanie narkotyków. Podczas kolejnej wizyty w Łodzi kupiłem heroinę i wróciłem z nią do Zabrze. Kiedy się upaliłem, życie od razu zaczęło mi się bardziej podobać. Wiedziałem, że nikt mnie nie nakryje, nikt mi głowy nie będzie suszył. Wreszcie znowu byłem z moją „przyjaciółką od samotności”, jak śpiewał Maleńczuk: „Piękna to była dziewczyna, a na imię miała heroina”. Do kina miałem blisko, mogłem pół dnia oglądać filmy. „No i leciałem,

leciałem. Chciałem umrzeć, ale nie umarłem”. To też słowa piosenki Maleńczuka, który doskonale wiedział, o czym śpiewa. Heroina po raz kolejny okazała się lekarstwem na wszystkie moje problemy.

Pieniądze dawali mi rodzice, bo myśleli, że trzeźwieję. Ale kłamstwo ma krótkie nogi. Pojechałem do Sylwii, która, nauczona doświadczeniem, coś wyczuła. Kiedy spałem, przeszukała moje ubrania i znalazła rurkę aluminiową do palenia. Nic mi nie powiedziała. Wróciłem do Zabrza i na drugi dzień zadzwonił do mnie terapeuta Krzysiek Czekaj. Mówi: „Jak u ciebie? Wpadniemy z George’em pogadać”. George też był terapeutą. Dobra – odpowiedziałem niczego nieświadomy. Przyjechali i już na wstępie oznajmili: „Sylwia dała nam znać, że znalazła u ciebie rurkę. Jesteśmy tu, żeby dać ci szansę. Przyjmujemy cię od razu do ośrodka. Coś poszło nie tak, będziemy nad tym pracować. Przemyśl to do jutra”. Przypomniało mi się, jak w czasie kiedy kończyłem terapię, dostaliśmy wiadomość, że piękna Ewelina, w której się kochałem, nie żyje. Przedawkowała heroinę. Jacka, mojego przyjaciela z ośrodka, spotkałem na dworcu w Katowicach: wychudzony, w łachmanach, śmierdzący. Wrak człowieka. Nie poznał mnie, kiedy prosił o pieniądze. Wiedziałem, że też mogę tak skończyć...

Ale...?

Spakowałem się i pojechałem do Łodzi. Nie usprawiedliwiam się, ale bardzo rzadko się zdarza, żeby po nieudanej terapii człowiek od razu chciał się leczyć. Jesteś znowu w szponach uzależnienia. W filmie *Wszyscy jesteśmy Chrystusami* jest taki dialog między Adasiem Miauczyńskim a Aniołem:

„– (...) siedem lat już nie piłem prawie, jeden anioł mnie powstrzymał.

– A kto ci znów kazał pić?

– I bo potem drugi anioł, że »już możesz«, powiedziałeś mi, że mogę.

– Na pewno to nie byłem ja, tylko jakiś przebieraniec pierdolony, ja jestem Stróż, Anioł Straż, trzydzieści trzy lata służby bez spania, i nie mogłem nigdy powiedzieć, że możesz!”.

Ja – mimo że widziałem, jak na moich oczach umierają najbliżsi, z wiedzą, którą posiadałem po rocznym intensywnym leczeniu – byłem przekonany, że mogę!

Na mityngach zawsze się powtarza: nieważne, ile czasu żyjesz w trzeźwości, pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat. Od powrotu do narkotyków czy do alkoholu zawsze dzieli nas jedna dawka, jeden kieliszek. Jeden to za mało, tysiąc nigdy dość. Musisz pogodzić się z tym, że siedzisz na bombie zegarowej.

Znowu wpadłem w piekło uzależnienia. Rodzice i Sylwia mogli mnie wyrzucić, ale nie mieli serca. Myślę, że w pewnym momencie to było wpisane w ich rzeczywistość. Borykałem się z uzależnieniem od czternastego roku życia. Zdążyłem pracować, studiować, zagrać w *Ajlawju* i *Dniu świra*. Rodzice chyba przyjęli – to nie jest oskarżenie pod ich adresem, tylko stwierdzenie faktu – że mój nałóg jest częścią ich życia. Mama całe życie powtarzała: „Misio zawsze spada na cztery łapy”. Może wierzyła, że kiedyś mi się uda?

Tak się stało, tyle że trochę później.

Pożyłem tak z pół roku. Wróciłem nawet na studia, oczywiście to już była inna grupa, inni ludzie, ale w sumie rzadko bywałem na zajęciach. Nasze mieszkanie na Manhattanie wynajęliśmy Turkowi, który otworzył bar z kebabem, i zamieszkaliśmy na Widzewie, w domku prababci Sylwii, która miała dziewięćdziesiąt siedem lat, była przykuta do łóżka, bo złamała nogę, i ktoś musiał się nią zajmować. Sylwia pracowała, ale ja miałem czas. Często mówi się, że ludzie, którzy zażywają narkotyki, tracą ludzkie odruchy, nie mają w sobie żadnej empatii. Nie wiem dlaczego, ale ja ją miałem. Siedziałem z prababcią Sylwii, jarałem marihuanę i dmuchałem jej w nos, a ona się uruchamiała. Wtedy mi się wydawało, że to świetny pomysł, przynajmniej ma coś z życia. Opowiadała mi o swoim ukochanym Józku, który przyjeżdżał do niej na koniu, o rodzicach, siostrach, swojej młodości i drugiej wojnie światowej. Uwielbiała mnie, a ja się nią opiekowałem. Karmiłem, pomagałem wstawać z łóżka, załatwiać potrzeby do wiaderka, myć się. Zawsze waliła laską w wiaderko i wołała: „Misiu, sikuny trza

wynieść!”. Spędzałem z nią mnóstwo czasu, może dlatego Sylwia wciąż mnie kochała i nie zostawiła.

Jednocześnie ćpałem na potęgę. Szybko zjechałem do stanu upodlenia. Kiedy były przerwy w dostawach towaru i nigdzie nie mogłem zdobyć heroiny, miałem masakryczne głody. Na takim zejściu chodziłem po ścianach. Nie wiedziałem, jak sobie pomóc. Któregoś dnia, jak już nie byłem w stanie wytrzymać, poprosiłem Sylwię, żeby zawiozła mnie na odtrucie. Jeździliśmy po różnych szpitalach psychiatrycznych, wreszcie w Pabianicach pod Łodzią ubłagaliśmy sympatycznego lekarza, który rozpoznał Sylwusia z *Dnia świra*, żeby przyjął mnie na oddział. Po raz kolejny znalazłem się na sali z wariatami. Miałem szczęście do różnych dziwnych ludzi. Tym razem leżałem z gościem, który miał schizofrenię paranoidalną, wielki chłop, około metra dziewięćdziesięciu wzrostu. Na pierwszy rzut oka wydawał się bardzo miły. Po kilku dniach dowiedziałem się, że został zamknięty, gdyż chciał odrąbać żonie głowę siekierą, bo widział wypływające z niej głowy smoków i węży. Byłem lekko przerażony. Wyobraziłem sobie, co to będzie, jak u mnie coś zobaczy. Pewnego dnia obudził mnie w nocy i zapytał, czy może pożyczyć moje buty. Miałem nowiutkie skechersy, model, o którym marzyłem, kosztował z pięćset złotych, wtedy fortuna. Byłem jedyną osobą na oddziale, której pozwolono zatrzymać buty, wariatom nie było wolno, żeby nie uciekli. Lekarz po wielu błaganiach zrobił dla mnie wyjątek. Oddałem temu gościowi buty bez sprzeciwu i bez nadziei na to, że kiedykolwiek jeszcze je zobaczę. Możesz wierzyć lub nie, ale kilka dni po jego ucieczce skechersy się znalazły. Pacjenta nie było, ale buty zwrócił. Uczciwy wariat.

Tym razem wyszedłem po dziesięciu dniach podreperowany i... wróciłem do ćpania. Kolejna degradacja. Ćpanie, ćpanie, ćpanie.

Pewnego dnia powiedziałem zdesperowany: „Sylwia, zadzwoń do Pławniowic i zapytaj, czy przyjmą mnie z powrotem”. Obiecali, że przyjmą, jeśli będę czysty. Musiałem się odtruć. Postanowiłem, że zrobię to w domu, choćbym miał zejść i zwariować. Sześć dni nie spałem, tylko chodziłem po ścianach, dzień i noc kołysałem się w pokoju babci. Jęczałem, wyłem. Nie wiedziała, co się ze mną

dzieje, a ja trzymałem się jej z uporem, bo panicznie bałem się zostać sam. Łatwiej było mi to przejść, kiedy opiekowałem się babcią. Ból był niewyobrażalny, chyba tylko CIA tak torturuje. Każda minuta trwała godziny. Czas stanął w miejscu.

W końcu udało mi się przeżyć ten tydzień. Mieliśmy wtedy daewoo matiza, wsiedliśmy z Sylwią do samochodu – ona prowadziła, ja nie miałem prawa jazdy – i pojechaliśmy do Pławniowic. Wjechaliśmy do lasu, ostatni raz kochaliśmy się w samochodzie, a potem się przytuliliśmy i pożegnaliśmy.

Tym razem w ogóle się nie bałem. Czułem się upokorzony. Było mi wstyd.

Słusznie?

No właśnie nie wiem. Gdzieś na tej wyboistej drodze wiodącej mnie do stanu trzeźwości zrozumiałem, że Marek Kotański jednak nie miał racji. Z nałogiem się nie wygrywa, bo tu się po prostu nie wychodzi na ring. To jedyne rozwiązanie: w ogóle nie wyjść z alkoholem czy narkotykami na ring, bo zawsze dostaniesz od nich wpierdol. To tak, jakbyś za każdym razem chciał się zmierzyć z Mikiem Tysonem i myślał, że go pokonasz. No, nie pokonasz! Ale wtedy jeszcze myślałem, że przegrana runda mnie upokarza. I było mi z tym ciężko. Pacjenci, nawet ci nowi, znali mnie, bo wszyscy opowiadali sobie moją historię. Chyba po tygodniu dostałem wiadomość, że mój ulubiony łódzki terapeuta po dwudziestu trzech latach trzeźwości sięgnął po morfinę, przedawkował i zmarł. W Łodzi wiele osób zawdzięcza mu życie.

To była wielka lekcja pokory.

Po dwudziestu trzech latach?! Smutne... Masz rację, osobie nieuzależnionej trudno to zrozumieć. Tym razem spędziłeś w ośrodku pół roku, a nie rok. Dlaczego?

Postanowili, że przyjmą mnie na tak zwany nawrót. Chcieli skupić się na tym, dlaczego mi się nie udało. Co zrobić, żeby tym razem nie wrócił do narkotyków. Dłoń, którą odcisnąłem w gipsie w czasie pierwszego pobytu, Staszek kazał mi

pomalować na czarno i zakopać w ziemi, na głębokości dwóch metrów. Po zakończeniu terapii miałem ją odkopać.

Szybko dobrze się tam poczułem. Znowu poznałem wspaniałych ludzi. Zawsze się zastanawiałem: „Co oni tutaj wszyscy robią?!”. Na przykład Niedźwiedź, którego wszyscy się bali, bo siedział w poprawczaku za to, że uderzył innego chłopaka i spowodował jego śmierć. Chłopak niefortunnie walnął głową w krawężnik i zmarł. Pamiętam wzruszającą scenę, kiedy na wspólnych zajęciach terapeutycznych ni stąd, ni zowąd Niedźwiedź pękł. Usiadł pośrodku, walił pięścią w podłogę i płakał jak małe dziecko, że przecież wcale nie chciał zabić tego chłopaka, a jednak tak się stało. I do końca życia będzie dźwigał ten ciężar. Pomyślałem, że nie ma złych ludzi, tylko czasami pechowe koleje losu. W wielkim chłopie kryło się małe, bezbronne dziecko, które cierpi, bo popełniło błąd.

Na terapii szczerze opisałem moment nawrotu. Opowiedziałem, co się ze mną działo, jak szybko wróciłem do nałogu, co zaniedbałem. Znowu szedłem jak burza w tym zdrowieniu. Wszyscy mnie lubili. Potrafiłem się zaprzyjaźnić, pomóc. Każdemu umiałem powiedzieć, co z nim jest nie tak, pokazać, czego o sobie nie wiedział, czego nie dostrzegał. Moje informacje zwrotne często były dla tych ludzi objawieniem. Wszyscy mi dziękowali. Z tej wdzięczności znów wywindowali mnie na piedestał. Tylko że ja wtedy myślałem: „To oni są chorzy, ale nie ja”. Świetnie znałem się na innych, dobrze im doradzałem, ale sam sobie nie potrafiłem pomóc. Mój ukochany terapeuta Staszek był wściekły, bo zobaczył powtórkę z rozrywki. Był mądry, przeczuwał, jak to się skończy. Kiedy żegnałem się ze wszystkimi w glorii i chwale, zapytał: „Wykopałeś swoją czarną rękę?”. „Nie” – powiedziałem zgodnie z prawdą, bo oczywiście w tej euforii zapomniałem. W gruncie rzeczy nawet mi się nie chciało. „To bierz łopatę i kop. Dla mnie ukończysz terapię, jak wykopiesz tę rękę”. Zwariował chłop – pomyślałem. Jako rasowy narkoman wolałem dmuchać świeczki na swoim torcie niż kopać w nocy dwumetrowy dół, żeby wyciągnąć gipsową rękę. Była zima, mróz, musiałbym rozpalić ognisko, żeby ogrzać ziemię... Nie zrobiłem tego.

Na tym polega ta choroba: zaniedbasz jedną rzecz i wszystko wali się jak domek z kart. Kolejny raz objawił się mój brak pokory wobec tego nałogu.

Zostałeś na Śląsku?

Tak. I solennie sobie obiecałem, że tym razem nie popełnię tych samych błędów. W Katowicach, na ulicy Kominka, zamieszkałem z Wełną, chłopakiem z Czeladzi. Miłym, grzecznym, z inteligenckiej rodziny. Od razu zaczęliśmy szukać pracy. Moim marzeniem z dzieciństwa była praca biletera w kinie. Napisałem CV i zostawiłem w kilku kinach w mieście. Było mi obojętne, co będę robił. Mogłem zostać bileterem i równie dobrze sprzedawać popcorn. Umówiłem się na rozmowę z menadżerem jednej z sieci kin, ale facet stwierdził, że mam za wysokie kwalifikacje. „Proszę pana – mówię – stałem trzy lata za barem, trzy dni spędziłem na stacji benzynowej i zasuwałem w tartaku podczas terapii w ośrodku odwykowym. Czy to są wysokie kwalifikacje?!”. A on na to: „Zagrał pan w filmie *Dzień świra*”. I mnie nie przyjął! Złamał mi serce. Było mi tak przykro, że do dzisiaj mam żal do tego przedsięwzięcia.

Poczułem się jak Bill Murray w *Dniu świstaka*. Wełna gdzieś się zatrudnił, a ja nie mogłem znaleźć pracy. Nikt mnie nie chciał. Może dlatego, że otwarcie mówiłem o swoim uzależnieniu i terapii. Po kilku tygodniach poszukiwań trafiłem do galerii handlowej na Trzech Stawach. Menadżer sieci Diverse po wymianie kilku zdań powiedział: „Ja pana biorę od razu”. Zostałem sprzedawcą ciuchów i butów. Uwielbiałem tę pracę. Było nas dwóch chłopaków i poza nami same dziewczyny. One plotkowały i układały spodnie, my je sprzedawaliśmy i robiliśmy największe obroty. Wszyscy byli zadowoleni. Klienci często przychodzili tylko po to, żeby obsłużył ich chłopak, którego widzieli w kinie. Zachowywali się serdecznie, czułem się dowartościowany. Katowice okazały się o wiele bardziej przyjaznym miastem niż Zabrze. Otaczali mnie życzliwi ludzie. Z Wełną i znajomymi z ośrodka chodziliśmy na mityngi dla narkomanów i na stołówkę wydziału polonistyki UŚ oglądać ładne studentki. Wszystko fajnie się toczyło. W pewnym momencie zauważyłem, że Wełna coraz częściej jeździ do swojej

Czeladzi. Tknęło mnie, że chyba coś popała. W mieszkaniu na Kominka mieliśmy mały balkonik, paliliśmy tam papierosy. Któregoś dnia staliśmy tam, gadając, i nagle Wełna wyjeżdża z tekstem, że na balkonie chowa marihuanę i popała od czasu do czasu. Oczy mi się zaświeciły: „Kurde, wszystko się układa, wszystko jest w porządku. Najgorsze narkotyki – amfetaminę, heroinę – odstawiłem, no to chyba zasłużyłem, żeby sobie jednego joincika zapalić. Przecież marihuana to nie narkotyk”.

Uzależnienie to choroba, która potrafi człowieka złamać w najcudowniejszym momencie. Jak mówią terapeuci do swoich pacjentów: „Wierzę tobie, ale nie twojej chorobie”. Zapaliłem.



Domyślałem się, że świat od razu się nie zawalił. Co się wtedy wydarzyło?

Zaraz po tym, jak wyszedłem z ośrodka, odezwał się do mnie tata, że chciałby zrobić film na podstawie moich wspomnień z jego picia. Rozmawiał z terapeutami, gdyby okazało się to dla mnie zbyt trudne, zrezygnowalibyśmy z tego pomysłu.

I co ja na to? Powiedziałem, że możemy spróbować. Zacząłem jeździć do niego do Warszawy w dni wolne od pracy, opowiadałem mu o dzieciństwie, dorastaniu i jego picciu widzianym moimi oczami. Tak powstał scenariusz *Wszyscy jesteście Chrystusami*.

Po jakimś czasie zadzwonił do mnie, że ukończył już scenariusz, i zapytał, czy nie chciałbym znowu zagrać roli Sylwusia. Pamiętam, jak go zapytałem: „Marek, ale po co ci to? Dlaczego właśnie teraz chcesz wrócić do tych strasznych historii?”. Ojciec wtedy odpowiedział, że dojrzał do momentu, kiedy musi zrobić ten film. Nasza historia wydarzyła się po coś. Jeśli chociaż jedna osoba opamięta się po wyjściu z kina i uratuje życie sobie i rodzinie, warto ten film zrobić. Dzisiaj sam zadaję sobie pytanie, po co piszę tę książkę. Kiedy dostaję od ludzi mnóstwo wiadomości, jak ważne jest dla nich moje świadectwo, widzę w tym taki sam sens. Ojciec miał świadomość, ile ten film będzie mnie kosztować, ale zapewnił mnie, że w każdym momencie mogę powiedzieć: „Dość”.

Dziś na terapiach dla uzależnionych *Wszyscy jesteście Chrystusami* to lektura obowiązkowa. Ludzie proszą mnie o przekazanie ojcu podziękowań za ten film. Recenzenci pisali: „Koterski po raz kolejny zbawia polskiego widza. Dla wielu ludzi ten film jest jak *katharsis*”. Myślę, że spełniło się jego marzenie. Uratował życie kilku osobom.

Ojciec poprosił, żebym przyjechał na zdjęcia próbne, bo będzie szukać młodszego Adasia. Byłem podekscytowany jego zaufaniem. Przekonywałem sam siebie: „W Katowicach dobrze sobie radzę, teraz duża rola w filmie, który na pewno powtórzy sukces *Dnia świra*”. Wydawało się, że oto wracam w wielkim stylu. O niczym innym już nie myślałem. Swoje uzależnienie i swój nałóg cichaczem zepchnąłem na dalszy plan. Zapomniałem, że przede wszystkim jestem chory.

Pojechałem na casting. Pamiętam, że startował w nim Andrzej Chyra, Bartosz Opania i wielu innych aktorów. Kiedy Chyra zagrał scenę pod stołem, gdzie leży, trzymając głowę na butelce i śpiewając *Stabat Mater*, to ja się po prostu

popłakałem. Wszyscy aktorzy byli świetni, ale Andrzej był genialny. Ojciec nie miał wątpliwości.

W międzyczasie ojciec wysłał scenariusz dyrektorowi ośrodka, w którym się leczyłem. Zapytał, co o tym sądzi, i poprosił o radę. Jak pamiętasz, poznali się wiele lat wcześniej w Głoskowie, gdzie mój ojciec kręcił dokument, a dyrektor był wówczas pacjentem. Przeczytał scenariusz i oddzwonił: „Panie Marku, dla Michała to będą bardzo trudne wspomnienia. Do tego jeszcze będzie musiał je odgrywać. Uważam, że Michał powinien mieć na planie terapeutę, który będzie czuwał i w momentach najbardziej traumatycznych przeżyć da mu wsparcie. Tym bardziej, że Michał jedzie do Warszawy”. Miał rację. Wracalem do świata blichtru, fajerwerków i próżności. Świata, który dla młodego człowieka wydawał się spełnieniem marzeń. Produkcja wynajęła mi na Powiślu małe mieszkanie, pławilem się w ekscytacji. Ojciec był już pochłonięty filmem, więc szybko dał się zmanipulować: „Marek, po co mi terapeuta? Ja tu będę chodził na mityngi, jestem czysty, dam radę”. Nie chciałem żadnych terapeutów. Żadnych świadków. Chciałem przygotowywać się do filmu i przebywać z tymi wspaniałymi aktorami. A przede wszystkim zapomnieć o tym, że jestem chory. To nie było dla mnie atrakcyjne.

Marek Kondrat codziennie przez trzy miesiące przychodził do mnie na dwie godziny. Godzinę rozmawialiśmy o filmie, ćwiczyliśmy sceny, a przez drugą opowiadał mi o winach, które stały się jego fascynacją. Jeszcze nie miał sklepów ani winiarni, ale odnalazł nową misję: chciał nauczyć Polaków pić wino. To były cudowne spotkania, a jednocześnie przyspieszony kurs aktorstwa z mistrzem. Wtedy tak naprawdę dowiedziałem się, czym jest sztuka mojego ojca.

Rozmawialiśmy o tym przy *Dniu świra*.

Na Chełmskiej wybudowano całe mieszkanie Adasia Miauczyńskiego. Pamiętam, że próby odbywały się u ojca na Powiślu, ma tam małe mieszkanie, miniaturową pracownię, składającą się z kuchni i pokoju. Przychodził Andrzej Chyra, Marek

Kondrat i ja. Marek zawsze żartował: „Kurwa, dobrze, że tu jeszcze jeden aktor nie gra, bo musiałby siedzieć w kiblu na próbach”.

Dla mnie te próby to była magia. Mogłem popatrzeć na Andrzeja, który był kilka lat po *Długu* Krzysztofa Krauzego. Pierwsza duża rola i od razu zgarnął Złote Lwy. Na Powiśle pojedynczo wpadali również aktorzy, którzy grali w filmie epizody, czasami wypowiadali jedno zdanie. Nie mogłem zrozumieć, po co ojciec ich męczy. A on mi tłumaczył: „Film jest tak dobry jak jego najmniejszy epizod. Epizody robią całą robotę”. U mojego ojca każda scena ma znaczenie. Aktor nawet w najmniejszym epizodzie ma poczucie ważności. Wtedy pojąłem, dlaczego gwiazdy zgadzają się zagrać u ojca tak małe rólki. Kiedy w *Dniu świra* Pazura mówi: „W ryj dać, mogę dać”, a Kondrat odpowiada: „Ja też w ryj dać, mogę dać”, to każdy tę scenę pamięta. Jedno zdanie wypowiedziane przez tego, a nie innego aktora nabiera wyjątkowej jakości. Niedawno na planie *Gierka* Ewa Ziętek opowiadała mi, jak ojciec namawiał ją do zagrania proktologa w słynnej scenie w *Dniu świra*, kiedy robi Markowi badanie prostaty, wsadzając palec w tyłek. Padają tam wtedy słynne słowa: „Wypnie, niech nie kuli jak piesek przy kupci”. W kinie ludzie zarykiwali się ze śmiechu. Ewa mówiła mi, że kiedy przeczytała scenariusz, zastanawiała się, co za wariat to napisał. Po czym zadzwonił do niej mój ojciec i powiedział, że pisał tę scenę z myślą o niej i nie wyobraża sobie w tej roli nikogo innego. Oboje płakaliśmy ze śmiechu.

Po kilku miesiącach przygotowania się zakończyły. Zaczęły się zdjęcia. W tamtych czasach w halach na Chełmskiej nie było klimatyzacji. Wentylatory pracowały tak głośno, że na ujęciach trzeba było je wyłączać. Mieszkanko Adasia Miauczyńskiego było małe, kiedy technicy zapalali wszystkie lampy, temperatura sięgała czterdziestu stopni. O dziewiątej startowaliśmy i już było piekło. Człowiek wchodził na plan i po dwóch zdaniach ścinało mu się białko w mózgu, a ja miałem do wygłoszenia wielkie monologi napisane trzynastozgłoskowcem. Wiedziałem, że cała ekipa na mnie patrzy. Ciężar tych scen spoczywał na mnie, Marek Kondrat akurat wtedy tylko siedział przy stole i potakiwał. Dokładnie widział, kiedy mózg mi się odłącza. I wiedział, że sam nie poproszę o przerwę, więc brał to na siebie:

„Dobra – mówił – słuchajcie, przepraszam, kurwa, ale ja tu nie wytrzymam. Mózg już mi się gotuje, nie jestem w stanie. Złapmy trochę powietrza”. Prosił o przerwę dla siebie, żebym ja mógł odpocząć. To było niesamowite i poruszające. Naprawdę Marka kochałem. Po tym można było poznać jego wielkość. Pokazał mi, że aktorstwo to nie tylko granie na siebie.

Zdjęcia trwały dwa miesiące. Jak wtedy wyglądało twoje życie?

W filmie jest scena, kiedy Sylwus z swoimi trzema kolegami idą ze spuszczoneymi gaciami i coś tam sobie opowiadają. Wkręciłem w to moich kolegów z ośrodka. Namówiłem ojca, żeby ich zaangażował, i on się na to zgodził. Wiedziałem, że dla chłopaków to będzie niesamowita frajda. Przyjechali do Warszawy na kilka dni, spali u mnie na podłodze. Ich obecność była dla mnie dużym wsparciem. Były śmiechy, była radość, była zabawa...



Podczas filmu niczego nie zażywałem. Byłem tak skoncentrowany na swojej roli i na graniu, że myślałem wyłącznie o tym filmie. Ludzie często nas pytają, jak

układa się nasza współpraca. Ojciec nie ma taryfy ulgowej dla nikogo. Filmy i Adaś Miauczyński to miłość jego życia. Nigdy nie pozwoli, żeby ktoś mu to zepsuł albo zniszczył. Nawet jego syn. Pamiętam, że był już siódmy dzień zdjęć, byłem bardzo, bardzo zmęczony. W którymś momencie swojego monologu dodałem „no”. Ojciec przerwał ujęcie i wrzasnął: „Widziałeś w scenariuszu, żeby było tam »no« w tym zdaniu?!”. I dalej się drze. Wysłuchałem, następny dubel. Ojciec krzyczy: „Czy tak było napisane w tym scenariuszu czy nie?!”. Dobra, kładę uszy po sobie. Trzeci dubel, znowu to samo. Ojciec podchodzi do mnie i mówi: „Kurwa, tak to sobie możesz w serialu mówić, a nie u mnie!”. Wtedy już nie wytrzymałem: „Jak tak, to ja to pierdołę! Chuj z tym całym twoim filmem! Nie będę tego robił, bo już dłużej tego nie wytrzymam!”. Wszystko wylało się ze mnie i zacząłem drzeć się przy całej ekipie. Wszyscy byli w szoku, ojciec zresztą też, bo normalnie byłem bardzo grzeczny, na wszystko się zgadzałem i siedziałem cicho. Nagle zobaczyli moje inne oblicze. Ale to już było dla mnie za dużo. Całe ciśnienie i stres, który w sobie nosiłem, nagle eksplodowały. Trzasnąłem drzwiami w hali na Chełmskiej i wyszedłem. Wtedy mój ojciec wybiegł za mną, zatrzymał mnie, spojrzał na mnie i powiedział: „Posłuchaj, Michał, przepraszam cię. Jeśli czujesz, że to jest dla ciebie za duży ciężar, że ten film cię przerasta, powiedz tylko słowo, a ja zerwę zdjęcia i więcej do tego filmu nie wrócimy”. Byłem zszokowany, przecież wiedziałem, że to jest miłość jego życia. Ale nagle on mówi, że moje samopoczucie, moja kondycja psychiczna są ważniejsze od jego dzieła. Spojrzałem na ojca i od razu wszystko mi przeszło. Nie ma nic piękniejszego w życiu niż pewność, że dla twojego rodzica jesteś najważniejszy, ponad jego ambicje, ponad jego egocentryzm, ponad jego choćby najwspanialszą twórczość. Uśmiechnąłem się i powiedziałem: „Nie ma sprawy, tato. Dokończmy ten film”.

ROZDZIAŁ 6

KANAPA U KUBY, KONIEC WIELKIEJ MIŁOŚCI, TOPTRENDY I WYROK

Skończyliście zdjęcia, tato zabrał się do montowania filmu, a ty? Wróciłeś do Katowic, do Łodzi czy zostałeś w Warszawie?

Bardzo chciałem zostać w Warszawie, bo mi się podobała. Zarobiłem niemałą, jak dla mnie, sumę. Nie były to miliony – za jedną z głównych ról trzydzieści trzy tysiące złotych minus podatek – ale dla mnie majątek, jako sprzedawca w sklepie zarabiałem tysiąc dwieście na rękę plus premie. Zadzwoiłem do Sylwii: „Może przeprowadzimy się do Warszawy?”. Nasz związek już wtedy wisiał na włosku, wszystko się rozjeżdżało, ale przez lata Sylwia stała mi się tak bliska, że musiałem jej pomóc. Wiedziałem, że marzyła o Warszawie. Ustaliliśmy, że wynajmiemy tu mieszkanie, a Sylwia będzie dojeżdżała z Łodzi i szukała nowej pracy. Miałem kolegę Artura ze szkoły filmowej, który w przeciwieństwie do mnie już ją kończył. Dogadaliśmy się z nim, znaleźliśmy mieszkanie na Gocławiu. Z honorarium zapłaciłem czynsz za pierwsze trzy miesiące. Ale początki nie były takie proste. Artur i Sylwia musieli najpierw pozamykać swoje sprawy w Łodzi i często ich nie było. Zostawałem sam w nowym mieście ze swoimi emocjami.

Wszyscy jesteście Chrystusami było dla mnie ogromnym hajem emocjonalnym i wielką przygodą. Nawet jak teraz ci o tym opowiadam, czuję zapach każdego dnia. Niestety, po tych wszystkich emocjach przyszło ogromne zejście. Zacząłem znowu palić marihuanę. Gocław i Grochów to była – i jest do dziś – kolebka handlu narkotykami, tam najłatwiej zdobyć to, czego pragniesz. Kiedy nie było

Sylwii ani Artura, to ja w tej pustce, w tym osieroceniu nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, ale wiedziałem, co jest moim najlepszym lekiem na samotność. Zlekceważyłem konieczność obecności terapeuty na planie, zbagatelizowałem pomoc, której mógł mi udzielić, i tak to się skończyło.

Marek Kondrat opowiadał mi wcześniej, że po *Dniu świra* pół roku wyzwalał się z roli Adasia Miauczyńskiego. Ledwo to przeżył. Nie rozumiałem wtedy, o czym on mówi. Dopiero teraz to pojąłem, bo sam tego doświadczyłem. Dopadł mnie emocjonalny rollercoaster: od euforii po totalny zjazd. Od wściekłości po miłość. Miałem tak silne wahania nastrojów, że marihuana przestała mi wystarczać i poszukałem ukojenia w heroinie. W pewnym momencie zorientowałem się, że zaraz popłynę. Wydawałem coraz więcej pieniędzy, nie miałem pracy, nikogo tak naprawdę w tej Warszawie nie znałem. Wiedziałem, że nie wytrzymam kolejnego zamknięcia w ośrodku. Nie wiem jak, ale zmobilizowałem się i sam się odtrułem w tym mieszkaniu. Zacząłem planować każdy dzień tak, jak mnie nauczono w ośrodku. Zapisywałem punkt po punkcie, co będę robił. I zacząłem szukać pracy. Na planie *Chrystusów* wszystkie sceny kaskaderskie robiłem sam, uwielbiałem to.

Jakoś mnie to nie dziwi. Pamiętam, jak na haju biegałeś po rusztowaniach na piętnastym piętrze.

No właśnie. Wymyśliłem więc, że będę kaskaderem. Poprosiłem ojca o numer do Ryszarda Janikowskiego, legendy polskiego kaskaderstwa, który pracował między innymi z Romanem Polańskim przy *Piratach*. Zadzwoiłem, przedstawiłem się, wytłumaczyłem, o co chodzi, i przyjął mnie na zajęcia w swojej Polskiej Szkole Kaskaderów Filmowych. Oprócz tego zapisałem się na boks tajski na Grochowie. Chodziły tam same bandziory z Grochowa i ja chuderlak. Zaimponowałem im, bo na wszystkich sparingach zawzięcie się tłukłem. Uwielbiałem ból. Uzależnieni często szukają takich zamienników. Może dlatego, że wyzwania, ból przyjmują troszkę inaczej niż normalny człowiek.

Jakimś cudem sam wyszedłem na prostą. Chodziłem na zajęcia, trenowałem i szukałem pracy w knajpie. Sylwia zatrudniła się w jakiejś państwowej spółce

w Warszawie. Artur też znalazł pracę jako kierownik planu. Nasze wspólne życie zaczęło się fajnie układać.

Mniej więcej wtedy, w kwietniu 2006 roku, odbyła się premiera *Wszyscy jesteśmy Chrystusami*.

Film odniósł ogromny sukces w mediach i wywołał narodową dyskusję o alkoholizmie Polaków. A ja dostałem zaproszenie do programu Kuby Wojewódzkiego. Kiedy byłem młodym chłopakiem, całymi dniami przesiadywałem z kolegami na ławce pod blokiem, paliliśmy jointy, a potem chodziliśmy do mojego domu i oglądaliśmy Wojewódzkiego. Jego kanapa była dla mnie wyznacznikiem sukcesu. Kuba wtedy zapraszał ludzi, którzy coś w życiu osiągnęli. I nagle dzwonią do mnie. Poczuję się, jakbym złapał Pana Boga za nogi. A równocześnie bałem się tego spotkania. Powiedziałem dziewczynie z produkcji, że przyjdę, jeśli Kuba do mnie zadzwoni. Zadzwonił tego samego dnia. „Cześć, Kuba – mówię. – Nie znamy się, ale chciałem ci powiedzieć, że ja się po prostu boję tej wizyty”. Nauczono mnie w ośrodku, żeby zawsze mówić o swoich lękach. Nigdy nie byłem taki otwarty, jaki jestem teraz. Większą część życia byłem zamknięty, zawstydzony i zakompleksiony. Na terapii zrozumiałem, jak bardzo pomaga mówienie o sobie. Po pierwsze, człowiek słyszy, co mówi, i przypomina sobie, kim jest; po drugie, wyrzuca złe emocje, które idą w świat, a nie zjadają go od środka. Poprosiłem Kubę, żeby dał mi słowo, że nie będzie mnie pytał o moje problemy z narkotykami. Dał mi słowo.

Ludzie mnie często pytają, dlaczego nie mam menadżera. Dlatego, że mam ojca, który mnie wszystkiego nauczył. Przede wszystkim: jak rozmawiać o pieniądzach i jak dbać o swoje interesy. Oczywiście powiedziałem ojcu, że idę do Wojewódzkiego, a on na to, żebym nie podpisywał umowy na tak zwane wykorzystanie wizerunku przed programem, tylko po. „Pamiętaj o tym, to bardzo ważne. Wtedy będziesz trzymał ich w szachu i nie zrobią ci na wizji żadnego numeru. Będą bali się prawnych konsekwencji”. Występowałem z Jackiem Poniedziałkiem, on podpisał te papiery, ja nie. Dziewczyna z produkcji była

w szoku, najpierw mnie prosiła, później groziła, że nie wpuści mnie na wizję. „Ale ja nie muszę brać w tym udziału” – odpowiedziałem. Kiedy nie odpuszczała, dodałem, że tata nie pozwolił mi podpisywać przed programem żadnych papierów. To było śmieszne, ale poskutkowało. W końcu się poddała. Ojciec miał rację. Poczuję się pewnie, że teraz nikt mi tam krzywdy nie zrobi.

Program wypadł genialnie. Cieszyłem się jak małe dziecko. To był jeden z najszczęśliwszych momentów mojego życia w tamtym czasie. Po kilku dniach zadzwonił wspólnik Kuby Wojewódzkiego, Tomek Dąbrowski, szara eminencja tego teamu: „Cześć, Misiu, mamy dla ciebie propozycję”. Poleciałem szybko do Polsatu. Kuba przemówił: „Słuchaj, Misiu, rewelacyjnie ten program wypadł. Chcielibyśmy ci zaproponować pracę. Miałbyś tu mały kącik, wspólnie wymyślimy jego nazwę. Każdy program kończyłby się twoim materiałem lub wejściem na żywo. Wszystko do ustalenia”. Zaproponowali mi pięćset złotych za każdy odcinek. Natychmiast pobiegłem do ojca, rozgorączkowany, a on wylał na mnie kubek zimnej wody: „Michał, powiedz im tak: albo dostaję dwa tysiące za każdy odcinek, albo tego nie biorę”. Byłem zaskoczony: „Jak to!?”. A on mówi: „Jesteś po roli w kultowym *Dniu świra*. Zagrałeś dużą rolę w *Chrystusach*. Nie możesz sobie na to pozwolić. Pięćset złotych to oni mogą zapłacić stażyście, ale nie tobie. Musisz dostać przyzwoite wynagrodzenie, bo za jakiś czas będziesz sfrustrowany, że za mało zarabiasz. Zaufaj mi”. Wszystko napisał mi na kartce.



Nie bardzo mi się to spodobało, ale myślałem: „No dobra, ojciec jest głosem rozsądku, zawsze go słuchałem”. Przedstawiłem chłopakom swoje warunki: dwa tysiące za każdy program, pełna dowolność, ja autoryzuję ostatnią wersję, jeśli materiał nie pasuje im do programu, muszą mi za niego zapłacić, bo ja swoją pracę wykonałem. Wojewódzki, mówiąc łagodnie, lekko się wkurwił. Miał poczucie, że daje mi gwiazdkę z nieba, a ja ją odtrącam. Powiedział, że odezwą się za trzy dni. Po trzech dniach zadzwonił i mówi: „Sorry, Misiek, nie możemy się na takie warunki zgodzić”. Popłakałem się. Byłem w stanie robić to za darmo, a nagle wszystko runęło w gruzy. Zadzwoniłem do ojca, powiedziałem, że go nienawidzę za to, że mi tak doradził, i nie chcę go znać. Pamiętam tylko jego ostatnie zdanie, zanim rzuciłem słuchawkę: „Poczekaj. Zobaczysz, że za jakiś czas oni sami się do ciebie zgłoszą i zgodzą się na wszystkie twoje warunki”.

Długo to przeżywałem, ale w końcu jakoś się z tym pogodziłem. Zatrudniłem się jako kelner, coś tam zarabiałem i codziennie paliłem marihuanę, bo dla mnie – jak wiesz – wtedy nie był to narkotyk. Miałem kumpla, który uczył się ze mną

w szkole kaskaderskiej. Na jakiejś imprezie drugi raz w życiu spróbowałem kokainy i pomyślałem: „Fajne. Nie ma po niej takiego zejścia jak po heroinie”. Coraz częściej balowałem: impreza, trawka, kokaina, alkohol, ale weekendowo, pod kontrolą. Cały czas była obok mnie Sylwia. Kiedy odwalałem jakieś numery, ona się mną opiekowała. Na Artura też mogłem liczyć. W naszym trójkącie byłem czarną owcą.

Wyraźnie jakoś to funkcjonowało. Kobiety współuzależnione potrafią trwać przy swoich mężach czy partnerach przez całe życie.

Coraz szybciej biegłem ku przepaści, ale wydawało mi się, że to kontroluję. W tym okresie łączyła nas z Sylwią tylko silna zażyłość ze względu na spędzone razem lata i współuzależnienie. O miłości czy jakimkolwiek innym uczuciu nie było już mowy. Po pół roku zadzwonił Kuba Wojewódzki: „Słuchaj, Misiek, jest taki festiwal TOPtrendy w Operze Leśnej w Sopocie. Poprowadzisz ze mną część Trendy”. Wtedy TOPtrendy oglądało w telewizji pięć milionów widzów. To był wielki hit. Ogromne wydarzenie. Kultowy festiwal, wcześniejsze edycje prowadzili Bogusław Kaczyński i Kayah, a teraz Kuba mnie wybrał! Byłem zachwycony i przerażony jednocześnie. Jak to ja. „Kuba, ale ja się boję”. Kuba na to: „Nic się nie martw, ja to prowadzę, nie dam ci krzywdy zrobić. Wszystko będzie dobrze”. Dał mi tydzień do namysłu, a ja...

... a ty zadzwoniłeś do taty.

Oczywiście. Ojciec udzielił mi dwóch rad. Po pierwsze, powinienem zobaczyć poprzednie edycje, żeby wiedzieć, z czym mam do czynienia. A po drugie, przygotować się mentalnie na kpiny i docinki Kuby na scenie, bo on ma taki styl prowadzenia. Miał rację. Obejrzałem poprzedni koncert, gdzie Kuba występował w duecie z wielce dystyngowanym Bogusławem Kaczyńskim, który z wielką klasą prowadził programy i wydarzenia operowe. Kuba szydził z niego nieustannie, momentami było to niesmaczne. Było mi go żal, ale w sumie miałem to gdzieś.

Chciałem poprowadzić Trendy z Kubą bez względu na konsekwencje. Zadzwoiłem do Kuby i powiedziałem, że się zgadzam, byłem na maksa podekscytowany. To było dla mnie wielkie wydarzenie i nobilitacja.

Mieszkałem wtedy na rogu Fieldorfa i Meissnera. Pod jednym z bloków była knajpka, do której chodziłem na zupę i piwko. Kilka razy widziałem, jak z klatki obok wychodzi piękna kobieta z pieskiem. Bardzo mi się podobała. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że kiedyś będziemy razem... Siedziałem w tej knajpce, kiedy zadzwonił telefon: „Michał, gdzie ty jesteś?”. „W Warszawie, piwko piję”. „Przecież masz próby do TOPtrendów!” Ktoś z produkcji znalazł mi samolot i wieczorem byłem w Operze Leśnej. Czekał na mnie Konrad Smuga i Tomek Dąbrowski. Kuba miał dojechać nazajutrz. Przychodzę rano na próbę, a tam panika i zamieszanie. „Co się dzieje?” – pytam. „Nie słuchasz wiadomości?! Kuba przeszedł do TVN-u. Ty prowadzisz koncert”. Ja sam i pięć milionów ludzi przed telewizorami? Ośmieszę się na całą Polskę! Jak sobie to wyobraziłem, wpadłem w panikę. Odszukałem Tomka: „Tomek, Jezus Maria, ja tego nie zrobię, nie ma mowy”. Próbował mnie uspokoić: „Spokojnie, Michał, panujemy nad sytuacją. Dasz radę, wszyscy ci pomożemy. Wróć do hotelu, odpocznij”. Wróciłem do pokoju i zacząłem pakować walizkę. Chciałem uciec. Zadzwoiłem do ojca i wszystko mu opowiedziałem. A ojciec mówi: „Posłuchaj, to jest najlepsze, co ci się mogło przytrafić”. „Ale co ty gadasz, tato?! Jak to najlepsze?!” „Teraz jesteś tylko ty. W duecie z Kubą byłbyś jego cieniem. Zjadłby cię. Nie dałby ci zaistnieć. Teraz scena jest twoja. Nie masz nic do stracenia. Zaufaj mi, zostań i zrób to. Wszystko będzie dobrze”.

To był twój wielki sukces. Publiczność na widowni oszalała. Ludzie wstawali, śpiewali razem z tobą, krzyczeli: Misiek, Misiek! Zdobyłeś nie tylko owacje, ale też miłość widzów. Błyszczales – jak przewidział twój tato.

Rzeczywiście okazało się, że wszystko jest po coś i trzeba wykorzystywać szanse, które się dostaje, ale to nie było proste. Pamiętam ten dzień jak dziś. Myślałem, że umrę przed wejściem na scenę. Pięć tysięcy widzów w Operze Leśnej i pięć

milionów przed telewizorami. Oprócz grania w filmach ojca nie miałem doświadczenia w występach publicznych, a ciśnienie było ogromne. Na domiar złego wymyśliłem sobie, że wyjdę, śpiewając: „Niech żyje wolność i swoboda”, a fałszowałem jak zarzynane prosię. Byłem przerażony, kiedy wywołano mnie na scenę. Wszystko działo się poza mną. Ku mojemu zdumieniu cała Opera Leśna wstała i zaczęła skandować moje imię. Ponieśli mnie na swoich skrzydłach. Byłem w takiej euforii, że na koniec występu rzuciłem w stronę publiczności ogromne sombrero. Kiedy zszedłem ze sceny, stylistą chciał mnie zamordować, bo ten kapelusz był ręcznie robiony i kosztował z dziesięć tysięcy złotych. Ale nie przejmowałem się tym. Czułem się jak w niebie. Potem wszystko poszło jak z płatka. Po koncercie Tomek mnie przytulał, wszyscy mówili: „No i widzisz? Zajebisty występ”. Wróciłem do hotelu i dzwonię do ojca: „Udało się!”. A on: „Mówiłem ci. To był dar od Boga”. Byłem szczęśliwy. Przyjechała do mnie Sylwia, poszliśmy na wielkie afterparty na plaży. Nagle każdy chciał mnie poznać, każdy chciał się ze mną napić, wszyscy mnie ściskali, mówili: „genialny”. W euforii myślałem: „Jestem bogiem”. Wszechświat mi sprzyjał. Ja, chłopak z bloków, z łódzkiego Manhattanu, któremu się wydawało, że nic już go w życiu nie spotka, znalazłem się w centrum tego wszechświata.



Z Sylwią coraz gorzej nam się układało. Bez przerwy się kłóciliśmy. Każde ciągnęło w swoją stronę. Ona była poważna, ambitna i chciała robić karierę, ja byłem zwariowany i chciałem lecieć na fali tego wariactwa. Po dziewięciu latach związku miała dość opiekowania się dużym, wiecznie zaćpanym chłopcem. Po kolejnej awanturze – byłem wtedy oczywiście narąbany – rzuciłem jej w twarz: „Skoro tak, to z nami koniec”. Sylwia wróciła do Warszawy. Ja zostałem na festiwalu, gdzie wszyscy mnie wciąż ściskali i mi gratulowali. Czułem się wyjątkowy.

Jakiś czas później, już po moim powrocie do stolicy, zadzwonił Tomek Dąbrowski. Razem z Kubą zaprosili mnie na rozmowę i ponownie zaproponowali mi pracę w jego programie, tym razem godząc się na wszystkie moje warunki. Kiedy opowiedziałem o tym ojcu, skomentował to krótko: „Trzeba przyznać Kubie, że ma nosa. Jak zobaczył, że jest ktoś taki jak ty, zrozumiał, że lepiej mieć go u siebie niż przeciwko sobie”.

Kuba powiedział mi jedną bardzo ważną rzecz: „Michał, pamiętaj, że telewizja nie jest tym samym co film. Telewizja ma większą siłę rażenia. Od momentu, w którym zaczniesz tę pracę, niczego, co stanie się w twoim życiu, nie da się już nigdy wyłączyć pilotem. Każdy twój krok, każdy twój oddech, spojrzenie, gest, słowo, wszystko, co robisz, będzie własnością ludzi, nie tylko twoją. Musisz zdawać sobie z tego sprawę”. Wtedy tego nie rozumiałem. Myślałem: „Co on gada?!”.

We wrześniu Kuba startował w TVN z autorskim talk-show *Kuba Wojewódzki*, ja debiutowałem jako reporter. Pojechałem jako korespondent na festiwal filmowy do Gdyni. Wymyśliłem, że zrobię relację hotelową, „jak żyją gwiazdy”. Dogadałem się z obsługą i pod nieobecność gości – dzisiaj nikt by się na coś takiego nie zgodził – przeszedłem się po pokojach między innymi Anki Muchy, Magdy Cieleckiej, Kasi Figury. Grzebałem im w szafach, łazienkach, zaglądałem do walizek i relacjonowałem, co widzę. To był hit. „Wyborcza” napisała, że Wojewódzki nie zaskoczył niczym nowym, ale Koterski jest znakomity.

Zaczęło się nowe rozdanie w moim życiu. Nowa miłość, nowa kariera. Jeszcze niedawno byłem w ośrodku odwykowym, a nagle przeskoczyłem do świata show-biznesu, gdzie wszyscy mnie znali, uwielbiali i wszędzie zapraszali. Wystąpiłem w serialu *Odwrócenie* o mafii pruszkowskiej i wołomińskiej. Zagrałem niewielką rolę u boku takich sław jak Robert Więckiewicz, Artur Żmijewski czy Małgorzata Foremniak. Recenzenci pisali: „Świetny epizod Koterskiego”. Czegokolwiek dotknąłem, szła mi karta. Odwrotnie niż dziś.

Tak zostałeś królem życia w Warszawie...

Pracowałem ze świetnym montażystą Olkiem, który miał genialne pomysły. Byliśmy zżyci na maksa, ćpaliśmy na potęgę. W tym czasie chodziłem na wszystkie imprezy branżowe. Codziennie gdzieś szalałem. Zacząłem współpracować z MTV. Prowadziłem dla nich dwa programy: *MTV Rockuje* i *Klasę MTV*. Z Kasią Burzyńską i z Łozą odwiedzaliśmy najciekawsze licea w całej Polsce, pokazując, jacy są i co potrafią chodzący do nich licealiści. Program robiła niesamowita ekipa, ale miała ze mną krzyż pański. Dziś biję się w piersi. Kiedy w trasie skończyła mi się kokaina, potrafiłem powiedzieć, że jak nie będzie towaru, to wracam do Warszawy, w dupie mam program. Albo znikalem bez śladu pół godziny przed wejściem na wizję, bo umówiłem się z dilerem. Pracowałem w show-biznesie i prowadziłem rockandrollowy tryb życia. W środowisku wszyscy tolerowali moje wysoki. Uważali, że Misiek jest szalony, ale sympatyczny i zabawny. Wszystko uchodziło mi płazem. Do czasu.

Pojawiły się pierwsze plotkarskie portale internetowe. Coraz częściej byłem ich bohaterem. Niestety, negatywnym.

Znalazłam taki wpis na Pudelku sprzed piętnastu lat: „W niedzielę w jednym z warszawskich klubów miał miejsce zabawny incydent. Zmęczony całonocnym imprezowaniem Misiek zaatakował wysokiego chłopaka, popychając go na stoliki. W sprowokowanej przez siebie bijatyce nieźle oberwał. Ma podobno złamany nos. (...) Ta historia potwierdza nasze przypuszczenia, że Michał Koterski tylko udaje miłego i sympatycznego chłopaka. To typ człowieka, który nawet złapany z nożem nad zwłokami wywinie się, mówiąc, że tylko podnosił go z ziemi. Wykorzystuje swoją dziecinność i to, że ludzie nie są pewni, czy nie jest w jakiś sposób upośledzony, do tego, by na przykład bić ludzi na imprezach. No, spróbuj uderzyć takie urocze dziecko telewizji”.

A pod spodem fala komentarzy. Z jednej strony uwielbienie, z drugiej nienawiść. Jedni mnie kochali, inni pisali: „Niech zdechnie ten ćpun, ten narkoman,

niedorozwinięty debil. Po co tego głupka promują?”. Największe kłopoty miały dopiero nadejść. Ale ja się wtedy niczym nie przejmowałem, bo się zakochałem.

Kiedy pojechałem do Gdyni po pierwszy materiał dla Kuby, spotkałem tam Beatę, moją sąsiadkę z Gocławia. Beata była piękną, niezależną kobietą. Jeździła porsche i miała swój apartament. Skończyła AWF, była instruktorką narciarstwa, kitesurfingu i świetnie jeździła konno. Ja byłem jej kompletnym przeciwieństwem. Nie miałem prawa jazdy i ledwo zjeżdżałem na nartach. Ona umiała wszystko, czego ja nie potrafiłem. Zakochałem się bez pamięci i bałem się, że ją stracę. Nie miałem niczego wyjątkowego do zaproponowania, co budziło moje kompleksy. Zastanawiałem się, co ona robi z takim frajerem jak ja. Inni też się zastanawiali. Patrzyli na nas z niedowierzaniem. Beata imponowała mi we wszystkim, też chciałem jej zaimponować. Pewnego dnia pojechałem do Łodzi i przed blokiem zaczepiła mnie sąsiadka, mówiąc, że ma kupca na moje mieszkanie; czy jestem zainteresowany sprzedażą? Trzypokojowe mieszkanie na Manhattanie, w centrum Łodzi, było wielką atrakcją. Rodzice często mi powtarzali, że bym odłożył dziesięć tysięcy i wykupił to mieszkanie od spółdzielni. Jako właściciel będę mógł z nim zrobić, co zechcę. Oczywiście nigdy tych dziesięciu tysięcy nie uzbierałem. Pieniądze wolałem wydać na kokainę i imprezy. Powiedziałem, że mieszkanie jest niewykupione, a sąsiadka na to, że ten problem łatwo można rozwiązać. Umówiła mnie z kupcami, którymi okazało się małżeństwo w średnim wieku z synem. Na dzień dobry złożyli mi konkretną propozycję: „Podpiszemy wstępną umowę. Damy ci dziesięć tysięcy w gotówce na wykup mieszkania ze spółdzielni, a ty zobowiązesz się, że sprzedasz je nam za sto trzydzieści tysięcy”. Nie znałem się na nieruchomościach, nie byłem świadom, że to mieszkanie jest warte dużo więcej. Podpisałem, co chcieli, i wziąłem gotówkę.

Za cztery tysiące kupiłem Beacie garsonkę w Deni Cler, o której marzyła, resztę przewaliłem na imprezy. I zapomniałem o sprawie. Po kilku miesiącach zadzwonił syn tych ludzi i zapytał, co z mieszkaniem. Mieszkanie niewykupione, pieniędzy nie miałem, zacząłem ściemniać, ale oni nie odpuszczali. Jeden telefon, drugi, dziesiąty. W końcu pojechałem do Łodzi i powiedziałem mamie prawdę.

Wściekła się: „Czyś ty zwariował? Chcesz sprzedać za sto trzydzieści tysięcy mieszkanie warte ponad dwieście tysięcy?!”. Dała mi dwadzieścia tysięcy – dodała dziesięć w ramach rekompensaty – kazała je zwrócić i zerwać umowę. Małżeństwo nie przyjęło tych pieniędzy. Usłyszałem, że jeśli teraz się wycofam, oskarżą mnie, że chciałem im sprzedać mieszkanie, które nie należy do mnie. Jak to ja, nie wziąłem tego na poważnie, a oni faktycznie złożyli doniesienie do prokuratury. Sprawa trafiła do sądu. Dostałem siedem miesięcy z zawieszeniem na dwa lata. Podczas ogłaszania wyroku doszło do komicznego incydentu. W kieszeni kurtki eksplodowała mi zapalniczka. Wszyscy padli na ziemię, bo myśleli, że to zamach. Moja pani adwokat skomentowała ten wybuch krótko: „Nawet na procesie łódzkiej »ośmiornicy« czegoś takiego nie przeżyłam. Tylko tobie mogło się to przydarzyć”.

Wyrok był też głośnym skandalem medialnym. Wszyscy, łącznie ze stacjami telewizyjnymi i radiowymi, trąbili: „Młody Koterski został prawomocnie skazany za oszustwo. Misiek Koterski skazany za wyłudzenie. Koterski chciał sprzedać nie swoje mieszkanie...”. Nikt nie słuchał moich wyjaśnień. Prawda nikogo nie interesowała. Zaczęła się medialna nagonka. Chciałem wydać oświadczenie, jednak ojciec mi odradził: „Tłumaczy się winny. Popełniłeś głupi błąd, ale nikogo nie okradłeś”. Wcześniej ludzie wszystko mi wybacжали, teraz zalała mnie fala hejtu i wrogości. Byłem Miśkiem – wariatem i narkomanem. Zostałem oszustem i złodziejem.

Kuba Wojewódzki wbił gwóźdź do mojej trumny. Zaprosił mnie do siebie i powiedział bez ogródek: „Michał, znaleźliśmy się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Miałem rozmowę w stacji z moimi szefami, niestety, musimy zrobić sobie przerwę. Jesteś prawomocnie skazany, wszędzie o tym piszą, wszyscy o tym mówią. Wrócimy w przyszłości do naszej współpracy, ale najpierw niech ta sprawa ucichnie”.

Zostałem zwolniony. Wróciłem do domu, powiedziałem Beacie, że świat mi się zawalił, i się rozpłakałem. Wszyscy się ode mnie odwrócili, odizolowali, wycofali. Nikt nie chciał ze mną pracować. Mój wielki sen się skończył, wpadłem

w depresję. Wciągałem takie ilości kokainy, że dostawałem od tego paranoi. Stałem się chorobliwie zazdrosny o Beatę. Ubzdurałem sobie, że mnie zdradza. Kiedy wychodziła rano na trening, szedłem za nią, zza krzaków obserwowałem, co robi, i patrzyłem, czy ktoś z nią nie wychodzi. Pewnego razu pojechałem po nią do pracy, gdzie nagrywała jakiś program internetowy o linoskoczkach, którzy rozciągali linę w galerii handlowej i na najwyższej kondygnacji chodzili po niej nad głowami ludzi. Kiedy skończyła nagranie, jeden z linoskoczków zaprosił ją na drugi dzień na kolejny występ w innym miejscu. Moja chora, przeciępana głowa to zarejestrowała i od razu zaczęły w niej buzować myśli: czy oni nie mają romansu? Miałem tak zdewastowaną psychikę, że z jednej myśli, z jednego drzewa byłem w stanie zbudować cały las. Któregoś razu obudziłem się w środku nocy i zacząłem wrzeszczeć: „Gdzie on jest? Gdzie on jest?!”. „Ale kto?” – Beata była półprzytomna. „Linoskoczek! Gdzie jest linoskoczek?!” „Ale jaki linoskoczek?” „Widziałem go, wszedł po balkonach, wydymał cię i uciekł. Powiedz, gdzie jest linoskoczek”.

Rano Beata zawiozła mnie do psychiatry. Dał mi haloperidol stosowany między innymi w psychozach paranoidalnych. Rzeczywiście bardzo mnie to wyciszyło, ale miało jeden skutek uboczny. Czasami dochodziło do chwilowego napięcia mięśni, które polegało na tym, że nagle pół twarzy mi się wykrzywiało, a z kącika ust ciekła ślina. Dostałem drugi lek, żeby złagodzić te ataki, ale często o nim zapomniałem. Kiedy dostawałem ataku, przypadkowi ludzie ode mnie uciekali. Wyglądałem jak pacjenci z *Lotu nad kukułczym gniazdem* Formana. Straszny widok, nie byłem w stanie nad nim zapanować.

Po jakimś czasie uspokoiłem się, wciąż jednak byłem nieszczęśliwy i załamany. Całymi dniami użalałem się, że moje życie jest skończone. Beata miała dość. Groziła, że jeśli nie przestanę jęczeć, wywali mnie z domu i naprawdę zobaczę, jakie życie może być ciężkie. Zachowywałem się jak egoistyczny, rozpieszczony palant. Uratował mnie telefon z Polsatu. Agata Młynarska zaprosiła mnie do sympatycznego programu *Dzień kangura*. W każdym odcinku udział brały dwie gwiazdy, które zajmowały się dziećmi pod nieobecność rodziców. Program składał

się z dwóch części: studyjnej i filmowej. W części filmowej pokazywaliśmy, jak radzimy sobie z opieką nad dziećmi, a w części studyjnej humorystycznie omawialiśmy te materiały. Zwyciężała osoba, która zebrała więcej kangurów od dzieci. Program prowadziła Agata z Jerzym Kryszakiem. A ja wystąpiłem w duecie z Radkiem Majdanem. Zajmowaliśmy się na przemian rodziną, która mieszkała na barce na Powiślu. Pamiętam, że ojciec był informatykiem i miał pięcioro dzieci: jedno w wózku, dwoje w przedszkolu, reszta w szkole. Dobrze mi szło, dzieci mnie pokochały, ale pod koniec dnia zdjęciowego zapomniałem zażyć to rozkurczowe lekarstwo i... nagle poczułem, że zaczyna mi wykręcać głowę. Wpadłem w panikę, nie wiedziałem, co robić. Czułem, jak tracę kontrolę nad twarzą, a ślina cieknie mi z kącików ust. Reżyser zauważył, że coś jest nie tak, i z przejęciem zapytał, co się dzieje. Wiedziałem, że jeśli teraz nie powiem mu prawdy, to zaraz wydarzy się tragedia. Okazał się bardzo wyrozumiały i puścił mnie, żebym zażył te tabletki, ale dzieci decydującego kangura dały Radkowi. On wygrał. Mimo to samo przebywanie z dziećmi przywróciło mi radość życia.

Od dłuższego czasu Beata zajmowała się moimi sprawami zawodowymi. Mówiła, że ma ze mną więcej roboty niż ze swoim synem Oskarem. Została moim menadżerem i kierownicą. I trzymała mnie z daleka od gotówki. Wiedziała, że każdą kasę przepuszczę na narkotyki. Dla siebie i znajomych. Nigdy nie liczyłem się z pieniędzmi, łatwo mi przychodziły, lekko je wydawałem. Już przed wyrokiem ludzie nie chcieli podpisywać kontraktów ze mną, tylko z Beatą, bo brała za mnie odpowiedzialność. Była dla nich gwarancją, że wykonam swoją robotę. I rzeczywiście wozila mnie na plan i pilnowała, żebym nie uciekł. Kiedy ruszałem w długą, jeździła po całym mieście i szukała mnie po klubach. Ona jedna potrafiła mnie znaleźć.

Po pięciu miesiącach kwarantanny odebrałem telefon: „Dzień dobry. Tu Nina Terentiew. Chciałam, Misiu, żebyś przyszedł do mnie na rozmowę”. Nina Terentiew została wtedy dyrektorem programowym Polsatu. Poleciałem do niej na drugi dzień. „Oglądałam *Dzień kangura*, bardzo dobrze wypadłeś, widać, Misiu, że masz dobre serduszko. Na TOPtrendach też świetnie sobie poradziłeś, chciałabym,

żebyś poprowadził następne”. Mało tego, po chwili dodała: „A w ogóle to sobie pomyśl, co chciałbyś robić u nas w stacji. Może chciałbyś mieć swój program? Jak masz pomysł, jestem otwarta. Zapraszam”. Myślałem, że śnię: „Skąd ona się urwała?!”. Po wyroku wszędzie mnie opluwano, a ona zachowywała się tak, jakby nigdy w życiu o tym nie słyszała. Pierwszy raz od dawna ktoś ze mną rozmawiał tak ciepło i normalnie.

ROZDZIAŁ 7

NINA, MISIEK KOTERSKI SHOW, ŚPIEW I DZIADEK JERZY

**Czy ta – jak ją nazwałeś – pięciomiesięczna kwarantanna czegoś cię nauczyła?
Mówiłeś, że to była bolesna lekcja, wyciągnąłeś z niej jakieś wnioski?**

Tak. Spokorniałem. Przestałem tak hulać. Dostałem klapsa w dupę i coś do mnie dotarło. Wyrok, nagonka i ostracyzm odebrały mi pewność siebie. Ludzie odwrócili się ode mnie z dnia na dzień, ocenili i skreślili. Wydali drugi wyrok. Zrozumiałem wtedy, że część środowiska miała w sobie niezgodę na to, że ktoś taki jak ja, bez szkoły filmowej, bez przygotowania, narkoman i hulaka, po tatusiu dostaje posady i odnosi sukces. Po wyroku zatarli ręce: „No, wreszcie go dopadli”. Miałem poczucie krzywdy, bo tak naprawdę nikogo nie okradłem, nikogo nie oszukałem. Miałem żal do Kuby, że tak szybko odstawił mnie za drzwi. Czułem się jak pokrzywdzone małe dziecko. Kiedy Nina Terentiew zaproponowała mi autorski program, w ogóle go nie chciałem. Beata mnie namówiła. Powiedziała: „Nikt cię nie zna tak dobrze jak ja. Wszystko razem wymyślimy”. I miała rację. Naszym sąsiadem był chłopak, który pracował jako kierownik produkcji. Mieszkał z dziewczyną, często spotykaliśmy się w czwórkę. Byliśmy młodzi, pełni zapału. Razem wymyśliliśmy *Misiek Koterski Show*. Wpadliśmy na pomysł, że na początku programu z każdym gościem będę śpiewał jego ulubioną piosenkę. Nie umiem śpiewać, ale po debiutanckich TOPtrendach, gdzie dałem pokaz swoich „możliwości”, przekonałem się, że widzowie uwielbiają, jak ktoś przekracza swoje granice. Im bardziej się męczy, tym większą sprawia im to przyjemność.



Kiedy ktoś odsłania przed tobą swoje słabości, daje ci poczucie satysfakcji i pewność, że wszyscy jesteśmy pełni wad i ułomności. Nawet pan z telewizji.

Masz rację. Po występach artystycznych zaplanowaliśmy rozmowę z gościem. Miałem ambicje zrobić inny program niż Szymon Majewski czy Kuba Wojewódzki. Jako nieodrodne dziecko swojego ojca, który zaszczepił mi ciekawość i miłość do artystów, postanowiłem porozmawiać z nimi na poważnie.

Zależało mi na tym, żeby te rozmowy były wartościowe, żebyśmy ja i widzowie dowiedzieli się czegoś wyjątkowego. Chciałem bardziej słuchać, niż gadać i zagłuszać. Poza główną rozmową zamierzaliśmy dodać gry i wygłupy kręcane kamerką oraz „Filmową szafę Miśka” – spełnienie mojego marzenia o tym, żeby z idolami z dzieciństwa odegrać kultowe sceny z ulubionych filmów. Zagrałem między innymi scenę z *Wniebowziętych* z Pawłem Królikowskim, którego za młodu tak podziwiałem. Ja byłem Maklakiewiczem, on Himilsbachem. Mogłem też odegrać scenę z *Czterech pancernych*. Ja w roli Janka Kosa, a w pozostałych rolach Tomek Karolak i Michał Żurawski. Najbardziej się podjarałem, kiedy udało mi się namówić samego mistrza Daniela Olbrychskiego do odtworzenia scenki z *Potopu*. Wychowałem się na tym filmie. Przemiana Kmicica w Babinicza towarzyszyła mi przez całe życie i dawała nadzieję, że nawet największy oprych i złoczyńca może się zmienić w bohatera. Pewnego wieczoru zadzwonił do mnie reżyser naszych filmików Henryk Szymański i mówi: „Słuchaj, pokazałem nasze filmy Olbrychskiemu i on jest zachwycony twoją grą. Powiedział nawet: »Ten Koterski jest wspaniały, boję się z nim grać«”. To było dla mnie wielkie wyróżnienie. I do dziś jest. Za każdym razem kiedy spotykamy się z Danielem, wspominamy ten czas. Ja zagrałem Wołodyjowskiego, Daniel Olbrychski Kmicica. Wszystkie filmy do dzisiaj można zobaczyć na YouTube.

Program mieliśmy kręcić w klubie Mirage w Pałacu Kultury i Nauki. Wszystko już było ustalone, kiedy Beata razem z naszym sąsiadem wymyślili, żebyśmy sami produkowali to *show*. W pierwszej chwili pomyślałem: dlaczego nie, przecież studiowałem w Łodzi produkcję filmową, jakieś pojęcie mam. Ale potem przypomniałem sobie, czego ojciec zawsze mnie uczył: „Albo grasz, albo reżyserujesz. Najgorzej robić obie rzeczy naraz”. Ostatecznie nie chciałem tego robić. Wiedziałem, że będę tak zestresowany przygotowaniem i prowadzeniem każdego odcinka, że nie udźwignę dodatkowego napięcia związanego z produkcją. Beata zadeklarowała, że ona sama się tym zajmie. To było z kolei jej marzenie. Była moim menadżerem, ogarniała za mnie wiele różnych spraw, wszyscy się z nią dogadywali, a do tego była bardzo pracowita i ambitna. No to mówię: „Czemu nie?”

Przedstawię Ninie Terentiew taką propozycję”. Zadzwoiłem: „Pani dyrektor, dzień dobry. Mam pomysł, chciałbym go omówić...”. „Dobra, zapraszam, przyjdź, Misiu, do mojego gabinetu”. Jej słabość do mnie rozpoznawałem po drobiazgach. Przed gabinetem Niny Terentiew codziennie siedziała kolejka petentów. Ceremonia zawsze była taka sama: drzwi się otwierały, wszyscy prężyli się z nadzieją, a caryca polskiej telewizji zapraszała wybraną osobę. Kiedy przyszedłem, kolejka była długa, wyłowiłem kilka znanych twarzy. W pewnym momencie drzwi się otworzyły i usłyszałem: „Dzień dobry, Misiu!”. Ledwo się pojawiłem, od razu mnie zaprosiła. Zawsze czułem od niej ciepło matczynej troski, dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Po kolei wszystko jej opowiadałem. „To jest świetne, takie twoje. Obnażasz swoje słabości, ludzie to lubią”. Wszystko jej się podobało oprócz „Filmowej szafy”. „Misiu – tłumaczyła mi cierpliwie – rozumiem cię. Ale ja potrzebuję, żeby w tym programie było disco polo i pióra w dupie. Jak chcesz robić »Filmową szafę Miśka«, to idź do TVP Kultura. Ja chcę rozrywki”. Jak sama wiesz, łatwo się nie poddaję. Z taką pasją ją urabiałem, że w końcu skapitulowała: „No dobra, jeśli to jest twoje marzenie, niech tak będzie. Przeboleję”. Załatwiłem jedno, zostało najtrudniejsze zadanie: „Pani Nino, jest jeszcze jeden pomysł. Mianowicie żeby producentem tego programu została moja kobieta Beata”. Konsternacja i szok – tak bym opisał jej reakcję. Usłyszałem, że świetna z nas para, miłość miłością, ale nie ma mowy. Nie dopuści do tego, żeby ktoś bez doświadczenia kierował tak wielką produkcją. Wtedy ja, wierny, lojalny i zakochany Misiu, postawiłem ultimatum: „Albo Beata będzie producentem, albo ja tego nie robię. Proszę mnie zrozumieć”.

Wyrzuciła cię za drzwi?

Nie. Ale była wyraźnie poirytowana. Trochę przegiąłem. Tłumaczyłem się jak szczeniak, że już to obiecałem Beacie i nie mogę jej teraz zawieść. Poza tym naprawdę czułem się z nią bezpiecznie. Beata o tym marzyła, a ja ją kochałem. Wreszcie mógłbym jej czymś zaimponować. Zależało mi na tym. Nina Terentiew w końcu powiedziała: „Dobrze, Misiu. Muszę to przemyśleć”. Jakiś czas później

zadzwoiła i powiedziała, że się zgadza pod jednym warunkiem: że wstawi tam swojego kierownika produkcji, a reżyserem zostanie Gabryś Dworniak. Ojciec mi tłumaczył, że dobry kierownik produkcji jest w stanie ogarnąć całą produkcję. Nina chciała się zabezpieczyć i zachować kontrolę. Ja to rozumiałem. Zawsze mi powtarzała jedną rzecz: „Pamiętaj, Misiu, my tu wydajemy prywatne pieniądze pana Solorza, a nie pieniądze publiczne”.

Byłem szczęśliwy. Coś mnie podkusiło, postanowiłem pochwalić się Kubie. Pomyślałem, że może mi coś podpowie, udzieli mądrej rady. Zaprosiłem go na kolację i wypaliłem: „Słuchaj, stary, będę miał w Polsacie swój program *Misiek Koterski Show*”. Kuba był w szoku. Miał swój program w TVN w niedzielę, w prime timie, o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Akurat na nieszczęście dwa tygodnie wcześniej Edward Miszczak przeniósł Kubę na wtorek. Pamiętam, że wybuchła wielka afery. Media o tym pisały, cytując Miszczaka, że on jest od układania ramówki, a gwiazdy od prowadzenia programów, i nikt mu nie będzie mówił, co robić. A tymczasem w konkurencyjnym Polsacie dostałem niedzielny prime time. No więc siedzimy w tej restauracji, chwale się oczywiście, że mam swój program w niedzielę o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Podkreślam, ile mu zawdzięczam i jak dużo się od niego nauczyłem. „Pokażę ci nawet scenariusz pierwszego odcinka – mówię. – Przeczytaj, jestem ciekaw, co sądzisz, może masz dla mnie jakieś uwagi, coś mi doradzisz”. Moim pierwszym gościem był Przemek Saleta.

W najśmielszych snach nie wpadłbym na pomysł, żeby z Kubą w jakikolwiek sposób konkurować. Uważałem – i uważam do dziś – że w tym, co robi, jest najlepszy w Polsce. I tak mu powiedziałem. Na co Kuba zaczął mówić: fajnie, że mam swój program, ale przecież on widział mnie w roli swojego następcy, on mnie do tego przygotowywał, bo on nie będzie do końca życia prowadził tego programu, we mnie widział jego przyszłość. Po dwóch godzinach się rozstaliśmy, w sumie nawet nie pamiętam, czy dał mi jakieś uwagi.

We wtorek, pięć dni przed moim debiutem, ku mojemu zdziwieniu zobaczyłem w telewizji, że pierwszym gościem Kuby jest... Przemysław Saleta. Pękło mi

wtedy serce. Nasz program z Saletą był gotowy, nic już nie mogliśmy zrobić. Zostaliśmy zaszachowani. Przeraziłem się, co teraz będzie, ale nikomu się nie przyznałem, że to ja powiedziałem Kubie o Salecie. Ekipa była podłamana: „Ale skucha, ale lipa, porażka...”. W niedzielę nasz program został wyemitowany, a w poniedziałek rano odebrałem telefon od zachwyconej Gabrysi: „Szok! Dwadzieścia trzy procent udziałów w rynku! Osiągnęliśmy taką samą oglądalność jak Wojewódzki z tym samym gościem”. To był fantastyczny wynik jak na debiutanta. Do Kuby miałem duży żal, choć dzisiaj myślę, że tak postąpiłby każdy wytrawny gracz. Każdy, ale nie ja. Nigdy nie posunąłem się do takich zagrań. Może dlatego, że zawsze patrzyłem na świat oczami naiwnego dziecka i coś takiego nie mieściło mi się w głowie.

Kiedy przygotowywałem się do kolejnego odcinka, zadzwoniła Nina Terentiew i powiedziała prosto z mostu: „Słuchaj, Misiu, jest sprawa. Robię trzecią edycję *Jak oni śpiewają*. Program trzeba troszkę podkreślić, więc mam prośbę, żebyś w tej edycji wystąpił jako trzynasty uczestnik – niespodzianka”. Nie było mi to kompletnie po myśli. Po pierwsze, nie umiem śpiewać. A po drugie, byłem już zajęty nowym programem. Ale tak jak ja potrafiłem znaleźć klucz do niej i ją zmiękczyć, tak ona potrafiła znaleźć klucz do mnie. W końcu mnie namówiła.

Kosztowało mnie to bardzo dużo ciężkiej pracy.

Nauczyłem się śpiewać po czesku utwór *Jožin z bažin* i wykonałem do tego śmieszny taniec. Zostałem faworytem publiczności, trzydzieści procent głosowało na mnie, Rinke Rooyens, producent programu, zacierał ręce. W drugim odcinku zaśpiewałem *Chałupy welcome to*, ale w połowie występu zapomniałem słów i tylko nuciłem: „Na na na na na...”. Cała widownia śpiewała ze mną, zachwycona, że zna tekst piosenki, a ja nie. W trzecim odcinku przygotowałem *Bięłyje rozy*. Byłem sobą coraz bardziej zażenowany. W programie występowali wtedy między innymi Krzysztof Respondek, Olga Bończyk, Kacper Kuszewski, Joasia Kurowska, Aneta Zając, Grażyna Szapołowska. Odstawałem na ich tle, wszyscy to widzieli. Oni śpiewali fantastycznie i... odpadali, ja zgarniałem głosy widzów. Nina powtarzała w kółko: „Misiu, ale co ja mam zrobić? To ty wygrywasz. Ludzie cię

kochają, chcą cię oglądać. Nie możesz ich teraz oszukać”. A mnie palił już taki wstyd, że byłem na granicy wytrzymałości, wiedziałem, że dłużej nie dam rady. W końcu wymusiłem na Ninie spotkanie z nią i Rinke Rooyensem. „Wstyd mi strasznie – mówię – dłużej nie będę tego robił. Odchodzę”. Rinke dostał szału: „Kurwa, jakie odchodzę! Nina, on nie może nigdzie odejść. On jest własnością stacji. Musi zostać! Przecież ten program to hit. Petarda! Ludzie go kochają, on nie ma prawa odejść!...”, i tak dalej. Nina, jak zawsze spokojna, patrzy na niego i mówi: „Posłuchaj, Rinke, uspokój się. Nie krzycz na Misia, bo Misio jest wrażliwy i na Misia nie wolno krzyczeć”. Poprosiła mnie, żebym wytrzymał jeszcze jeden odcinek.

Pamiętam, śpiewałem wtedy dla Beaty słynny hit Janusza Laskowskiego: „Siedem dziewcząt z Albatrosa, tyś jedyna... A na imię miałaś właśnie Beata”. Do odpadnięcia nominowane były Aneta Zając i Grażyna Szapołowska. Krzysiek Ibisz, który to prowadził, stał na scenie i mówił: „Zaraz się dowiemy, kto dzisiaj odpada wynikiem głosowania...”. Wtedy program był transmitowany na żywo. Głosowania też były na żywo. Nagle spontanicznie przerwałem Ibiszowi i wypaliłem: „Przepraszam państwa, ja nie mogę pozwolić, żeby tak piękne kobiety odpadły. Odchodzę z programu. Oddaję im swoje miejsce”. Ibisz mi później mówił, że słuchawka wypadła mu z ucha, kiedy Rinke do niej wrzeszczał: „Zatrzymaj go! On nie może odejść z programu! Co on wyprawia?!”. Grażyna Szapołowska była tak szczęśliwa, że wpiła się we mnie ustami, nie mogłem się od niej oderwać.

Wyszedłem z programu z twarzą. Prawie w glorii i chwale. Tylko Rinke chciał mnie zamordować.



Rinke Rooyens, Holender, który od dwudziestu pięciu lat mieszka w Polsce, wyprodukował wiele hitowych programów, między innymi: *Mamy cię!*, *Szymon Majewski Show*, *Taniec z gwiazdami*, *Top model*, *The voice of Poland*. W jednym z wywiadów powiedział mi: „Robiliśmy i nadal robimy dużo programów z gwiazdami – i tak też je traktujemy: jak gwiazdy. Zapewniamy

im komfort i maksymalnie o nie dbamy, wtedy mają przestrzeń na rozwinięcie talentu. To rola producenta – dajemy im takie małe Hollywood”.

Rinke wkładał ogrom pracy w ten program. Wiedział, że w tamtym momencie byłem na szczycie swoich możliwości, swojej kariery. Ojciec często mi mówił: „Sukces jest o wiele trudniejszy do udźwignięcia niż jego brak”. Po latach zrozumiałem, o co mu chodzi. Miałem w głowie zakodowane, że za każdym razem muszę wystrzelić jak fajerwerk, nie ma miejsca na słabości. Czułem ogromną presję i żeby ją rozładować, ostro imprezowałem. W sobotę były nagrania, a ja potrafiłem w piątek balować całą noc w Cynamonie, żeby nad ranem przenieść się do klubu gejowskiego Utopia na ulicy Moniuszki, bo był najdłużej otwarty i cała warszawka tam kończyła. Wszystkie gwiazdy się tam schodziły, każdy, kto był na topie. W tygodniu zapieprzali, w weekendy się odstresowywali. Rinke widział, jaki jestem. Sam wtedy hulał na maksa. Dla Rinke jednak praca była świętością. Trzymała go w pionie. Mnie nie. Kiedy ćpałem, wpadałem w podniecenie, żeby zaraz potem runąć w otchłań niepokoju, a wtedy puszczały mi hamulce. Rinke pilnował, żebym dotarł na nagrania. Tak się o mnie martwił, że potrafił przyjechać o szóstej rano swoim porsche z szoferem do Utopii i mnie stamtąd wyciągnąć za łeb. Kiedyś balowałem z pewną gwiazdą *Tańca na lodzie*, który Rinke również produkował, więc przyjechał po naszą dwójkę. Gwiazdę odstawił do domu, a mnie zabrał do siebie i zamknął drzwi na klucz. Kiedy zasnął, uciekłem przez okno w łazience. Szukał mnie potem po całym mieście. Nie miał ze mną lekkiego życia. I nie tylko on w tamtym czasie.

Doszło do tego, że brałem kokainę *non stop*. Żeby się zabawić, wstać z łóżka, poprowadzić program, na kaca. Kokaina dawała złudzenie, że mogę bezkarnie funkcjonować na najwyższych obrotach. Imprezować całą noc, spać dwie godziny, walić kreskę, iść do pracy i zrobić program albo zaśpiewać, walić kreskę, imprezować, spać dwie godziny... Można tak funkcjonować, ale góra rok, może dwa. Potem zaczyna się zjazd.

Do piekła, w którym już przecież byłeś.

Tak. Kokaina najpierw dała mi poczucie pewności, że będę góry przenosił, a potem mnie wyniszczyła. Organizm zostaje wyjałowiony, wygłodzony, pozbawiony witamin. Mózg jest zmęczony, zaczynają się schizy i paranoje.

Pierwszy sezon *Misiek Koterski Show* okazał się sukcesem. Nina Terentiew zapowiedziała, że spotykamy się po wakacjach i robimy drugi sezon. Przerwa miała trwać trzy miesiące. Wtedy jeszcze jechałem na adrenalinie. Balowałem, odstresowywałem się. W moim środowisku wszyscy tak żyli, więc wydawało mi się, że to jest zajebiste i normalne. Nie było. Paradoks polegał na tym, że nigdy nie spotkałem ludzi, którzy żyli inaczej. Byłem zamknięty w swojej kokainowej bańce. Po latach na terapii usłyszałem, że uzależnieni zawsze otaczają się tymi, którzy zapewniają im komfort tej iluzji. Myślisz: „Ten znany, tamta gwiazda, wszyscy ładują, no to chyba nie ma w tym nic złego”.

Tak wygląda świat show-biznesu.

Skończył się program i zaczęła się pustka. Zarobiłem ogromne, jak na mnie, pieniądze. Wydawałem je na narkotyki, ciuchy, knajpy, dyskoteki i pożyczalem. Kto potrzebował gotówki, przychodził do mnie. W czasie wakacji towarzystwo, w którym się obracałem, przenosiło się na Wybrzeże. Na topie był wtedy Sopot i Chałupy, najbardziej znane i pożądane. Trzeba było być na każdym festiwalu, imprezie, evencie. Cały czas hulałem. *High life*. Samoloty, samochody, najlepsze knajpy, najlepsze alkohole, najlepsze hotele i balanga. Wielka, nieustająca zabawa.

Tymczasem przestało mi się układać z Beatą. W pewnym momencie wydarzyło się między nami coś, co spowodowało, że pękło mi serce. Poczułem się przez nią zdradzony. Nie chcę się wdawać w szczegóły, bo po latach wiem, że będąc w czynnym uzależnieniu, sam się do tego przyczyniłem. W czerwcu rozstaliśmy się i strasznie to przeżyłem, bo wciąż ją kochałem. Dzisiaj sobie myślę, że podświadomie do tego dążyłem. Wiedziałem, że mam poważny problem. Praca trzymała mnie w ryzach. Musiałem iść na próbę, nauczyć się tekstu, przygotować się, pisać scenariusz z ludźmi z telewizji, wystąpić. Byłem częścią ogromnej maszyny. W kontrakcie miałem zapisane różne kary umowne. Czułem brzemię obowiązku i odpowiedzialność. Cały czas siedziałem na tak zwanym dupościsku.

Kiedy program się skończył i zaczęły się wakacje, nagle nie musiałem nic robić. Nikt mnie nie szukał, nie gonił do roboty, niczego ode mnie nie chciał. Rozstanie z Beatą tylko to przypieczętowało. Miałem dobrą wymówkę. Mój chory, uzależniony umysł szeptał: „Cierpisz, ona cię zraniła, teraz możesz iść na całość...”.

Któregoś dnia zgłosił się do mnie diler samochodowy, zaprosił na jakiś event i przy okazji zapytał, czy nie chciałbym zostać ambasadorem pewnej marki: „Mam świetne autko, super silnik. Przyszykuję je panu i miesiąc pojeździ pan sobie za darmo”. Nie miałem ani prawa jazdy, ani pojęcia o prowadzeniu samochodu, ale powiedziałem, że się zgadzam.

Byłem oszołomem. Niczego się nie bałem i nie myślałem o konsekwencjach. Narkotyki odcięły mnie od rzeczywistości. Umówiliśmy się z facetem, że odbiorę samochód z salonu. Kiedy dotarło do mnie, że nie mam prawa jazdy, poprosiłem o pomoc koleżankę – aktorkę Kasię Sowińską, która odebrała ze mną auto. „Odbierzemy auto, ty poprowadzisz. Jakby facet się dziwił, powiemy, że wypłem dzisiaj piwko na kaca i nie mogę prowadzić”. Założyłem, że o prawo jazdy nikt mnie nie będzie pytał. Tak się dokładnie stało. Złożyłem facetowi podpis na umowie i pojechaliśmy.

Teraz muszę zrobić dygresję. Kilka miesięcy wcześniej na jakiejś imprezie podszedł do mnie Maciej Zientarski, który w Polsce prowadził z ojcem program motoryzacyjny *Pasjonaci*, i zapytał, jakim autem jeżdżę i jakie marki preferuję. Ja mu wtedy odpowiedziałem, że nie mam prawa jazdy i nie jeżdżę, ale moja partnerka Beata wozi mnie swoim porsche cabrio i to jest największy szpan.

Wracamy do naszej opowieści. W Sopocie poprowadziłem koncert, zrobili mi zdjęcia z tym autem, pamiętam podpis w „Super Expressie”: „Koterski przyjechał furą za trzysta tysięcy złotych”. Tak naprawdę prowadziła wtedy Beata, która do mnie dojechała – postanowiłem dać jej jeszcze jedną szansę – i nikt na tamten moment się nie zorientował, że nie mam prawa jazdy i nigdy nie jeździłem samochodem. Dzisiaj jestem wdzięczny, że miałem na tyle rozumu, żeby nie wsiąść za kółko, bo mogłaby się stać nieodwracalna tragedia.

W Sopocie pokłóciliśmy się z Beatą i ostatecznie się rozstaliśmy. Cios, który mi zadała, był nie do udźwignięcia. Zostałem sam z superautem, nie mając prawa jazdy, a postanowiłem pojechać do znajomych na Hel. Samochód stał pod hotelem, potrzebowałem tylko kierowcy. W Sopocie modna była wtedy knajpa Oranzada. Poszedłem do tej knajpy, patrzę, a przy barze siedzi dziewczyna. Dosiadłem się, gadka, szmatka. Dziewczyna fajna, młoda, ładna. W ogóle jej nie podrywałem. W tamtym okresie jedyne, co mnie interesowało, to balowanie i ćpanie. W pewnym momencie mówię do niej: „Słuchaj. Potrzebuję kierowcy. Może pojechałabyś ze mną na Hel?”. I Dominika się zgodziła. Rano kupiła kostium kąpielowy i pojechaliśmy na Hel. Okazała się superdziewczyną, z którą można było konie kraść. Znosiła wszystkie moje melanże, odloty i ekscesy. Sama nie piła, ale mną się opiekowała. Choć sporo młodsza, miała do mnie matczyne stosunek. Byłem tak naćpany, że nie wiedziałem, co się wokół mnie dzieje. Ale ona wszystko kontrolowała. Któregoś dnia zadzwonił zdenerwowany diler: „Czy pan jest normalny, panie Michale?! Czy pan zwariował?! Proszę natychmiast wracać i oddać auto!”. Ktoś mnie zobaczył w programie Zientarskiego i wszędzie trąbili, że nie mam prawa jazdy, a rozbijam się luksusowym autem po Wybrzeżu. Powiedziałem facetowi, że oddam samochód, jak skończą się wakacje, chyba że sam po niego przyjedzie – i się rozłączyłem. Zadzwonił ponownie i groził, że zgłosi to na policję, ale w ogóle się tym nie przejąłem.

Całe wakacje spędziłem z Dominiką. Jak brat z siostrą. Ona chciała przeżyć przygodę, a ja się naćpać i zabawić. Dobraliśmy się idealnie. Kiedy wróciliśmy z Helu do Sopotu, zapraszano nas na wszystkie imprezy. W słynnym klubie Copacabana spotykali się wszyscy: artyści, biznesmeni, lokalni politycy i gangsterzy. Tam poznałem legendę trójmiejskiego półświatka. Właśnie wyszedł z więzienia, przypadliśmy sobie do gustu i bardzo się zakolegowaliśmy. Wynajął nam pokój w Sheratonie, zapłacił za tydzień z góry, a w bonusie dał mi towar. Nie musiałem się o nic martwić. Pamiętam, że pewnego dnia pojechałem z nim i jego świtą amerykańską furą, którą wynajął jeden z reprezentantów Polski w piłce nożnej, na jakiś festiwal TVN-u, prowadzony przez Szymona Majewskiego. Jak

tylko wysiedliśmy pod Operą Leśną, zrobiło się zamieszanie. Mój nowy kumpel zarządził: „Misiek, trzeba tym wszystkim dzieciakom rozdać autografy”. Rozległy się wrzaski, piski i przepychanki. Na drugi dzień portale i gazety napisały, że zamroczony narkotykami i alkoholem młody Koterski wywołał wielką awanturę. Nie była to prawda. W te wakacje ponownie znalazłem się na celowniku plotkarskich mediów, a te jak już złapią za gardło swoją ofiarę, to nie puszcza. Uwielbiają niszczyć tych, których przed chwilą kochały. Od miłości do nienawiści w jeden dzień. Taka polska specjalność.

Do Warszawy wróciłem dziesięć kilogramów chudszy. Byłem wrakiem człowieka.

Po raz kolejny... Nie wypominam ci, ale jednak mnie to uderzyło.

Mnie też, ale dopiero teraz. Wtedy byłem w oku cyklonu. Narkotyki mają to do siebie, że człowiek uzależniony skupia wokół nich całe swoje życie. Kiedy byłem z Beatą i jej synem Oskarem, moje życie wypełniła rodzina, czyli to, o czym zawsze marzyłem. Pokochałem Oskara, który, o dziwo, mnie też pokochał. Może z tej prostej przyczyny, że spełniałem jego marzenia, których mój ojciec w dzieciństwie nigdy nie spełnił: żeby z nim być i się bawić. Nasz wspólny czas dawał mi radość i satysfakcję. Bywały momenty, kiedy to ja stawałem się dzieckiem, a Oskar dorosłym. To były tylko chwile, ale zapamiętam je na zawsze. Jak tę, kiedy mnie budził i mówił: „Misiu, wstań, zrobiłem ci śniadanie”. Coś bezcennego.

Byłem człowiekiem pełnym pasji, zapału, pomysłów, a na końcu narkotyki wszystko mi zabrały. Na TOPtrendach w 2007 roku wymyśliłem – potem wiele osób korzystało z tego pomysłu, na przykład Doda – żeby rozwiesić linkę nad Operą Leśną. Kto tam był, wie, jaki to jest ogromny obiekt. Na tej linie z końca Opery przeleciałem nad głowami widzów i w kaftanie rodem z *Matrixa* wylądowałem na scenie, śpiewając piosenkę Wilków: „Lecę, bo chcę. Lecę, bo życie jest złe. Czy są pieniądze, czy nie. Lecę, bo wolność to zew. Lecę, bo wciąż kocham ciebie”. A potem otworzyłem koncert. Genialnie wyreżyserował to Konrad

Smuga. Naprawdę czerpałem z pracy ogromną radość. Przychodziłem nie po to, żeby ją odbębnić, ale – jak zaszczeplił mi ojciec – dać ludziom coś zaskakującego, stworzyć coś nowego.

Do dziś wśród realizatorów TVN-u czy Polsatu krążą legendy o tym, że po narkotykach byłeś tykającą bombą. Nigdy nie wiedzieli, co wymyślisz.

Na ceremonii wręczania Europejskich Nagród Filmowych, która w 2006 roku odbywała się w Warszawie, a prowadzili ją Maciej Stuhr z Sophie Marceau, gośćmi były takie tuzy jak Roman Polański, Jerzy Skolimowski, Penélope Cruz i Pedro Almodóvar, z którym Maciek Dowbor robił wywiad. Starał się o niego ponad rok, a ja wparowałem im w środek rozmowy, usiadłem Almodóvarowi na kolanach i zrobiłem nam *selfie*. Almodóvar tak się zdenerwował, że zerwał wywiad, a Dowbor do dziś mi to wypomina. Co prawda teraz sobie już z tego żartuje, ale tamtego dnia naprawdę chciał mnie na miejscu zamordować. Wtedy mnie to śmieszyło, dziś bym tego nie zrobił. Innym razem – podobno, bo ja już tego nie pamiętam, tak wynika z opowieści Dowbora – podczas prowadzenia TOPtrendów, przed walką na żywo Gołoty z Saletą, tak długo zabawiałem publiczność, przedłużając koncert, że rozsierdzony Gołota odmówił wyjścia na ring. Trzeba było obłaskawiać bestię.

Sam byłeś bestią...

Wiem! Naśmigany różnymi substancjami niczego się nie bałem. Nie myślałem o konsekwencjach ani o tym, co czują inni. Tak po prostu funkcjonowałem. Wydawało mi się, że to jest normalne zachowanie. W moim dziewięcioletnim związku z Sylwią trzecim partnerem było moje uzależnienie. Dla mojego otoczenia stało się moją integralną częścią. W ten sposób sam wpadłem w pułapkę. Bardzo długo wydawało mi się, że wszystkie sukcesy osiągnąłem na odlocie narkotycznym. Dzięki nim jestem taki przebojowy i twórczy. Dzięki nim

zwalczyłem demony dzieciństwa, nieśmiałość i wstyd. Wobec tego bez narkotyków nie będę w stanie nic zrobić.



Gdyby nas ktoś teraz słuchał, mógłby powiedzieć: „Ale przecież wszystko mu się udawało”. Owszem, do czasu. Nigdy nie wiesz, kiedy ta podstępna choroba wystawi rachunek, niszcząc cię i zabierając wszystko. Mój rachunek przyszedł dokładnie w momencie, kiedy byłem na tak zwanym szczycie. Ktoś mi wtedy przypomniał, że mam dwadzieścia siedem lat, a ja pomyślałem: „Ja pieprzę, nie do wiary! Jak to, ja mam dwadzieścia siedem lat?!”. Niemożliwe, przecież ja mam piętnaście lat, wszystko jest takie fajne, zabawne i proste.

Moje sukcesy splotły się z chorobą i umieraniem dziadka, mojego idola z dzieciństwa. Dziadek Jerzy był najwspanialszym człowiekiem, jaki chodził po ziemi. Kiedy mój ojciec nie wyrabiał się w ojcowskich obowiązkach, dziadek nauczył mnie pływać, jeździć na rowerze, na nartach. Był facetem z krwi i kości. Miał wielkie łapy, którymi mnie przytulał, nigdy mnie nie uderzył. Jestem jedynakiem, jedynacy często czują się samotni, a dziadek zawsze wszędzie ze mną

chodził. Całymi dniami rzucał ze mną piłką do kosza, grał w ping-ponga, w piłkę nożną. Odrabiał ze mną lekcje. Jeśli czegoś nie umiał, to najpierw sam się uczył, a potem dawał mi korepetycje. Był moim kolegą i moim mentorem.

Przeżyli z babcią Dziką pięćdziesiąt lat. On przystojny, metr dziewięćdziesiąt, z przedwojennymi manierami, inżynier. Babcia bardzo ładna, niska i drobna, dyrektorka szkoły. Całe życie nim rządziła, czasami przekomicznie to wyglądało, zważywszy różnicę wzrostu. Dzikka była apodyktyczna i potrafiła dać mu w kość, ale on to mężnie znosił, bo ją kochał. Poza domem dziadek budził respekt i był szanowany, wszyscy się z nim liczyli. Kiedy po latach przygotowywałem się do roli Edwarda Gierka, jego relację z żoną Stanisławą zbudowałem na moich wspomnieniach o małżeństwie dziadków. Profesor Adam Gierek, syn Edwarda, powiedział, że dokładnie tak to wyglądało. Wtedy był to typowy model rodziny: żyli jak pies z kotem, ale jedno za drugie oddałoby życie. Byli ze sobą na dobre i na złe. Kiedy siadałem u nich w przedpokoju na fotelu i wiązałem buty, zawsze podziwiałem oprawiony w ramkę list od prezydenta Łodzi z podziękowaniami za piękny jubileusz pięćdziesięciu lat pożycia małżeńskiego. „Wasze życie to postawa godna naśladowania dla młodszych pokoleń”.

Dziadkowie zabierali mnie na wszystkie wakacje do Gomunic, rodzinnej wsi babci. Uwielbiałem tam jeździć, było podwórko, las i rzeka. Wiejskie chłopaki wychowane na zdrowej żywności i świeżym powietrzu dały mi ksywę Glizda, bo byłem chudy i chorowity. Krzyczały: „Glizda, dawaj na boisko!”. Dziadek nie odstępował mnie na krok, czułem się z nim bezpiecznie. Póki żył, wszyscy w rodzinie czuli się bezpiecznie. Mama chodziła do niego z problemami, mój ojciec chodził z problemami, wiadomo było, że dziadek załatwi, dziadek pomoże, dziadek uratuje. Zresztą pomagał każdemu, kto przyszedł z prośbą. Zawsze był gotowy, czuł się potrzebny.

Moją mamę wychowywali z babcią dość reżimowo i mama była przez to poturbowana emocjonalnie. Kiedy podrosłem, mnie też starali się krótko trzymać, ale oczywiście im nie wychodziło. Pamiętam, jak mama zapisała mnie na angielski, a ja zamiast na lekcje chodziłem do ukochanego klubu bilardowego. Pewnego dnia

wpadli tam z nienacka dziadkowie, szukając wnuka. Była zima, mieli na sobie długie futra okolone kołnierzami z lisa, a na głowie lisie czapki. Na ich widok moi koledzy zaczęli krzyczeć: „Misiek, ruskie po ciebie przysły. Agenci KGB zaraz cię aresztują!”. Uciekłem wtedy przez okno. Ale kiedy zaciągnąłem jakiś długi i ściagały mnie bandziory, grożąc, że łeb mi urwą, biegłem po pomoc do dziadka i dziadek załatwiał sprawę. Wzór prawdziwego mężczyzny. Nie bał się nikogo. Całe życie marzyłem, żeby być taki jak dziadek Jerzy.

Umierał na raka prostaty w ogromnych bólach. Silny, nieustraszony facet, który był oparciem dla całej rodziny, został złamany przez chorobę. Mój ojczym przyjął dziadka do Szpitala Pirogowa, tam go odwiedzałem. Pamiętam, że kupiłem mu łańcuszek ze złotym krzyżem. Chciałem dać mu coś od siebie i podziękować. Kochał mnie ponad wszystko i pokładał we mnie wielkie nadzieje. Widział mnie w kinie, w telewizji, cieszył się moim powodzeniem, ale w głębi duszy wołał, żebym założył rodzinę i się ustatkował. W jego oczach to byłby mój największy sukces. Ubolewałem, że go zawiodłem.

Siedziałem w szpitalu obok mężczyzny, którego kochałem, i patrzyłem, jak cierpi, odchodząc. Trzymałem go za rękę i modliłem się: „Panie Boże, daj już odejść temu człowiekowi, żeby on się tak nie męczył”. A mój dziadek, jakby słysząc myśli w mojej głowie, mocno ścisnął mi dłoń i powiedział: „Wiesz, co bym jeszcze chciał, Misiu? Jak najdłużej popatrzeć na ten świat”. Mówił to z ogromną radością. Nie wyglądał na człowieka cierpiącego, cieszył się, że wciąż żyje. Na łożu śmierci udzielił mi ostatniej lekcji. Kilka dni później umarł.

Kiedy to się stało, poczułem lęk. Nagle zabrakło mi wsparcia. Mój ojciec w tamtym okresie był jeszcze słabym człowiekiem. Wychodził ze swojego bagna i uczył się życia na trzeźwo. Był wystraszony, miał emocje na wierzchu. Przychodziłem do niego pijany i naćpany z różnymi żalami, ale nie chciał ze mną rozmawiać. Jak mnie nie wpuszczał, wdrapywałem się po balkonach. Zgotowałem mu piekło. Byłem wściekły i urażony. Wrzeszczałem mu pod oknem: „Kurwa, to ja całe młode życie poświęciłem, żeby cię ratować. Nigdy ci nie powiedziałem, że to źle na mnie wpływa, a ty mnie odtrącasz w momencie, kiedy ja cierpię”.

Oczywiście teraz wiem, że miał rację. Ale wtedy mnie to strasznie bolało, nie potrafiłem się z tym pogodzić. Pomyślałem, że nie mam już na świecie nikogo. To mnie dodatkowo dobiło i utwierdziło w cierpieniu.

Myślę, że to jest cud, że w ogóle żyję. Kiedy opowiadam ci historię swojego życia, mam poczucie, że to wszystko przeżył ktoś inny. Nie ja. Bo ja dzisiaj jestem człowiekiem, który się boi i nie byłby zdolny do takich rzeczy. Moja Marcela mówi: „Ty już zawsze będziesz się bał. Zawsze znajdziesz powód, żeby się bać, bo karmisz się tym lękiem”. I rzeczywiście tak jest, podskórny lęk mnie nigdy nie opuszcza. Bliskie jest mi to, co często powtarza mój ojciec: że najpierw urodził się lęk, a potem on. A tak naprawdę wydaje mi się, że on te wszystkie lęki we mnie zaszczerpił od dziecka, czy raczej jego choroba uzależnienia, która była tym podszyta.

Moje życie dzieli się na dwie części.

ROZDZIAŁ 8

ZAMEK Z PIASKU, PRZYJAŹŃ, POWRÓT DO ŁODZI, PIERWSZA MIŁOŚĆ I OSTATNI DZIEŃ ĆPANIA

Wakacje – jak to obrazowo ująłeś – skończyłeś jako wrak człowieka. I co dalej? Wróciłeś do telewizji?

Po wakacjach Nina mnie wezwała. „Możesz być na mnie zły – powiedziała jak to ona, nie owijając w bawełnę – możesz tego nie zrozumieć, ale jeśli ja cię w takim stanie wypuszczę na scenę, to ty, dzieciaku, tego nie przeżyjesz”. Nie docierało do mnie do końca, co ona mówi. Po tym szaleńczym wakacyjnym ciągu imprezowym byłem w dołku, kompletnie rozbity psychicznie. „Musisz coś ze sobą zrobić – mówiła Nina – bo inaczej to się źle skończy. Po prostu umrzesz”. Kiedy zacząłem się żalić, że straciłem Beatę, uświadomiła mi, bardzo zresztą słusznie: „Michał, tak rozdałeś karty. Nie możesz mieć pretensji do swojej dziewczyny, że nie wyszło. Ty ją osadziłeś w tej roli i ty ponosisz za to odpowiedzialność”. To była prawda. Nie mogłem żyć bez Beaty i obarczyłem ją wszystkimi sprawami, którymi nie chciałem się zajmować. Zrzuciłem na nią całą odpowiedzialność, a potem dziwiłem się, że nie mogę w tym związku oddychać. Nina powiedziała mi też: „Wszystko było podporządkowane tobie. Trudno się z tobą żyje, bo masz wielkie oczekiwania wobec ludzi, jak dziecko”. Znowu miała rację. Tak było z mamą, z Sylwią, z Beatą, z Kubą Wojewódzkim, z Niną, z ojcem. Wymagałem, żeby mi dali poczucie bezpieczeństwa, chciałem się czuć megazaopiekowany. Myślałem: „Ja ich kocham, oni mnie kochają, to mają robić tak, jak ja chcę! Dałem z siebie wszystko, to

dlaczego od nich mam tego samego nie dostać?”. Jak nie dostawałem, wpadałem w szal i zachowywałem się jak rozkapryszony gnój.



Nina stanowczo zakomunikowała, że nie wpuści mnie w takim stanie do programu. Uratowała mi życie, zabierając ten program, choć wtedy jej nienawidziłem. Dziś wiem, że byłaby to katastrofa, rozpadłbym się na oczach widzów. Wtedy czułem się zdradzony.

Zatoczyłem koło. Na tacy dostałem miłość, program za duże pieniądze i sympatię widzów. Zrobiono mi z życia raj, a ja zacząłem to rozpierdalać. Jak

dziecko burzące w złości piękny zamek z piasku, który dorośli pomogli mu wybudować.

Mówi się, że „Bóg przemawia przez ludzi”. Myślę, że On mnie ciągle ratował, tylko jeszcze o tym nie wiedziałem. Mój Anioł Stróż stał i ciągnął mnie za rękę, żebym nie wpadł pod ten pociąg.

Miałem poczucie, że moje życie totalnie się zawaliło. I co? Poszedłem w jeszcze większy melanz. Wynajmowałem wtedy mieszkanie na Saskiej Kępie i tam ćpałem na potęgę. Pamiętam, że diler, który przywoził mi towar, po pół roku przyjechał nowym mercedesem... Wszystko, co miałem, oddawałem za narkotyki.

Ktoś się wtedy tobą opiekował?

Nikt się mną nie opiekował. W pewnym momencie byłem zdecydowany skończyć ze sobą. Zaćpać się na śmierć. Moim nieszczęściem, albo szczęściem w nieszczęściu, było to, że mój organizm był w stanie przyjąć ogromne ilości narkotyków. Zaczynałem z jedną ekipą w piątek, w niedzielę, kiedy wszyscy odpadali, znajdowałem następnych towarzyszy zabawy, balowaliśmy do środy, a od środy miałem już nowych. Ludzie nie byli w stanie za mną nadążyć. Nigdy nie miałem zapaści, nie czułem bólu, chociaż zajeżdżałem organizm do utraty tchu.

Nie wiem skąd, nagle pojawił się mój kolega z ośrodka, Ukrainiec Nazar. Przyjechał do Warszawy i odezwał się do mnie. Jak mnie zobaczył, od razu zamówił lekarza i odtrucie. Dzięki niemu stanąłem na nogi. Jeszcze robiłem w Warszawie jakieś drobne rzeczy, czasami spływały mi więc jakieś pieniądze. Ale szczerze ci powiem, że jest to okres, z którego niewiele pamiętam. Zaliczyłem tysiąc imprez. Do dziś często ktoś mnie zaczepia i mówi: „Misiek, grzaliśmy razem tu i tam, pamiętasz?”. „A pamiętasz tamten klub...? A tamtą balangę...?” A ja w ogóle nie wiem, kto to jest, i niczego nie pamiętam. Mam w życiorysie wielką czarną dziurę z przebłyskami światła.

Pamiętam dwóch przyjaciół z tamtego okresu. Ich obecność dawała mi złudne poczucie, że jeszcze nie jest ze mną tak źle. Pierwszy to Tomek Iwan, piłkarz, który

starał się mi pomóc, ale będąc sportowcem, nie miał pojęcia, na czym polega uzależnienie. Zabierał mnie do siebie do domu w Łomiankach, żebym tam troszkę odtajał w innym środowisku. Drugiego, Adama, poznałem w czasach świetności na Wybrzeżu. Jest jedyną osobą z tamtego okresu, która do dziś została w moim życiu, na dobre i na złe. Poznaliśmy się podczas jakiegoś turnieju sportowego w Sopocie. Adam zajmował się deweloperką, był bardzo zamożnym człowiekiem i hojnym sponsorem. Od razu się zaprzyjaźniliśmy. Spotykaliśmy się rodzinie. Z żoną Sylwią mieli dwie córki, a mnie traktowali trochę jak swojego syna. Przyjeżdżałem do nich często z Beatą i Oskarem.



Kiedy moja gwiazda całkiem zgasła i wszyscy się ode mnie odwrócili, nikt nie chciał nawet splunąć w moją stronę, a ja nie miałem grosza przy duszy, Tomek i Adam wzięli mnie pod swoje skrzydła. W Warszawie pomieszkiwałem u Tomka i próbowałem się reanimować. W wakacje jeździłem do Adama i mieszkałem z jego rodziną. Kiedy byłem w najgorszych ciągach po powrocie do Łodzi – te opowieści jeszcze, niestety, przed nami – przyjeżdżałem do nich w tak fatalnym

stanie, że przez pierwszy tydzień spałem. Adam tylko sprawdzał, czy żyję, a Sylwia mnie podkarmiła. Przez dwa miesiące doprowadzali mnie do względnej normalności. Potem wracałem do Łodzi i znowu było to samo. Nie potrafiłem się zatrzymać.

Rozumiem, że na własnej skórze zaliczyłeś kolejną życiową lekcję: prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie?

Oj, tak! W świetlanych czasach, w szczycie kariery, miałem mnóstwo „przyjaciół”. Wielu ludzi chciało ogrzać się w ciepłe mojej sławy, bo wszędzie mnie zapraszano, wszędzie mnie znano i wszędzie wpuszczano. Wszyscy mnie uwielbiali. Kiedy stałem się pariasem, ci sami ludzie nagle pokazywali mi palcami: „Ty, zobacz, jaki degenerat. Ty, zobacz, jak się stoczył. Miał wszystko, a skończył na dnie”. Stałem się dla nich idealnym listkiem figowym. Lekarstwem na poprawienie samopoczucia, remedium na wyrzuty sumienia. Dzięki mojemu upadkowi mogli odwrócić wzrok od siebie. Ćpali ze mną, a potem mnie obgadywali: „Zobacz tego Koterskiego, jak gościu upadł. To już wykolejeniec. Ale ze mną nie jest tak źle...”. Póki miałem pieniądze, wciąż ze mną imprezowali, bo dobrze się czuli, mając obok siebie kogoś, kto jest gorszy. Mogli się usprawiedliwić we własnych oczach, poprawić sobie morale.

Tomek i Adam wiedzieli, że nigdy w życiu nie miałem imprezy urodzinowej, nawet w dzieciństwie. Jako syn pijaka wstydziłem się zapraszać do domu inne dzieci. Ten model patologicznej rodziny genialnie pokazał Konrad Aksinowicz w filmie *Powrót do tamtych dni* z rewelacyjnym Maćkiem Stuhrem w roli zapijaczonego ojca. W każdym razie kilka dni przed moimi urodzinami Tomek zakomunikował, że jedziemy do Zakopanego, gdzie zostaniemy na sylwestra. Pamiętam to jak dziś, mieszkaliśmy w małym domku nad strumykiem. Wyszedłem rano przed dom zapalić papierosa, był dwudziesty dziewiąty grudnia, moje trzydzieste urodziny. Głos w głowie mi powiedział: „Już nigdy nie będziesz miał dwudziestu paru lat. Już nie wypada robić tego, co robiłeś. Skończyła się młodość, a ty nie masz nic. Straciłeś wszystko. Nie masz dziecka, nie masz kobiety, nie masz

mieszkania, nie masz pracy”. Rzeczywiście nie miałem nic wartościowego. Przed chwilą byłem na szczycie, w czołówce najbardziej znanych ludzi w Polsce, a nagle wylądowałem na dnie. To mną wstrząsnęło. Usiadłem na ośnieżonej ławce nad strumykiem i zacząłem płakać. Dotarło do mnie, co zrobiłem ze swoim życiem. Przepierdoliłem każdą szansę. Przypomniał mi się dziadek, pomyślałem: „Kurwa, nawet jego zawiodłem. On umarł, a ja dałem dupy na całej linii”. Powlokłem się na spacer i wtedy zadzwonił Adam: „Gdzie jesteś?” – pyta. „Chodzę nad strumykiem”. „Przyjeżdżaj na Polanę Szymoszkową, tam się spotkamy. Przyjechałem z całą ekipą”. Jeden z jego kuzynów był mistrzem w baloniarstwie. „Przywieźliśmy balon. Będziemy latać w twoje urodziny”. Jak startowaliśmy z Polany Szymoszkowej, ludzie zatrzymywali się na stoku i zadzierali głowy do góry, robiło to na nich ogromne wrażenie, bo nikt wcześniej nie widział balonu w zimie. Kiedy zapytałem kuzyna Adama, czy kiedyś już latał o tej porze roku, śmiał się, że robi to pierwszy raz. Chciał nawet wylądować na Krupówkach, ale wiatr w górach jest tak zmienny, że okazało się to niemożliwe. Zjedliśmy razem obiad na Krupówkach i umówiliśmy się wieczorem na imprezę u Iwana, który miał w Zakopanem znaną dyskotekę Genesis.

Pamiętam, że drzwi otworzył mi ochroniarz, zdziwiłem się, bo w środku było ciemno i głucho. I nagle zapaliły się światła, a na wszystkich telebimach pojawiły się moje zdjęcia. Rafał Brzozowski, przyjaciel Iwana, specjalnie przyjechał z ferii w Szwajcarii, żeby zaśpiewać mi *Happy Birthday*. A z nim śpiewała cała sala. Na środek wjechał ogromny tort z logo Eda Hardy’ego – obaj pamiętali, że kocham tę markę, ubrania z kolorowymi trupimi czaszkami. Byłem ich prawdziwym fanem. Miałem całą kolekcję czapek i bluz. Moje zdjęcia były na ekranach, telebimach i telewizorach w całej dyskotecie. Czuję się jak gwiazda wieczoru. Zrobili mi imprezę jak z filmu. Jak z marzeń, jak z bajek. Zrekompensowała mi dwadzieścia dziewięć lat, podczas których nie świętowałem urodzin.

Niedawno widziałem zdjęcia z tej imprezy. Wyglądam na nich jak chodzący trup: ziemista cera, skrajnie wychudzony. Straszny widok. Z jednej strony był to jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu, z drugiej – ja wtedy umierałem na

oczach tych ludzi. Iwan zaprzyjaźnił się z moją mamą, często rozmawiali o tym, jak mi pomóc. Tyle że nikt nie był w stanie mi pomóc. Jediną taką osobą byłem ja. Ale nie byłem gotowy.

Po trzydziestych urodzinach było już tylko gorzej.

Właśnie wtedy wróciłeś do Łodzi?

Tak, na tarczy, jak przegrany wojownik. W wieku trzydziestu lat wróciłem do mamusi. Mama mnie przygarnęła, a potem przez długi czas mieszkałem u babci, która się mną opiekowała. Poznałem dziewczynę, której matka była księgową łódzkiej „ośmiornicy”. Studiowała prawo, była śliczna, ale kompletnie zwariowana. Powiększyła sobie biust, więc mówiłem na nią Bimbała. Zresztą sama się tak przedstawiała. Razem z Bimbałą imprezowaliśmy z łódzkimi gangsterami. Niezmiernie mnie lubili. Może dlatego, że nic mnie z nimi nie wiązało. Byłem dla nich atrakcyjną maskotką. Można się było mną pochwalić, napić, pohulać, nie musieli przy mnie udawać. Na mojej drodze pojawił się Andrzej, jeden z najbardziej wpływowych ludzi w środowisku. Miał do mnie słabość. On jeden powiedział: „Michał, co ty odwalasz! Weź się w garść”. Szedłem tak grubo, że przerażało to nawet jego, mimo że nie takie rzeczy widział w swoim życiu. Widział, że w moim wypadku to już nie jest zabawa, tylko skrajne uzależnienie. Obiecałem mu, że przystopuję. Umówiliśmy się, że jeśli złamię obietnicę, pojedę do ośrodka odwykowego. Andrzej miał kumpla, który taki ośrodek prowadził.

Wszyscy wiemy, ile warte są obietnice osoby uzależnionej.

Takich deklaracji w ogóle nie powinno się nazywać obietnicami. Kilka dni po tej rozmowie poszedłem na jakąś dyskotekę, nawaliłem się jak meserszmit i zrobiłem piekło, wrzeszcząc, że jestem szefem mafii, strasząc, ubliżając i wygrażając. Wszyscy wiedzieli, że Andrzej za mną stoi. Bali się mnie uciszyć, choć wystarczyłoby jedno lekkie pacnięcie. Oni byli osiłkami, a ja chuchrem. Zadzwonili do Andrzeja i opowiedzieli mu, co wyprawiam. Na drugi dzień dzwoni

w południe: „No i jak tam?”. Ja, że super. „Tak, super? – mówi. – Takim głównym wczoraj bryzgałeś, że do dzisiaj nie mogę się z niego obmyć. Z całego miasta do mnie dzwoniли, żeś wyzywał wszystkich od cweli i groził, że będą wywiezieni do lasu i dmuchani w dupę. Wiesz, co to znaczy?”. Ja, że nie wiem. „Pakuj się. Za godzinę jestem pod twoim domem, jedziemy do ośrodka”.

Tak znalazłem się w ośrodku w Sokolnikach, który prowadził Czarek. Okazało się, że z dawnych czasów zna mojego ojca. Po dwóch dniach namierzyli mnie dziennikarze z „Faktu”, koczowali w krzakach, żeby tylko zrobić mi zdjęcie, ale w końcu Czarek ich pogonił. To był straszny czas. Po raz kolejny dotarło do mnie, co się dzieje. I tym trudniejsze było to do udźwignięcia. Naprawdę myślałem, że już nigdy się nie podniosę. Przetrwałem tam miesiąc, taka była umowa z Andrzejem. Po miesiącu Czarek złożył mi propozycję: „Słuchaj, Michał, masz niesamowite doświadczenie i dar rozmawiania z ludźmi. Proszę cię, zostań. Chciałbym, żebyś był terapeutą w moim ośrodku. Chciałbym mieć tu kogoś takiego jak ty do pomocy tym ludziom”. Po części miał rację – wiedziałem o tej chorobie wszystko i potrafiłem każdemu pomóc. Umiałem zdiagnozować ich stan, wytłumaczyć, co i dlaczego robią, jak się z tym czują i jak mogliby z tego wyjść. Ufali mi. Czarek to widział, ale nie rozumiał najważniejszej rzeczy. W tamtym momencie sam sobie nie potrafiłem pomóc. To było najgorsze. Nie chciałem być terapeutą ani dla siebie, ani dla innych.

Spakowałem się i pojechałem na wakacje nad morze. Nie miałem grosza przy duszy, ale Adam mnie zapraszał. Jednak na dworcu w Sopocie czekał na mnie mój nowy kumpel. Przyjechał z obstawą najnowszym mercedesem. Wynajął mi pokój w Sheratonie, dał kasę, towar i zabrał wieczorem na imprezę. Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale czuliśmy się dobrze w swoim towarzystwie. Nie zastanawiałem się, co on rzeczywiście robi. Narkotykowa ściana odgradzała mnie od rzeczywistości.

Twój życiorys jest gotowym scenariuszem na film... Zastanawiam się, co musiałoby się wydarzyć w twoim życiu, żebyś doznał prawdziwego wstrząsu.

Doświadczeni terapeuci mówią, że aby się podnieść, człowiek najpierw musi się znaleźć na dnie. Dnie dna. Zawitałeś tam?

Owszem, zawitałem. Dzisiaj jestem wdzięczny za tę lekcję, bo każde takie doświadczenie działało na moją korzyść. Tak jak powiedziałaś, w uzależnieniu ludzie muszą cię opuścić, musisz stracić wszystko. Powrót do Łodzi to był czas kompletnej degrengolady. Zadawałem się – nie chcę nikogo obrazić, bo każdy zasługuje na szacunek – z coraz gorszym elementem: kibolami, złodziejami, drobnymi przestępcami, ćpunami, którzy sprzedaliby własną matkę za towar. Na jakiejś imprezie podszedł do mnie koleś, prawdopodobnie z jakiegoś gangu, i tak po prostu zapytał: „Michał, co ty tutaj z nami robisz? My nie mamy szansy, perspektyw na zmianę życia. Musimy to robić, żeby godnie żyć”. Oczywiście nie jest to do końca prawda, bo każdy ma wybór.

Słowa usłyszane od przypadkowego chłopaka poruszyły we mnie jakąś strunę. Zrozumiałem, że muszę wyjechać z Łodzi. Jeśli stąd nie ucieknę, nie zwalczę o siebie, to tutaj umrę. Miałem już chyba trzydzieści trzy lata. Postanowiłem wrócić do Warszawy i spróbować naprawić swoje życie. Pomieszkowałem to tu, to tam, między innymi u Dominiki, która w międzyczasie została słynną wodzianką Wojewódzkiego. U wspólnych znajomych poznałem bardzo fajną dziewczynę, która miała małą córkę. Zaczęliśmy się spotykać. Zakochałem się. Pomyślałem, że razem możemy stworzyć fajną rodzinę. Ona też pochodziła z rozbitego domu. Kiedy zaszła w ciążę, okazało się, że jej chłopak jest hazardzistą, przegrał wszystkie pieniądze, nie tylko swoje, ale także jej. Oszukał ją, nie był w stanie tego udźwignąć, w końcu została sama z dzieckiem. Była pokaleczona emocjonalnie, podobnie jak ja. Przy niej zapragnąłem zmienić życie. Któregoś dnia powiedziałem: „Kurde, rzućmy w pizdu te narkotyki i po prostu zamieszkajmy razem”. Zgodziła się.

Przez tych kilka lat moja sprawa ucichła, wszyscy o mnie zapomnieli. Postanowiłem pójść do Niny Terentiew. Wiedziałem, że ona zawsze – i to jest w niej niesamowite – wyciąga rękę do człowieka w potrzebie. Zna życie i wie, że zawodem artystycznym zajmują się ludzie wyjątkowi: połamani, nadwrażliwi,

nieprzystosowani i ułomni życiowo. Potrafiła im wybaczyć i dać drugą szansę. No więc poszedłem do Niny, a byłem w dobrej formie psychicznej, bo zakochany w miłej dziewczynie, i w dobrym stanie fizycznym, bo jak odstawiłem kokainę, to przytyłem. Na dzień dobry powiedziałem: „Słuchaj, Nina, potrzebuję pracy. Pozbierałem się wreszcie. Kilka lat mi to zajęło, ale doprowadziłem się do porządku”. Kiedy popatrzyła na mnie, zadowolona, że naprawdę dobrze wyglądam, pomyślałem, że da mi szansę. Zapytała, co chciałbym robić, czy mam na siebie jakiś pomysł. Odpowiedziałem zgodnie z tym, co czułem: że na razie nie mam siły, żeby wrócić do telewizji. Wolałbym grać. To jest moja pasja. Chciałbym na to postawić. Pamiętała, że kocham filmy, bo twardo walczyłem o moją „Filmową szafę”. Pomyślała chwilę i powiedziała tak: „Dobra, nie ma problemu. Spróbujemy z serialem”. Zadzwoiła do scenarzystów *Pierwszej miłości* z prośbą, żeby napisali dla mnie fajny wątek. Teraz wszyscy będą mi to wypominać, ale trudno. Nina Terentiew dała mi szansę i uratowała życie. Nie mogę tego przemilczeć. W najtrudniejszych chwilach praca była i jest wartością, której zawsze mogłem się złapać. To ona odwracała uwagę od problemów, nadawała sens i cel mojemu życiu.



Szczerść jest twoją siłą, nawet jeśli przemawia na twoją niekorzyść.

Też tak uważam. Wszystko zaczęło fajnie się układać. Nina zaproponowała mi poprowadzenie finału konkursu Miss Polski razem z Krzyśkiem Ibiszem. W moim wykonaniu to była totalna kłapa. Kiedyś na scenie czułem się jak ryba w wodzie, po sześciu latach przerwy stres zjadał mnie żywcem. Psychicznie i emocjonalnie nie byłem gotowy na takie wyzwanie. Wcześniej zrobiłbym to z zamkniętymi oczami, teraz wychodziłem na scenę i czułem taki dygot, że nie byłem w stanie wydukać słowa. Nina sobie odpuściła.

Umówiliśmy się z moją dziewczyną, że rzucamy narkotyki. Ona się trzymała. Ja nie. Potrzebowałem gruntownej pracy nad sobą, żeby cokolwiek zmienić. Ale ciągle to wypierałem. Regularnie jeździłem do Wrocławia na plan *Pierwszej miłości*. Zacząłem na tych wyjazdach ćpać. Tłumaczyłem sobie, że nie palę w domu, nie zażywam narkotyków przy dziewczynie i dziecku, więc nie robię nic złego. Raz, drugi, trzeci znalazła u mnie marihuanę, kokainę, jakąś lufkę do palenia. Była zła: „Michał, oszukujesz mnie”. Bredziłem, że kontroluję sytuację i nic złego się nie dzieje. Jak wiesz, kompletne bzdury. Szybko zacząłem zawałać w tym związku. Zrobiłem się zimny emocjonalnie, bo znowu najważniejsze były narkotyki. Liczyłem dni, kiedy będę mógł wyjechać i w spokoju ładować. Ona to czuła. Po raz kolejny dostałem się do niewoli.

W pracy też zawałałem. Poszedłem na całonocną imprezę i spóźniłem się na zdjęcia. Czułem, jak powoli zaciska mi się pętla na szyi. Zaraz coś się stanie, spierdoli i już nigdy nie dostanę kolejnej szansy. Moja dziewczyna postawiła mi ultimatum: „Jeśli nie przestaniesz, to ja odejdę”. Z jednej strony to mną wstrząsnęło, z drugiej – Szatan, który siedział w moim chorym umyśle, zacierał rączki: „Niech ona już odejdzie, będziemy mogli w spokoju ćpać. Nikt nam nie będzie siedział na głowie”. Pewnego dnia wróciłem do domu i zobaczyłem, że mojej dziewczyny i dziecka już nie ma. Wyprowadziła się. Na początku poczułem lęk: „Jezus Maria, co ja teraz zrobię?!”. A po chwili ulgę: „Ja pierdolę, w końcu mogę ładować w domu”. Miałem przy sobie butelkę wina, a w piwnicy schowany

towar. Przyniosłem go na górę, otworzyłem wino, nalałem sobie do kieliszka, na stół wysypałem kokę i jak wciągnąłem pierwszą kreskę, przed oczami ujrzałem swój upadek, który za chwilę nastąpi. Już byłem blisko, stałem na krawędzi i przechylałem się w stronę przepaści.

Gdyby Nina Terentiew dowiedziała się, że znowu dałem dupy, nie dałaby mi żadnej nowej szansy – wiedziałem to. Byłem sam, siedziałem przy stole i mówiłem do siebie: „Jezus Maria, jak ja teraz zacznę walić tu kokę i pić, to już się nie zatrzymam”. Przypomniałem sobie historię z ojcem, kiedy przed maturą przyjechałem do Warszawy, wszedłem po balkonach i siedziałem z nim przez kilka dni. Tak jak ci opowiadałem, po latach na pytanie, dlaczego akurat wtedy przestał pić, odpowiedział mi, że przeleciał mu przed oczami film z życia, a na końcu śniło mu się, że zapił się na śmierć i zrobił mi tym największą krzywdę, bo dotarło do niego, że już nigdy w nic nie uwierzę.

Mnie też przed oczami przeleciał taki film, przeświadczenie, że jak się dzisiaj nie zatrzymam, to już nigdy w życiu nie powtórzy się taka szansa. Umrę tu samotnie. Zaćpam się, zapiję, zachleję na śmierć. To będzie mój koniec. Posmakowałem życia rodzinnego i zrozumiałem, jakie jest piękne. A równocześnie nie byłem zdolny, żeby coś takiego stworzyć, bo ciągle sam siebie oszukiwałem, żyłem w szponach obłędu, narkotycznej obsesji. Dotarło do mnie, że przez ostatnie tygodnie myślałem wyłącznie o tym, żeby wyjść z domu i się naćpać. Nie mogłem się z tego wyzwolić. To było straszne uczucie.

Nie wiem, co się stało, ale w pewnym momencie padłem na kolana. Zawsze jak trwoga, to do Boga. Ileż razy wcześniej robiłem to samo. Kiedy gangsterzy mi grozili, na kolanach błagałem: „Panie Boże, proszę Cię, niech oni mnie nie zabiją gdzieś tam za rogiem. Już nigdy więcej nie będę robił takich rzeczy, tylko Cię proszę, pomóż mi”. Nawaliłem w pracy, też się modliłem: „Proszę Cię, żeby to nie wyszło na jaw. Już nigdy czegoś takiego nie zrobię”. Kiedy było mi wstyd, że tyle razy okłamałem Pana Boga, przerzucałem się na Matkę Boską: „Matko Boska, tym razem już naprawdę się opamiętam, tylko niech się nie dowiedzą, że znowu się naćpałem”. Jak było mi głupio, że tyle razy oszukałem Matkę Boską, zwracałem

się do Jezusa. W końcu wszystkich okłamałem setki razy. Ojciec mi kiedyś powiedział, że impulsem do napisania scenariusza *Wszyscy jesteśmy Chrystusami* była dla niego słynna opowieść o tym, jak pewien człowiek we śnie szedł brzegiem morza z Panem Bogiem, oglądając na ekranie nieba swoją przeszłość. Po każdym z minionych dni zostawały na piasku dwa ślady – jego i Boga. Czasem jednak, w najcięższych dniach swojego życia, widział tylko jeden odcisnięty ślad. Zapytał: „Panie Boże, przyrzekłeś być zawsze ze mną. Czemu zatem zostawiłeś mnie samego wtedy, gdy było mi tak ciężko?”. A Bóg odrzekł: „Wiesz, synu, że cię kocham i nigdy cię nie opuściłem. W te dni, gdy widziałeś tylko jeden ślad, niosłem cię na moich ramionach”.

Dotarło do mnie, że Bóg rzeczywiście był przy mnie całe życie. Wiele razy mnie ratował. Przeleciały mi przed oczami wszystkie najtrudniejsze momenty, kiedy gangsterzy mnie gonili i tak dalej. Nie wdałem się w kryminalne afery, nie poszedłem do więzienia, nie zaćpałem na śmierć. Pamiętam, jak po śmierci dziadka szedłem załamany przez park Poniatowskiego. Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, stoi kościół, a na nim jest obraz Matki Boskiej. Miałem wtedy telefon marki Ericsson, na którym można było nagrać dźwięk, i ja sobie nagrałem głos mamy. Kiedy dzwoniła, rozlegało się: „Kocham cię, kocham cię, kocham cię”. Był środek nocy, przeszedłem na drugą stronę, uklęknąłem przed tym kościołem, patrząc na obraz Matki Boskiej, cały w rozpacz, że dziadka już nie ma, a ja wciąż w szponach nałogu, i nagle słyszę: „Kocham cię, kocham cię, kocham cię”. Mama nigdy do mnie w nocy nie dzwoniła.

Przypomniałem sobie to wszystko i – nie wiem, jak to nazwać – poczułem obecność Bożą. Wiedziałem, że On jest ze mną nawet w najtrudniejszych chwilach. Zacząłem się modlić na kolanach: „Panie Boże, proszę Cię z całego serca, zabierz mi tę obsesję, bo ja nie mogę pozbyć się tego głosu, który podjudza i kusi: weź, weź, weź. I nie odstępuję mi na krok. Zabierz tylko ten głos, a ja obiecuję, przysięgam, że już nigdy w życiu niczego nie zażyję, nie napiję się i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby Cię nie zawieść”. Wstałem z kolan, spojrzałem na to wino, na te kreski kokainy... Każdy uzależniony w takiej chwili wzięłyby do

ręki „ostatnią” butelkę i powiedział: „Dobra, to teraz jeszcze tylko to wypiję, wciągnę ostatnią kreskę i koniec”. A ja pierwszy raz w życiu zgarnąłem te narkotyki i wrzuciłem do kibla, wylałem resztkę wina i spuściłem wodę. Butelki wyrzuciłem do kosza i poszedłem spać. Możesz wierzyć lub nie, ale po dwudziestu jeden latach picia i brania, obsesji, terapii, ośrodków zamkniętych i otwartych, odtruc obudziłem się wolny, lekki i radosny. Bez tego głosu, który cały czas dudnił w mojej głowie: „Weź, weź, weź, napij się”. Modliłem się, żeby ten stan nie zniknął. Z jednej strony poczułem ogromną radość, a z drugiej – lęk. Nie byłem przyzwyczajony do tego stanu. Usiadłem na łóżku i czekałem, kiedy nadejdzie znany mi moment trzęsących się rąk i tego okropnego strachu przed życiem, przed każdą chwilą. Siedziałem tak godzinę, a ten stan nie nadchodził. Pomyślałem, że naprawdę jestem wolny. A potem, że teraz o tę wolność muszę zawalczyć i czeka mnie dużo ciężkiej pracy.

Był czwarty grudnia 2014 roku, piękny zimowy dzień. Świeciło słońce. Zacząłem drugie życie.

ROZDZIAŁ 9

WIELKA ŁASKA, TRZEŻWIENIE, DEMONY PRZESZŁOŚCI I POZDROWIENIA OD BILLY'EGO W.

Profesor Osiatyński powtarzał: „Alkoholik, kiedy zaczyna trzeźwieć, tak naprawdę nie wie, kim jest”. Narkoman również.

Byłem zmęczony tym, że jestem zmęczony. Byłem chory z tego powodu, że jestem chory.

Zastanawiam się, co wtedy myślałeś, czego się bałeś. Wierzyłeś, że tym razem ci się uda?

Kiedy wspominam te wszystkie historie, czasami wstrząsające, wracają do mnie różne lęki, jakby były organicznie zapisane w moim DNA. Wypuszczone z butelki demony przeszłości wciąż straszą. Przypominają mi, jak ciężką chorobą jest uzależnienie. I jak łatwo o tym zapomnieć. A jednocześnie, snując te opowieści z mojego życia, parę razy złapałem się na myśleniu, że one nie dotyczą mnie. Nie ja to przeżyłem. Przecież od ośmiu lat jestem zupełnie innym człowiekiem, o czym dowiedziałem się, idąc nową, trzeźwą drogą. Odkąd na kolanach poprosiłem Boga o uwolnienie od tej obsesji i tę łaskę otrzymałem, zaczęła się ciężka praca. Ciężka praca trzydziestopięcioletniego faceta z emocjonalnością czternastolatka, który nie ma dostępu do swoich uczuć, nie umie ich rozpoznawać, nazywać, przeżywać. Wchodząc w wiek dojrzewania, odkryłem narkotyki, które zrobiły ze mnie

emocjonalnego analfabetę. Odcięły mnie od przeżywania czegokolwiek. Wszystkiego uczyłem się więc teraz na nowo, jak dziecko.

Musiałem przyjąć do wiadomości, zrozumieć i zaakceptować fakt, że sam sobie nie dam rady. Nie ma takiej możliwości. Przez dwadzieścia jeden lat widziałem setki pięknych, wspaniałych młodych ludzi, którzy myśleli, że poradzą sobie sami, bagatelizowali tę chorobę i dzisiaj nie żyją. Pytasz, czego się bałem. Jednej rzeczy – żeby nie stracić tej łaski. Dlatego od razu zacząłem chodzić na mityngi dla anonimowych alkoholików. Kiedy po latach nałogu odstawiasz używki, amplituda emocji jest ogromna, a spadki nastroju są tak gwałtowne, że stają się niebezpieczne. W chwilach skrajnego zwątpienia chodziłem na mityngi dwa razy dziennie.

Jednym z przełomowych momentów – z czego wówczas nie zdawałem sobie sprawy, tylko podświadomie to zarejestrowałem – był dzień, w którym ojciec poznał Małgosię Bogdańską, swoją późniejszą żonę. To było jeszcze przed opisywanymi wydarzeniami. Na moich oczach facet, który był aspołeczny, nie do życia, oderwany od rzeczywistości, bo cały czas żył w swojej sztuce, zmieniał się w odpowiedzialnego partnera. Zacząłem go obserwować przy różnych okazjach – mieliśmy taki zwyczaj, że w weekendy chodziliśmy razem na obiady; zresztą do dziś chodzimy – i ze zdumieniem odkrywałem, że on nie tylko wyrabia się w tym związku, ale jeszcze jest cierpliwy, wyrozumiały, opiekuńczy. Tak mnie to uderzyło, że pomyślałem: „To jest niemożliwe, że ten facet, którego znam całe życie, tak się zmienił”. Do tej pory byłem jedyną osobą, z którą był w stanie wyjechać na wakacje, bo nawet jeśli go denerwowałem, umiał się powstrzymać przed atakiem furii. Poza mną nie trawił nikogo dłużej niż przez pół dnia. Potem był zmęczony, wkurwiony, nabuzowany i zły. Pierwszy raz pomyślałem, że w trzeźwieniu jest coś fajnego.

Wesele ojca z Małgosią to była pierwsza impreza bez alkoholu, na jakiej byłem. Był czerwiec 2010 roku. Bawiliśmy się w centrum Warszawy, niedaleko ulicy Foksal, w fajnej ukraińskiej knajpce. Ja byłem świadkiem ojca, a Dominik, syn Małgosi – panny młodej. Ja ćpun i lekkoduch, on chłopak świetnie ułożony,

wyedukowany, robiący karierę w finansach. On megamózg, ja tykająca bomba. Nigdy nie było wiadomo, czy przyjdę na czas, czy się spóźnię, a może w ogóle zapomnę, mój ojciec ciągle się o to wściekał. Wszyscy byli w nerwach, czy dotrę z tymi obrączkami. Ten jeden raz przyjechałem przed czasem, a Dominik się spóźnił. Życie potrafi być przewrotne.

Patrzyłem na ojca z podziwem, że drugi raz bierze ślub. On kochał i ktoś go kochał tak bardzo, że chciał z nim żyć. Małgosia kiedyś w wywiadzie powiedziała: „Życie z Markiem jest dla mnie najcudowniejszym prezentem od losu”. Wtedy, żeby uczcić ich szczęście, poszedłem walnąć sobie kielicha. Teraz analizowałem to na trzeźwo.

Podstawowa zasada mityngów na całym świecie polega na tym, że nikt nie daje ci rad, nikt nie może ci przerwać ani ocenić twojej wypowiedzi. Wszyscy dzielą się tylko i aż własnym doświadczeniem. Oczywiście ojciec nieraz zapraszał mnie na mityngi, ja tam wpadałem, w przerwie w toalecie wciągałem towar – tak na marginesie, toalety to były najczęściej odwiedzane przeze mnie miejsca w życiu, bo tam zażywałem kokainę – a potem stamtąd wychodziłem, często prosto na jakąś imprezę. Uważałem, że takie spotkania to nie dla mnie. Kiedy zacząłem nowe życie, wiedziałem jedno – muszę chodzić na mityngi. Łaska, której doświadczyłem, jest darem od Boga, muszę ten dar pielęgnować. Muszę włożyć ogromną pracę, żeby nie zniknęła.

Zadzwońeś do ojca, do mamy, żeby opowiedzieć im o tej łasce?

Nikomu nie powiedziałem, co się wydarzyło. Po pierwsze, byłem w szoku, że to się stało. Po drugie, osiągnąłem już końcowe stadium uzależnienia. Przez lata brałem życie garściami, kochałem festiwale, imprezy, tłumy, to mnie nakręcało. W pewnym momencie przyszedł czas samotności. Tylko ja i narkotyki. Narkotyki były moim bogiem. Aż prawdziwy Bóg przyszedł do mnie i zajął miejsce diabła, który latami szeptał mi w głowie: weź, weź, weź. Na drugi dzień wiedziałem, co mam robić: muszę działać, muszę zająć się sobą. Przez trzy tygodnie nie powiedziałem nikomu. Dziesiątki razy obiecywałem mamie, ojcu i wszystkim

dookoła, że tym razem na pewno rzucam. I za każdym razem była to jedna wielka ściema. Ściemniałem przede wszystkim sobie, bo chciałem w to wierzyć. I budziłem się z poczuciem pogardy dla siebie. Pierwszy raz byłem nastawiony na działanie, a nie na gadanie.

Bóg w najtrudniejszych momentach niósł mnie na swoich plecach, tylko ja o tym nie wiedziałem. Wyciągał do mnie rękę, ale ja nie zawsze chciałem Jego rękę złapać. Teraz byłem wyczulony na każdy znak, każdy sygnał od Niego. Wiedziałem, że On mi pomógł i że się mną opiekuje. Na mityngach, na które chodziłem, zachęcano mnie, żeby zrobić pięćdziesiąt mityngów w pięćdziesiąt dni. Przez trzy miesiące chodzić *non stop*, dzień w dzień. Zawsze myślałem: „To nie dla mnie. Patusy mogą biegać na mityngi, ale nie ja”. Tym razem od tego zacząłem. Codziennie sprawdzałem, gdzie są mityngi, i codziennie chodziłem na inny. Słuchałem ludzi, czerpałem nadzieję z ich opowieści i byłem czujny. Rzeczywiście nikomu o tym nie opowiadałem. Akurat miałem przerwę w serialu *Pierwsza miłość*, więc z nikim się nie spotykałem. Czułem, że tak właśnie miało być. Od czasu do czasu widywałem ojca. Rodzice, szczególnie mama po tylu latach moich leczeń już się nie ekscytowała, nie napalała na moje kolejne „uzdrowienie”. Dziesiątki razy się napaliła i tyle samo razy rozczarowała, sparzyła i zawiodła. Porażki zostały wliczone w moje życie, stały się jego częścią. Zresztą jeden z symptomów uzależnienia to częste i dobrowolne leczenie się. I ja właśnie często i dobrowolnie lubiłem się leczyć, żeby się podreperować, naprostować. Wyłącznie w jednym celu: żeby potem lepiej się zażywało. Chodziłem więc na mityngi, nikt o tym nie wiedział, nie miałem bliskich znajomych, przyjaciół, bo już wcześniej od wszystkich się odciąłem. Nasze drogi z Iwanem jakoś się rozeszły, z Adamem miałem co jakiś czas kontakt, ale on mieszkał na Wybrzeżu, więc to był kontakt telefoniczny.

Byłem sam, planowałem każdy dzień – tego nauczyłem się w ośrodku, że nie może być niespodzianek, bo one wywołują niepokój. Musi być stały rytm, stałe punkty, przewidywalność. Każdy dzień musi mieć jasny cel. Kupiłem pierwszy w życiu kalendarz, wszystko zapisywałem, a potem przechodziłem od punktu do

punktu, żeby po drodze nie zabłądzić ani nie myśleć o przeszłości. Żyłem najbliższymi dwudziestoma czterema godzinami.

Trudno było mi odciąć się od przeszłości, bez przerwy myślałem: „Co ja w życiu narobiłem, dlaczego tak późno się opamiętałem?”, karmiłem się poczuciem winy, ale na poczuciu winy nikt jeszcze niczego nie zbudował. Przeszłość trzymała mnie na smyczy. W głowie „reżyserowałem” filmy katastroficzne o przyszłości. Mój mózg pracował na pełnych obrotach, żywiąc się lękiem. Ratowało mnie tylko tu i teraz, życie dwudziestoma czterema godzinami. Wśród uzależnionych mówi się, że każdy jest w stanie udźwignąć tylko jeden dzień. Powiedzenie, że coś jest „na zawsze”, brzmi jak wyrok. A równocześnie miałem pewność, że Bóg mnie już nie opuści, jeśli ja nie puszczę Jego ręki. Pierwszy raz w życiu wiedziałem, że to jest ten czas.

Spotykamy się od wielu miesięcy. Już nieraz słyszałam, jak mówiłeś, że coś zrozumiałeś czy poczułeś pierwszy raz w życiu. Ale nigdy nie użyłeś tego wyrażenia tak wiele razy, próbując opisać swoje uczucia, myśli, swój stan. Jakbyś naprawdę doznał jakiegoś – nazwijmy to umownie – olśnienia. Przed tobą sylwester. Wielkie wyzwanie. Jak bawić się całą noc bez narkotyków i alkoholu? Pierwszy raz w życiu!

Bałem się potwornie. Bałem się zostać sam w domu. Bałem się gdziekolwiek pójść, bo wszędzie ludzie piją alkohol, zażywają narkotyki. Nie każdy jest uzależniony. Na jednym z mityngów usłyszałem, że ci, którzy codziennie się modlą, nie wracają do uzależnienia. Tego się złapałem. Do dzisiaj to robię, chociaż czasami sobie odpuszczam: „Dobra, osiem lat jestem trzeźwy, pomodlę się potem”. Wtedy jednak modliłem się rano i wieczorem. Kiedy zapomniałem się pomodlić, to tak jak wcześniej latałem po kiblach walić kreski, teraz biegłem do toalety, żeby pomodlić się na kolanach, bo wstydziłem się robić to publicznie. Jak tylko się pomodliłem, czułem się zaopiekowany. Moim idolem był i jest do dzisiaj Denzel Washington, który jest aktorem wierzącym. Podobnie jak Mark Wahlberg, Antonio Banderas, Pierce Brosnan, Andy Garcia, Sylvester Stallone. Zdziwiłem się miło, kiedy

zobaczyłem, jak wielu ich jest! Na początku szukałem właśnie takich ludzi, by mieć poczucie, że nie jestem sam. Świetni aktorzy, nagradzani Oscarami, a jednocześnie ludzie, którzy w życiu błędzili, ale potrafili te błędy nazwać po imieniu i przeprosić się z Panem Bogiem. To mi pasowało. Pamiętam, jak Denzel Washington opowiadał studentom swojej macierzystej uczelni: „Wracam raz do domu i mówię mamie: dzisiaj zrobiliśmy taką i taką scenę. Świetnie zagrałem. A mama na to: ty co najwyżej możesz okna umyć, i to nie zawsze dokładnie. Cała reszta przyszła od Boga”. Rzeczywiście mam poczucie, że wszystko w jakiś sposób jest zależne od Boga. Stare przysłowie: „Chcesz rozśmieszyć Pana Boga? Opowiedz Mu o swoich planach”. Zawsze planowałem i po czasie zawsze było inaczej. Okazywało się, że Bóg miał dla mnie lepsze rozwiązania. Ale to „lepsze” czasami oznaczało cierpienie, żebym coś zauważył, zmienił, poprawił.

Przed sylwestrem pomodliłem się: „Panie Boże, co będzie? Jak ja to przeżyję sam?! Pomóż mi! Nie opuszczaj mnie”. Miałem wtedy malutkie, klimatyczne mieszkanie z kominkiem na ulicy Kazimierzowskiej, blisko stacji metra Wierzbno, w zielonej dzielnicy. Magiczne miejsce. Uwielbiałem tam przebywać, ale wiedziałem, że nawet tam nie przetrwam sylwestra w samotności. Poszedłem na któryś z mityngów, patrzę, a przy wejściu wisi kartka: „Sylwester w Zakroczymiu. Zapraszamy”. Po mityngu zagadnąłem jakiegoś faceta, co to za sylwester. Powiedział mi, że w klasztorze Braci Mniejszych Kapucynów, pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy, działa słynny już na świecie Ośrodek Apostolstwa Trzeźwości. Bracia od lat pomagają ludziom uzależnionym, stosując program dwunastu kroków. Co roku wraz z Klubem Poznańska 38 organizowali sylwestra dla trzeźwiejących alkoholików, hazardzistów, narkomanów, dorosłych dzieci alkoholików. Każdy mógł przyjść.

Może przypomnijmy, że program dwunastu kroków powstał w ramach wspólnoty Anonimowych Alkoholików, zrzeszającej uzależnionych od alkoholu, którzy podczas specjalnych spotkań wspierali siebie nawzajem w walce z nałogiem. Są to zalecenia i wskazówki dla trzeźwiejących

alkoholików, w jaki sposób – krok po kroku – pracować nad sobą, nad swoimi doświadczeniami, wspomnieniami i charakterem, aby w konsekwencji wygrać z uzależnieniem. Chodzi o konkretne działania, które należy podejmować, konsekwentnie trzymając się ustalonej kolejności.

Przytoczę trzy pierwsze. Krok pierwszy: „Przyznaliśmy, że jesteśmy bezsilni wobec alkoholu, że utraciliśmy kontrolę nad naszym życiem”. Krok drugi: „Uwierzyliśmy, że Siła większa od nas samych może przywrócić nam zdrowy rozsądek”. Krok trzeci: „Podjęliśmy decyzję, aby powierzyć naszą wolę i nasze życie opiece Boga, tak jak Go rozumieliśmy”. Nie jestem uzależniona, a... przemawia to do mnie.

Bo to jest niesamowity program odnowy duchowej, nie tylko dla ludzi uzależnionych. Każdy człowiek mógłby go przejść. Ojciec zawsze mi powtarzał: „Michał, wystarczy trzeźwieć, reszta sama się ułoży”, a ja się zastanawiałem, o czym on gada. Słyszałem dużo takich mądrych sloganów. Gdy występowałem w *Tańcu z gwiazdami*, jeden fotograf mi powiedział: „Bóg kocha ludzi, którzy walczą ze swoimi słabościami”. Kiedy zacząłem trzeźwieć, wszystko to mi się przypomniało. Poczułem, że wszechświat powoli się na mnie otwiera.

Oczywiście pomyślałem, że ten sylwester bez alkoholu w Zakroczymiu może być moim wybawieniem. Raz, pięć lat wcześniej, byłem na bezalkoholowym weselu ojca. Zauważyłem, że na początku każdej imprezy wszyscy czują się skrępowani. Na imprezach zakrapianych wystarczy ludziom polać alkohol, żeby rozwiązały im się języki. U Małgosi i Marka nie dało się pójść na łatwiznę, goście musieli sami przełamać lody i zacząć ze sobą rozmawiać. Zobaczyłem, że alkohol jest substytutem, drogą na skróty. Mamy w głowie zakodowane różne stereotypy, na przykład że w weekend trzeba się nawalić. Obojętnie czym, byleby człowiek się upodlił, bo wtedy wie, że się „zabawił”. Impreza ojca była fantastyczna, wszyscy tańczyli, gadali, żartowali. Co prawda, w pewnym momencie u pana szatniarza odkryłem beczułkę z rumem, zawołałem Marka Kondrata i po cichutku z tej beczułki popijaliśmy. Ale z umiarem, jeśli tak to można nazwać. Wtedy byłem w innym miejscu swojego życia.



Na kolejnym mityngu poznałem Aldonę, która tego sylwestra organizowała, i kupiłem u niej bilet. Nadszedł trzydziesty pierwszy grudnia. Przyjechałem wieczorem na ten wypizdów w Zakroczymiu, wszedłem do sali, a tam średnia wieku... Sześćdziesiąt lat. Dziadki, babcie, ale wszyscy na maksa pozytywnie uśmiechnięci. Ja, stary lew salonowy, król dżungli, demon dyskotek, gwiazda Wybrzeża i stolicy, wszędzie znany, wszędzie zapraszany, wszędzie uwielbiany, pomyślałem w tej swojej chorej głowie: „Ja pierdołę, gdzie ja skończyłem?! Jeśli tak ma wyglądać życie na trzeźwo, to dziękuję”. Byłem załamany. Po pierwsze, nie lubiłem tańczyć, po drugie, przytłaczało mnie, że oni wszyscy świetnie się bawili. Każdy podchodził, mówił: „No cześć, jak tam?”, a potem się przytulał, co też mnie denerwowało. Koszmar. Nagle usłyszałem telefon. Dzwonił Paweł, mój kolega z Łodzi, z czasów brania i picia, z którym nieraz szedłem w długą. Pytał o sylwestra, gdzie jestem i co robię. Miałem zakodowaną zasadę: nie wolno utrzymywać kontaktów z ludźmi z dawnych czasów, ponieważ stanowili zagrożenie, byli wyzwalaczami wspomnień. Wytłumaczyłem mu, że od trzech tygodni jestem czysty, a on na to, że nie pije od dwóch dni i czy mógłby do mnie

przyjechać na tego sylwestra. Bałem się. Zapaliło mi się czerwone światełko. Poszedłem do Aldony, która była trzeźwa kilka lat, i opisałem całą sytuację. Odpowiedziała: „Nie martw się, jesteśmy tu wszyscy razem, masz wsparcie. Jeśli twój kolega jest trzeźwy, niech przyjeżdża”. Paweł przyjechał przed dwunastą, prosto z Łodzi, rzeczywiście trzeźwy. Bawiliśmy się do rana. Zakonnicy w habitach tańczyli razem z nami. Zaliczyłem jedną z najlepszych imprez w swoim życiu i pierwszą na trzeźwo! Muszę przyznać, że było to niesamowite przeżycie. Miałem wykupiony nocleg, więc przespaliśmy się parę godzin. Na śniadaniu wszyscy byli w świetnych humorach. Nikt nie miał kaca. Żadnej awantury, żadnej burdy. Wszystko spowite aurą lekkości. Po śniadaniu z jednym z zakonników poszliśmy na długi spacer do Twierdzy Modlin. Magiczny pierwszy dzień roku. Nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Moje modlitwy znowu zostały wysłuchane.

Jak mi to tak emocjonalnie opowiadasz, też nie mogę uwierzyć, a przecież wiem, że ci się udało. To był oczywiście początek drogi...

Długiej drogi do trzeźwości. Pierwsze cegiełki pod fundament nowego życia zostały położone. Codziennie chodziłem na mityngi, ale przychodzili tam raczej starsi ludzie, trudno było znaleźć kogoś w moim wieku, żeby się zakumplować. Pewnego dnia pojawił się dwudziestokilkuletni chłopak, coś mnie tknęło, podszedłem do niego po spotkaniu, zagadałem, okazało się, że zaczął trzeźwieć mniej więcej w tym samym czasie co ja. Od razu się dogadaliśmy. Razem zapisaliśmy się na warsztaty z dwunastu kroków. Zajęcia odbywały się co tydzień przez trzy miesiące. Szliśmy z Wojtkiem łeb w łeb, o wszystkim sobie opowiadaliśmy. W trzeźwieniu trzeba sobie znaleźć bratnią duszę, bo nikt cię tak nie zrozumie jak druga osoba uzależniona.

Pamiętam, wróciłem na plan *Pierwszej miłości* i Joaśka Opozda była w szoku, że nie piję ani nie ćpam. Myślała, że zwariowałem. Pytała, czy chociaż uprawiam seks, którego też nie uprawiałem. Jedno z zaleceń terapii mówi, żeby w pierwszych latach trzeźwienia nie wchodzić w żadne związki. Ma to swoje uzasadnienie. Rzeczywiście na początku każdego związku człowiek czuje się jak na haju, emocje

są bardzo podobne jak przy wszystkich uzależnieniach: góra, dół, góra, dół, a ta huśtawka jest bardzo szkodliwa. Zresztą wielu trzeźwiejących popada w seksoholizm i uzależnienie od chorej miłości. Dlatego seksu nie uprawiałem i trzymałem się z dala od kobiet. Tym razem to było dla mnie bardzo ważne, żeby przestrzegać wszystkich zaleceń. Nie wystawiać się na niebezpieczeństwo.

Banan, czyli Mateusz Banasiuk, zareagował podobnie. Nie dziwię się, oboje znali mnie jako szalonego imprezowicza. Banan kochał sport, często zabierał mnie do Karpacza. On jeździł na nartach, ja siedziałem w barze na stoku, czekając, aż skończy. Kiedy wracał ze stoku, byłem nawalony jak stodoła.

Moje nowe życie ich intrygowało. W przerwach między zdjęciami wszystko im opowiadałem, ale nie byli w stanie tego ogarnąć. Myśleli, że mityngi to zebrania jakiejś sekty, co – w ich oczach – bardzo by do mnie pasowało. Banan pytał, czy może przyjść zobaczyć, co tam się dzieje. Obiecałem, że zaproszę go na pierwszą rocznicę trzeźwienia. To jest wielkie święto i grupa zgadza się na obecność gości z zewnątrz. Przez pierwszy rok wielu ludzi obstawiało, kiedy się wywalę. Gdzie tu jest haczyk? Jaka ściema się za tym kryje? Co ja znowu kombinuję i co zaraz odpierdolę, bo za każdym razem tak było. Wracaliśmy pociągiem do Warszawy, a Joaśka mnie wypytywała: „Ale naprawdę codziennie się modlisz? Rano i wieczorem? I nic nie wciągasz?”. Niedawno spotkaliśmy się podczas realizacji filmu *Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle* i wspominaliśmy dawne czasy. Śmiała się: „Ja ci nie wierzyłam w ani jedno słowo. Byłam pewna, że nas nabierasz”. Nie przejmowałem się tym ani nie przekonywałem ich na siłę. Byłem zachłyśnięty swoją metamorfozą. I trzeźwieniem.

Kiedy powiedziałeś o tym ojcu?

Tato spotykał mnie na mityngach, więc widział, że chodzę. Widział, że trzeźwieję. Sam chodzi od dwudziestu trzech lat. Ludzie często mnie pytają, czy muszę chodzić na mityngi. Nie, nie muszę. Chodzę, bo chcę. To jest jedyne miejsce, gdzie mogę wypowiedzieć na głos swoje myśli i lęki. Kiedy dusisz je w sobie, urastają do demonicznych rozmiarów. Wyartykułowane tracą na sile. Poza tym tylko ludzie,

którzy mają podobne doświadczenia, potrafią cię zrozumieć. Ciągłe do tego wracam, ale to jest kluczowe w procesie trzeźwienia. Ludzie dzielą się swoimi historiami, a ty myślisz: „Kurde, on ma tak samo jak ja! Nie jestem wariatem!”. Okazuje się, że dziewięćdziesiąt procent ludzi przeżywa to samo co ty. Ojciec był w szoku, że zrobiłem dziewięćdziesiąt mityngów w trzy miesiące. Patrzył na mnie z podziwem. „Nawet ja tyle nie zrobiłem” – mówił. Widział, że pierwszy raz zachłysnąłem się terapią.

Minęło pół roku. Z Adamem utrzymywaliśmy sporadyczny kontakt. Czasami dzwonił i mówił: „Martwię się, że tak rzadko się odzywasz”, a ja odpowiadałem: „Wiesz, Adam, jestem teraz na terapii. Muszę najpierw poukładać swoje życie”. I on to rozumiał. Nie miał pretensji. Czuł, że w moim życiu dzieje się coś nowego. Nie wiedział, co konkretnie i dokąd mnie to zaprowadzi, bo przecież mnie znał, ale cierpliwie czekał, jak prawdziwy przyjaciel, aż się pozbieram. Miałem wobec Adama ogromne poczucie winy, z którym jeszcze nie do końca potrafiłem sobie poradzić. Razem z żoną tygodniami się mną zajmowali, leczyli, dokarmiali, a ja wracałem do Łodzi czy Warszawy i znowu szedłem w długą. Byłem krzyżem, który nosili przez lata.

Nadeszły pierwsze trzeźwe wakacje w moim życiu. Zadzwonił Adam: „Słuchaj, jest taka sprawa. Będziemy robić benefis Bobo Kaczmarka na starym stadionie Lechii Gdańsk. Będzie mnóstwo gwiazd sportu: Jerzy Dudek, Radek Michalski, Michał Żewłakow, Tiger Michalczewski, Tomasz Iwan i Adam Nawałka”. Nawałka był w tamtym czasie selekcyjnerem reprezentacji Polski, a Iwan jego dyrektorem sportowym. „Odbędzie się też licytacja na dom dziecka. Każdy z nich dał jakieś gadżety. Chciałbym, żebyś przyjechał i poprowadził tę imprezę”.

Mój mózg po sześciu miesiącach odtruwania był jak gąbka. Nie byłem w stanie zapamiętać paru zdań. Ojciec opowiadał to samo. Pierwszy rok był dla niego najtrudniejszy. Miał wrażenie, jakby totalnie otępiał i ogłupiał. Potem mu przeszło. Na trzeźwo zrobił swoje najlepsze filmy. Mówił, żebym się nie przejmował, tylko z tym zmierzyl. *Pierwszą miłość* okiełznałem, było mi łatwiej, bo ludzie mnie tam znali i wiedzieli o problemie, z którym się zmagalem. Dziwne, ale wystarczyło

wyjechać poza Warszawę, żeby zobaczyć różnicę w pracy ekipy. We Wrocławiu nie ma wśród ludzi takiego napięcia i ciśnienia. Nie było między nami żadnej rywalizacji, byliśmy jedną wielką rodziną. Do tej pory uwielbiam te wyjazdy. Czuję się tam bezpieczny i otoczony opieką. Plusem było to, że od początku wszystkim mówiłem, że trzeźwieję, choć bardzo się wstydziałem. Podzieliłem się tymi uczuciami na mityngu i ktoś mi powiedział: „A jak odpierdalałeś te swoje numery, chodziłeś naćpany, zawałałeś, co się dało, wszczynałeś bójki i rozróby, o których pisały media, to tego się nie wstydziałeś? Tylko wstydzisz się, że trzeźwiejesz i chcesz odzyskać normalne życie?”. Miał rację. To było wiadro zimnej wody. Rzeczywiście, całe życie żyłem w kłamstwie, więc nie chciałem.

Pamiętam, zrobiłem wtedy z tobą piękny wywiad, po którym zaczęli do mnie wydzwaniać inni dziennikarze, ludzie z różnych instytucji: „Panie Michale, niech pan przyjedzie i opowie o tym trzeźwieniu”. Ale ja miałem w głowie słowa Roberta Rutkowskiego, świetnego terapeuty, trzeźwego od ponad trzydziestu lat heroinisty: „Michał! O czym ty chcesz opowiadać po pół roku trzeźwienia?! Chłopie, ty jesteś pacjentem, a nie ekspertem! Za kilka lat, owszem, ale nie teraz. To nie ten moment”. Nawet dzisiaj, pisząc z tobą tę książkę, nie mam zamiaru nikogo pouczać, mądrzyć się czy moralizować. Często piszą do mnie różne mamy: „Niech pan pogada z moim synem”. A ja odpisuję: „To jest najgorsze, co mógłbym zrobić”. Poza tym uważam, że od tego są specjaliści. Często przypadłością uzależnionych, którzy dopiero co zaczęli trzeźwieć, jest to, że natychmiast chcą zbawiać cały świat. To jest bardzo niebezpieczne, szczególnie dla nich samych, bo łatwo odwrócić od siebie uwagę. Tłumaczę tym matkom, że gdyby ktoś chciał mi prawić morały, od razu powiedziałbym, żeby spierdalał, a nie mówił mi, jak mam żyć. To działa jak płachta na byka. Używam tylko bardziej cenzuralnych słów. Ja po prostu...

... ty po prostu dzielisz się swoim życiem. Zrobiliśmy dygresję, ale uważam, że jest bardzo ważna. Wracamy do naszego wątku. Dzwoni Adam...

Nie mogłem mu odmówić. „Oczywiście przyjadę” – powiedziałem. Bałem się jak cholera. Znałem całe to towarzystwo, przez lata z tymi ludźmi hulalem, z niejednego pieca chleb jadłem. Tyle że oni potrafili imprezować, a ja nie. Teraz miałem się z nimi spotkać na trzeźwo. Byłem w takim stresie, jakbym pierwszy raz widział ich na oczy, a musiałem z każdym zamienić parę zdań. Najpierw rozegrano mecz, potem pożegnaliśmy Bobo Kaczmarka i to jakoś przeżyłem. Na licytację całe towarzystwo przeniosło się do Dworu Oliwskiego w Gdańsku, pięknego hotelu położonego w parku, w którym swego czasu potrafiłem zaszyć się na tydzień albo dwa i balować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Było lato, namioty rozstawiono na zewnątrz, przyszły setki ludzi. Zagadywałem, do kogo się dało, rzucałem żarty, udawałem wyluzowanego, ale czułem, że coś jest nie tak. Byłem wylękniony, w napięciu. Podano drinki – do wyboru, do koloru. Ludzie zaczęli pić i ilość tego alkoholu mnie przytłoczyła. Jak w krzywym zwierciadle: wszędzie go widziałem, wszędzie był i mnie atakował. Nikt tam nic złego nie robił. Nie było żadnej patologii. Wpadłem jednak w dygot, a za chwilę miałem wejść na scenę i poprowadzić licytację. Mój pierwszy występ na trzeźwo. Poleciałem do kibla, żeby się pomodlić. Padłem na kolana: „Panie Boże, nie dam rady. Nie wytrzymam. Pomóż mi, proszę. Dodaj jakiejś otuchy, bo tak się boję tu wystąpić”. Wyszedłem z toalety i kiedy wracałem do namiotu, minął mnie jakiś obcy facet, położył mi rękę na ramieniu i powiedział: „Pozdrowienia od Billy’ego W.”. Billy W. to jeden z założycieli AA, to od niego i Boba S. wszystko się zaczęło. Ponad osiemdziesiąt lat temu zorganizowali pierwszy mityng. Dziś na całym świecie jest ponad dwa miliony anonimowych alkoholików, którzy właśnie w ten sposób dają sobie znak. Tylko tyle powiedział, uśmiechnął się i poszedł dalej. Już go potem nie widziałem. To było coś niesamowitego. Jakby Bóg zesłał anioła, który poklepał mnie uspokajająco: „Michał, wszystko będzie dobrze. Jestem tutaj z tobą”. Strach puścił, poczułem się bezpiecznie. Wiedziałem, że nie jestem sam, że On stoi przy mnie.

Zacząła się aukcja. Zauważyłem Dariusza Szpakowskiego, który brylował wśród piłkarzy, i wtedy wpadłem na genialny pomysł. Podeszedłem do niego i mówię: „Panie Darku, jak miło poznać człowieka legendę, byłbym zaszczycony,

gdyby poprowadził pan ze mną tę licytację. Właściwy człowiek na właściwym miejscu”. Widziałem, jak po tych słowach błysnęły mu oczy. Nie musiałem go dłużej namawiać. Z takim przytupem poprowadziliśmy we dwóch tę licytację, że rozochocony Michalczewski wykupywał wszystko po kolei, łącznie z nartami Kamila Stocha, których później nie mógł wepchnąć do swojej luksusowej fury. Impreza szła świetnie, w czasie przerwy ludzie podchodzili, klepali mnie po plecach, gratulowali... Każdy oczywiście w ręku miał kieliszek. Bałem się, że zaraz odpłynę na fali tego entuzjazmu. Opuściłem gości i wszedłem do hotelu, usiadłem przy pustym barze. Barman pyta, czego się napiję, a ja, że mrożonej herbaty. Nie wiem dlaczego, nagle mu powiedziałem: „Wie pan co, nie piję alkoholu już pół roku. Muszę tu odpocząć od tamtego towarzystwa”. „Żartuje pan? – on na to. – Ja nie piję trzy miesiące. Szef wysłał mnie do AA”. Palec boży. Zaczęliśmy rozmawiać, dzięki niemu przetrwałem całą imprezę. Jak tylko źle się poczułem, od razu biegłem do niego pogadać.

I odniosłeś kolejne małe zwycięstwo.

Zacząłem przełamywać stereotyp, że wszystkie sukcesy zawdzięczam narkotekom. Na nowo uczyłem się przeżywać wstyd i lęk, bo mój lęk był paniczny. W pierwszym odruchu zawsze chciałem uciekać, jedyne, co mnie ratowało, to Bóg i modlitwa w przypadkowych toaletach. Tą imprezą udowodniłem sobie, że potrafię zrobić coś wartościowego na trzeźwo. Kolejna cegiełka do budowania – chyba pierwszy raz w życiu – poczucia własnej wartości.

Przyszedł grudzień. Ostrzegano mnie przed pierwszą rocznicą trzeźwości. Uczulano, że bym uważał, bo to jest bardzo trudny czas. Jak pamiętasz, już raz taką rocznicę przeżyłem, tylko że wtedy spędziłem pół roku w ośrodku. Wiesz, jak się to skończyło... Tym razem zaliczyłem rok bez ośrodka. Naprawdę wykonałem ogromną pracę. Byłem coraz szczęśliwszy. Widziałem, że ludzie patrzą na mnie inaczej. Z szacunkiem.

Zbliżała się ta rocznica, bałem się, nie ukrywam. Listopad ciągnął się w nieskończoność. Odliczałem dzień za dniem coraz bardziej spanikowany, żeby

diabeł mi tego nie odebrał. Nagle nasiliły się głody, których wcześniej nie miałem, ale najgorsze były sny narkotyczne albo alkoholowe. Śniłem, że całą noc imprezuję w jakimś hotelu, ćpam i piję. Budziłem się zlany potem i przekonany, że to jest prawda. Rzucałem się na poszukiwanie dowodów zbrodni: resztek po kokainie i pustych butelek po alkoholu. Balansowałem na granicy koszmaru i jawy. Potrzebowałem paru minut, żeby oprzytomnieć. Czułem niewyobrażalną ulgę, kiedy docierało do mnie, że jestem trzeźwy! Często otwierałem rano oczy i nie wiedziałem, gdzie jestem. W jakim miejscu swojego życia? W którym momencie? Podróże w snach po narkotyczno-pijackiej czasoprzestrzeni były straszne. Wracając do rzeczywistości, czułem się tak, jakbym wynurzał się z otchłani.

Jakoś dotrwałem do czwartego grudnia. Zaprosiłem Adama, Banana i mojego tatę. Banan był w szoku. Myślę, że dla wielu niezależnych ludzi jest to trudne do zrozumienia, że na mityngi przychodzą nie tylko ludzie z ulicy, z dworca, ale także profesorowie uniwersytetów, lekarze, prawnicy, architekci, biznesmeni, artyści wszelkiej maści. Ta choroba dotyczy każdego, jak rak czy cukrzyca. Mógłbym ci wymienić wiele nazwisk ludzi z pierwszych stron gazet, ale są to anonimowi alkoholicy. Borys Szyca kiedyś powiedział, że pierwsze „a” nigdy do niego nie należało, bo nigdy nie był anonimowy. To prawda. Reszta jest jednak anonimowa. Wybitny prawnik profesor Wiktor Osiatyński pisał w swojej genialnej książce o wychodzeniu z nałogu *Rehab*: „To, że jestem niepijącym alkoholikiem, więcej mówi o mnie jako o człowieku, o mojej tożsamości, o mojej wrażliwości, niż fakt, że jestem profesorem prawa czy pisarzem”.

Pamiętam zabawną sytuację. W centrum miasta odbywał się popularny mityng, *men only*, tylko dla mężczyzn. Bardzo lubiany przez facetów, bo wiadomo, że gdy w towarzystwie pojawiają się kobiety, facetom wali na łeb. Pajacują i stroszą piórka, zamiast zajmować się swoimi problemami. Wychodzimy z tego mityngu na papierosa: ja, mój ojciec, bardzo znany aktor i jeszcze jeden bardzo znany aktor. Stoimy pod piękną kamienicą, palimy, gadamy i nagle po drugiej stronie ulicy wyłania się Krzysio Lang, znany reżyser filmowy. Podchodzi do nas i mówi: „No siema, panowie, jak tam? Jakiś film tu kręcicie?”. Popatrzyliśmy po sobie

i w śmiech: „Tak! Kręcimy, ale nie możemy ci zdradzić jaki”. Trochę się speszył i poszedł. Żartowaliśmy, że na mityngach można skompletować całą ekipę filmową. Kiedyś kultura picia na planach filmowych była zupełnie inna. Wielu wybitnych aktorów piło na umór, zresztą reżyserów również, do tej pory krąży o tym mnóstwo anegdot. Ale jak dziś przyjdiesz pijany na plan, możesz wylecieć z pracy. Czasy się zmieniły. I dobrze.

Adam, który pierwszy raz w życiu był na mityngu, też był pod wrażeniem: „Nie spodziewałem się, że tacy porządni ludzie mogą mieć problemy z alkoholem. Na szczęście macie wspaniałe miejsce. Ktoś to genialnie wymyślił”. Tak jest. Mityngi AA to chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie nikt się nie kłóci, nie wymądrza, nie poucza. Każdy za podniesieniem ręki ma swoje pięć minut na wypowiedź, nikt nie może mu w tym czasie przerwać, przeszkadzać, oceniać, krytykować. Kończysz wypowiedź, nikt nie ma prawa się do niej odnieść, może tylko podzielić się własnym doświadczeniem. To ci daje poczucie bezpieczeństwa. Odkrywasz też, jak już wspominałem, że paradoksalnie o wiele łatwiej ci mówić o swoich problemach do obcych niż do bliskich. Nikogo nie ranisz. Kiedyś moja koleżanka, która nie jest alkoholiczką, ale miała problemy osobiste i potrzebowała fachowej pomocy, powiedziała, że mi zazdrości: „Wy, uzależnieni, macie dobrze, na całym świecie są mityngi o różnych porach, na dodatek za darmo. A ja nie dość, że od dwóch miesięcy nie mogę się zapisać na terapię, bo nikt nie ma wolnych terminów, to jeszcze będę musiała za to płacić minimum dwieście pięćdziesiąt za godzinę”. Ma, niestety, rację.

Zdmuchnąłem symboliczną świeczkę i wypowiedziałem życzenie. Moim największym marzeniem było życie w trzeźwości: „Panie Boże, spraw, proszę, żebym już nigdy nie wrócił do ćpania i picia”. To był cholernie trudny rok, wciąż było we mnie mnóstwo lęku przed odrzuceniem, nie do końca poradziłem sobie z emocjami z dzieciństwa, z moimi urazami do ojca, zżerało mnie nieustanne poczucie winy, złości, strachu, samotności, ale wiedziałem jedno – chcę być trzeźwy. Mimo że pełne problemów, było to lepsze życie. Pierwszy raz szedłem z podniesioną głową.

ROZDZIAŁ 10

TEATR, PALEC BOŻY, PRAWO JAZDY I CUD

Wyznaczyłeś sobie jakieś nowe zadania, żeby zapłacić pustkę po alkoholu i narkotykach?

Ojciec często powtarzał, że dla aktora rozwój oznacza teatr. Aktor, który nie gra w teatrze, nigdy nie będzie dobrym aktorem. Przypomniałem to sobie. Pierwszy raz w życiu zacząłem poważnie traktować swój zawód. Wiedziałem, że ciężko mi będzie dostać się do teatru, bo mam złą sławę. W ogóle z moją opinią lekkoducha, ćpuna, hulaki czy błazna ciężko mi będzie wrócić do czegokolwiek. *Pierwsza miłość* była od dawna moją jedyną pracą, nigdzie indziej mnie nie chciano. Trudno się dziwić, sam sobie na to zapracowałem. A teraz nie miałem nic do zaoferowania. Wtedy zacząłem chodzić na lekcje śpiewu i dykcji do Ewy Iżykowskiej, ówczesnej rektor szkoły muzycznej, wybitnej artystki operowej. Pamiętam, jak przyszedłem na pierwszą lekcję i usiadłem w salonie. Jakaś kobieta przede mną śpiewała pięknym operowym głosem, a ja myślałem: „Kurwa! Co ja tu robię? Nic nie potrafię! Mam trzydzieści pięć lat i zaczynam życie od nowa”. Chciałem uciec. Trafiłem jednak na wspaniałą osobę. Kiedy opowiedziałem jej o swoich lękach, usłyszałem: „Michał, uwielbiam takie przypadki jak twój. Uwierz mi, wykonamy tu ciężką pracę i jeszcze zrobisz wielką karierę”. Chciałem jej wierzyć i zostałem. Każdą lekcję zaczynaliśmy od *Pana Tadeusza*. Ja czytałem fragmenty na jednym końcu pokoju, a pani Ewa z drugiego końca mnie korygowała. To była praca od podstaw. Ojciec wiele razy mówił: „Czasem trzeba włożyć w coś dużo wysiłku, nie myśląc o tym, co będziesz z tego miał. Kiedy naprawdę będziesz gotów, spotka cię

nagroda”. Chodziłem na zajęcia, często też chodziłem do teatru. W Och-Teatrze zobaczyłem sztukę *Mayday 2*; rolę Stanleya, mojego ulubieńca, grał Artur Barciś. Patrzyłem na Barcisia i myślałem: „Ja pierdolę, jak on wspaniale gra!”. Marzyłem, żeby zagrać tę rolę. Nic nie wskazywało, żeby to się miało kiedykolwiek wydarzyć.

Był środek pierwszego roku mojego trzeźwego życia, lato, jadłem z kolegą pizzę, kiedy podeszła do nas jakaś młoda babka, ni stąd, ni zowąd, i powiedziała: „Dzień dobry, panie Michale. Jestem ogromną fanką filmów pana ojca. Proszę przekazać mu gratulacje za *Dzień świra*. Zresztą pana też uwielbiam”. Chwilę pogadaliśmy, pośmialiśmy się i poszła. Po kilku dniach dzwoni do mnie Adam: „Słuchaj, odezwał się do mnie kolega, że jego przyjaciółka z Warszawy szuka kontaktu do ciebie. Podobno ostatnio spotkała cię na pizzy. Chciała ci zaproponować jakąś rolę w teatrze”. Dał mój numer, zadzwoniła od razu: „Panie Michale, dzień dobry. Nazywam się Kamila Polak. Mam dla pana propozycję”. Umówiliśmy się na spotkanie. Skończyła aktorstwo w szkole Machulskich, ale kiedy usłyszała, że kariery raczej nie zrobi, przerzuciła się na produkcję. „Wie pan – mówiła – moim marzeniem jest zrobienie spektaklu. Niedawno kupiłam prawa do sztuki *Mayday 2*”. W tym momencie pomyślałem, że spadnę z krzesła: „Żartuje pani!?”. „Absolutnie nie! To jest moje pierwsze przedsięwzięcie. Spektakl impresaryjny. Będziemy jeździć z nim po Polsce. Jestem już po rozmowach z Michałem Milowiczem i Joasią Jabłczyńską. Chcę robić teatr komercyjny, dla ludzi, a nie krytyków teatralnych. Czy jest pan zainteresowany?” Wyduśliłem z siebie pytanie, w jakiej roli mnie widzi, a ona bez wahania powiedziała: „Myślałam o roli Stanleya. Olśniło mnie, kiedy zobaczyłam pana na tej pizzy”.

Palec boży?

Żebyś wiedziała! Oczekałem trzy dni, żeby się nie domyśliła, jaki jestem napalony. Byłem tak szczęśliwy, że na miejscu bym się zgodził. Dałem ojcu do przeczytania scenariusz, powiedział, że to kawał dobrej roboty i wspaniałe wyzwanie. Moja pierwsza teatralna rola, więc poprosiłem go o pomoc: „Słuchaj, tato, czy mógłbyś mi dać jakieś wskazówki, jakoś mnie poprowadzić,

podpowiedzieć, jak zbudować tę rolę?”. Przez kilka tygodni żyłem wyłącznie tym spektaklem. Barciś tak wspaniale zagrał Stanleya, że ja musiałem mieć na tego bohatera inny pomysł. Przeanalizowałem go od „a” do „z”. Przed rozpoczęciem prób spotkaliśmy się z ojcem w domu. Usiedliśmy naprzeciwko siebie, tato otworzył scenariusz cały zapisany uwagami, zerknął na pierwszą stronę i powiedział: „Wiesz co, Michał, może ty zacznij. Opowiedz mi, jak to widzisz”. No i wszystko mu opowiedziałem. Ojciec siedział, słuchał, nie przerywał, a kiedy skończyłem, po prostu zamknął ten scenariusz: „Wiesz o tej roli wszystko. Więcej, niż ja mógłbym ci powiedzieć. Idź za głosem serca i zrób to po swojemu”. Byłem trochę zły i rozczarowany. Nie po to się spotkaliśmy, żeby on mi mówił, że mam to zrobić po swojemu. Ale tak zamierzałem zrobić, wierzyłem mu. Zacząłem też – jako że jest to główna rola, bardzo wyczerpująca – chodzić na siłownię, żeby poprawić kondycję i móc wytrzymać ponad dwie godziny na scenie.

Mniej więcej w tym samym czasie Michał Znaniecki, wybitny reżyser operowo-teatralny, który w wieku dwudziestu czterech lat debiutował w mediolańskiej La Scali, zaprosił mnie w wakacje do swojego nowego projektu. Poznaliśmy go z ojcem ponad trzy lata wcześniej. W 2012 roku w Teatrze Wielkim w Poznaniu, gdzie był wówczas dyrektorem, wystawił operę *Dzień świra*. Siedmiu barytonów, zawodowych śpiewaków i amatorów, śpiewało na scenie opery partię Adasia Miauczyńskiego: „Czy panowie muszą tak napierdalać od bladego świtu?! Że nie podbijam karty na zakładzie o siódmej rano, to już w waszym robolskim mniemaniu muszę być nierobem?! Już możecie inteligentowi jebać po uszach od brzasku!”. Młodzi ludzie walili na ten spektakl drzwiami i oknami. Opera pękała w szwach.

Tym razem Michał postanowił wystawić spektakl oparty głównie na adaptacji *Snu nocy letniej* Szekspira i barokowej muzyce Purcella. zaproponował mi rolę Demetriusza, a mój ojciec i Małgosia wcielili się w króla i królową. Nigdy nie czytałem Szekspira, musiałem nadrobić zaległości. Akcja naszego widowiska rozgrywała się pod Wrocławiem, w leśnickim zamku, amfiteatrze i... w stawie. Puka fantastycznie zaśpiewała Mela Koteluk, partię Tytanii wykonała Ewa Biegas,

znana na całym świecie polska sopranistka. Epizody zagrali pensjonariusze domu samotnej starości. Obsada była niesamowita. Michał udzielił mi wtedy mądrej rady. Powiedział: „Na próbach daj z siebie jak najwięcej, nie oszczędzaj się. Nie bój się grać szeroko i przerysowywać. Potem wszystko przełamamy i znajdziemy to, co jest najważniejsze. Złoty środek”. I rzeczywiście tak zrobiliśmy. Dzięki Michałowi bardzo dużo się nauczyłem. Premiera odbyła się w niedzielny wieczór, dwunastego lipca 2015 roku. Padał deszcz, ale kilkuset widzów podświetlonymi alejkami podążało za akcją z zamku, przez zakamarki parku, do amfiteatru i nad staw, gdzie na środku, w pontonie, grałem swoje sceny. Mela Koteluk przez godzinę śpiewała na huśtawce zwisającej z drzewa. Wokół tryskały fontanny, a na ekranach wodnych wirowali tancerze. Magiczny wieczór. Widzowie byli olśnieni i zaczarowani.

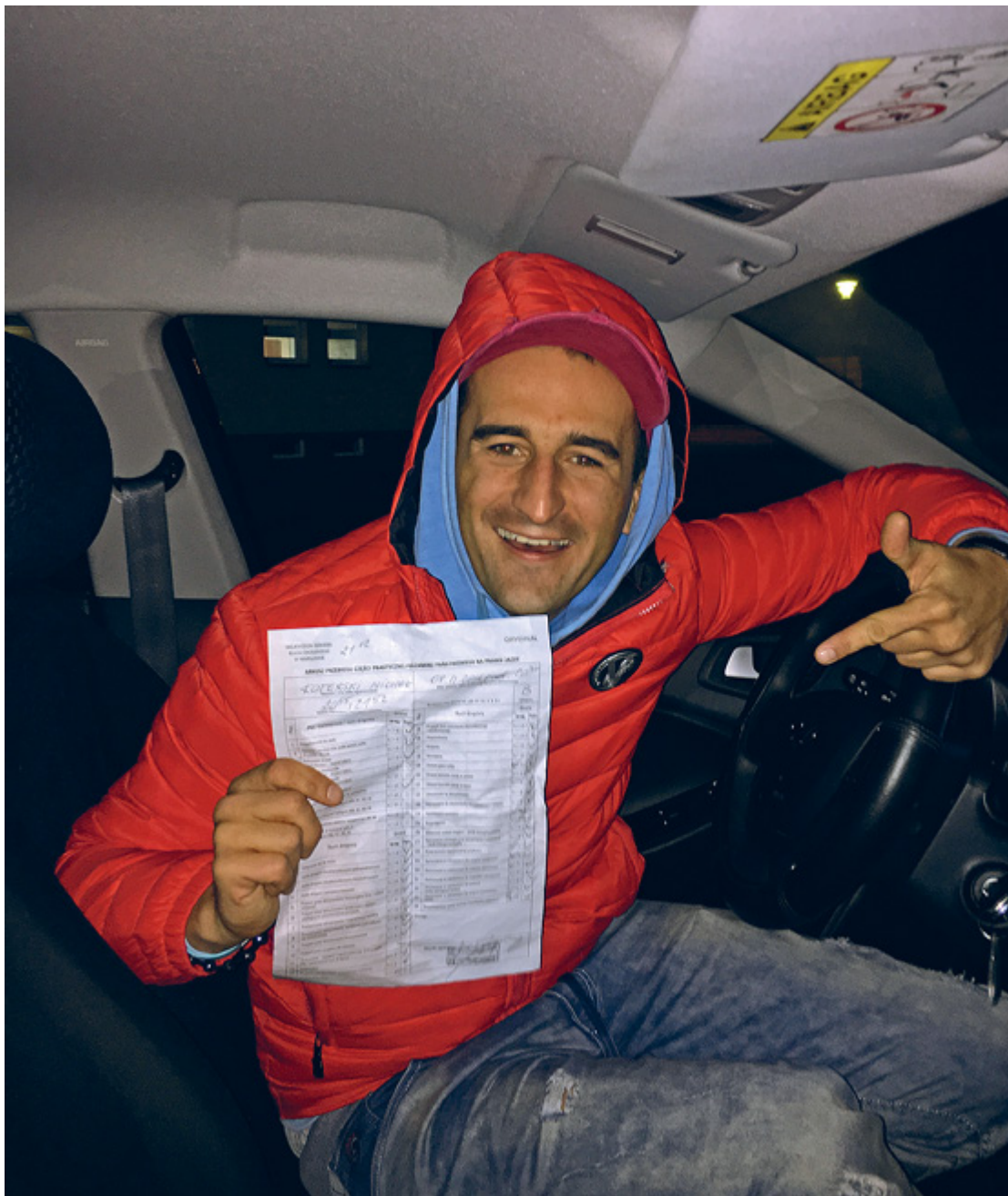
Po *Śnie nocy letniej* rozpoczęły się intensywne próby do *Mayday 2*. Pamiętam, że reżyser troszkę podcinał mi skrzydła. „Michał – mówił – nie możesz grać tak intensywnie. To jest granie jak w commedii dell’arte, Polacy tego nie udźwigną”. A ja po prostu dawałem z siebie sto procent. Żaliłem się ojcu, a on był stanowczy: „Na scenie zostaniesz tylko ty i Pan Bóg. Słuchaj reżysera tylko na próbach, a potem rób swoje”. Przypomniałem sobie rady Michała Znanieckiego i posłuchałem ich obu.

Rozwijałeś się nie tylko duchowo, również praktycznie.

Od dawna chciałem zrobić prawo jazdy, ale się wstydziłem. Stary chłop – myślałem – ludzie będą mnie wytykać palcami, że jeżdżę z „elką” na dachu. Żenada. Wciąż miałem wiele blokad. Codziennie zwierzałem się Bogu ze swoich zmartwień: „Panie Boże, jest taka sprawa...”. I czekałem na Jego reakcję. Intensywnie pracowałem nad rolą Stanleya, więc głowę miałem zajęta czym innym. Któregoś dnia napisał do mnie na Facebooku jakiś facet: „Panie Michale, robię kampanię społeczną skierowaną do młodych ludzi, żeby nie wsiadali do samochodu pod wpływem alkoholu. Czy wzięłyby pan w niej udział?”. Odpisałem, że chętnie, ale nie mam prawa jazdy. Okazało się, że pomysłodawca jest

instruktorem w szkole jazdy, nauczy mnie jeździć i przygotuje do egzaminu, a ja w zamian zgodziłem się wystąpić w tej akcji. Pamiętam do dziś, jak wieczorami toczyłem się małym hyundaiem po ulicach na Białołęce. Na początku nie najlepiej mi to szło. Nie pomagał widok młodych chłopaków, którzy siadali za kierownicą i wiedzieli, co mają robić. Mnie to kosztowało mnóstwo wysiłku i wstydu. Mój instruktor miał na imię Marek, fajny facet, tylko strasznie dużo gadał. *Non stop* wypytywał mnie o filmy, o aktorów, o przygody na planie. Czasami miałem go dość, ale z drugiej strony musiałem nauczyć się podzielności uwagi. Jeździłem wtedy samochodem z ręczną skrzynią biegów. Dramat każdego początkującego kierowcy – jak wszystko zrobić jednocześnie: kręcić kierownicą, przerzucać biegi, patrzeć na drogę i zerkać w lusterko. A do tego cały czas słuchałem tego gadania! Kosmos. Ale właśnie tak jeździliśmy. Praktyczny egzamin zdałem za pierwszym razem, teoretyczny za drugim. Zrobiłem sobie piękny prezent na drugą rocznicę trzeźwego życia. Byłem taki szczęśliwy, że pochwaliłem się na Facebooku. Niedługo później zadzwonił Filip Chajzer, chciał zrobić materiał do *Dzień dobry TVN* o tym, jak czuje się świeżo upieczony kierowca – trzydziestosiedmiolatek. No to powiedziałem: „Przyjeżdżaj”. Miałem od trzech tygodni prawo jazdy, nabrałem już trochę wprawy. W ramach współpracy z jakąś wypożyczalnią samochodów załatwiłem sobie malutkiego opla corsę z automatyczną skrzynią biegów. Była zima. Przyjechał Chajzer, ustawia kamery, patrzy, a ja zdejmuję buty i wkładam tenisówki. To były jedyne buty, w których czułem pedał gazu, więc za każdym razem je wkładałem. Pękał ze śmiechu: „Nie wierzę własnym oczom! Widziałem, jak kobiety zmieniają szpilki, ale żeby dorosły facet zmieniał buty do jazdy?! Musimy to nagrać”. W końcu ruszyliśmy. Wyszkolony przez Marka, cały czas gadałem, niespecjalnie uważając na drogę. W godzinach szczytu skręciłem w Puławską. Gdy ktoś na mnie trąbił, hamowałem i zarzucało całym autem. Dopiero po jakimś czasie zauważyłem, że Chajzer jest cały spocony. Już się nie śmiał. W pewnym momencie powiedział: „Misiek, patrz na prawo, tamten facet ma pierwszeństwo”, a ja wziiuuuum, przejechałem skrzyżowanie z kopyta i zapytałem: „Co mówiłeś?”. Chyba Anioł Stróż trzymał wtedy kierownicę. Chajzer wysiadł

zielony. Do kamery powiedział: „Życzymy wszystkim, żeby NIE spotkali Miśka na swojej drodze!”.



Mogę tu oficjalnie poświadczyć, że zagrożenie minęło. Jeździsz bardzo dobrze, uważnie i bezpiecznie. I widać, że sprawia ci to radość.

Tak właśnie jest. Kiedy zrobiłem to prawo jazdy, czułem się jak emocjonalny piętnastolatek w skórze trzydziestosiedmioletniego gościa, który odkrywa świat na nowo. I cieszy się wszystkim. Do dziś to dziecko potrafię w sobie pielęgnować. Jest coraz więcej aktorów, którzy przestali pić, ale stali się nie do zniesienia: apodyktyczni, histeryczni, nabzdyczeni. Wynika to tylko z jednej rzeczy: nie zażywają „lekarstwa”, czyli nie chodzą na mityngi. Nie wentylują się. „Wentylują” się, wyżywając się na ludziach w pracy, na rodzinie, w miejscach publicznych. Buzują od złych emocji. Siedzą na tak zwanym dupościsku, wiecznie wkurzeni, że nie piją. Zachowują się tak, jakby mieli pretensje do całego świata, że nie mogą sięgnąć po kieliszek. Jest paru aktorów, nie będę wytykał ich palcem, którym z chęcią powiedziałbym: „Słuchaj, stary, jak masz być taki nieszczęśliwy, to idź się napij. Przynajmniej poczujesz, że żyjesz”. Ale wiem, że nie mogę.



Anonimowi alkoholicy często cytują modlitwę o pogodę ducha: „Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał, co mogę zmienić, i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego”.

To przepiękna modlitwa nie tylko dla uzależnionych, ale dla każdego człowieka. Nie możemy zmienić innych ludzi, miejsc, przeszłości, ale możemy zmienić siebie. Wiele osób, które znałem w poprzednim życiu, mówiło: „Kurde, Michał, to jest niesamowite, jak ty to robisz, że jesteś taki sam, jak byłeś?”. Chodziło im o to, że

jak się nawaliłem, byłem szczęśliwy i w trzeźwym życiu też byłem szczęśliwy. Ale oni nie wiedzieli, że pod koniec ćpania byłem już skrajnie wyczerpany psychicznie. Do dzisiaj dostaję wiadomości, że kolejny z moich kolegów popełnił samobójstwo, przedawkował albo zmarł z wycieńczenia. W pewnym momencie moje życie też zmierzało w stronę śmierci. Resztką sił funkcjonowałem w jej cieniu, w mroku i zniewoleniu. Wtedy nie byłem w stanie z niczego się cieszyć. Przez pierwszy i drugi rok trzeźwego życia czułem się tak, jakby ktoś długo trzymał moją głowę pod wodą i nagle ją puścił, a ja zacząłem zachłystywać się tlenem. Wszystko przeżywałem. Wiele osób myślało, że nadal coś zażywam, bo ciągle byłem pobudzony, rozedrgany.

Drugą rocznicę trzeźwego życia celebrowałeś jednak gdzie indziej, nie na AA.

U Anonimowych Narkomanów. Nie mówiłem ci wcześniej o tym, ale długo bałem się chodzić na te mityngi, bo tam przychodzili głównie młodzi ludzie. Bałem się, że spotkam kumpla z czasów ćpania albo byłego dilerka. Kiedyś jeden z chłopaków z mojej grupy AA zapytał, dlaczego nigdy nie przychodzę na spotkania AN, a ja szczerze opowiedziałem mu o swoich lękach. Zaproponował, żebyśmy poszli razem. I co się okazało? Zacząłem chodzić i tu, i tu. Tak jest do dzisiaj.

Na drugą rocznicę przyjechał z Gdańska Adam. Akurat wtedy na spotkaniu było dużo młodych kobiet i jedna z nich opowiadała o tym, że miała bardzo fajny kontakt z ojcem, ale ojciec nigdy nie powiedział, że ją kocha. To na zawsze naznaczyło jej życie. Pamiętam, że Adamowi poleciały wtedy łzy z oczu. Sam był wspaniałym ojcem, gotowym zrobić wszystko dla swoich córek, ale nie potrafił mówić o uczuciach. Po mityngu wyszliśmy, uściskaliśmy się i Adam powiedział: „Na taki mityng powinien przyjść każdy człowiek. Nie wiedziałem, że nawet jak dasz dziecku wszystko, nic nie zastąpi słów: »kocham cię«. Dzięki tobie to zrozumiałem”.

Tu muszę podkreślić bardzo ważną rzecz. Mimo całej swojej ułomności, mimo horroru, który przeżył w dzieciństwie ze swoim ojcem alkoholikiem, mimo tego, że potem sam pił, był aspołeczny, nie umiał wielu różnych rzeczy mi dać, nauczyć czy

poświęcić, mój ojciec – nie wiem, skąd otrzymał ten dar, nigdy go o to nie pytałem – zawsze potrafił powiedzieć, że mnie kocha. Czułem się przez niego kochany i dzięki temu czułem się ważny. Jestem mu za to wdzięczny, bo teraz to samo mówię do mojego syna Fryderyka: „Chodź, powiem ci coś na ucho. Mam tajemnicę”. „A jaką?” „Kocham cię, Frysio”. Zawsze mu się wtedy zapalają oczy i to jest niesamowite. Przychodzę po niego do przedszkola, a on woła: „Tęskniłem za tobą, tata. Kocham cię, tato”. Albo tuli się do mamy: „Kocham cię, mamó”. Wtedy nam się zapalają oczy. Nasz syn ma cudowną łatwość mówienia o uczuciach dzięki temu, że oboje z Marcelą potrafimy je wyrażać. To jest cud, który dostałem od mojego ojca. Cud, który dostałem od życia w trzeźwości. Cud, który dostałem od Boga.

ROZDZIAŁ 11

SPEŁNIONE MARZENIA, STRZAŁA AMORA, TO NOWE ŻYCIE I POMNIK FRYDERYKA

Na drugą rocznicę zrobiłeś prawo jazdy, a na pierwszą zbudowałeś rolę Stanleya. Premiera *Mayday 2* odbyła się piętnastego grudnia 2015 roku w Teatrze Palladium.

Dostaliśmy owacje na stojąco. Cały drżałem z wysiłku i emocji. Na widowni było wielu aktorów, dlatego po zejściu ze sceny zza zasłony oddzielającej *foyer* słuchałem, co mówią. Dwóch kolegów stało przy barze i rozmawiało: „Koterski był świetny, ale jemu to wszystko ojciec ułożył. Gdyby nie ojciec, nie dałby rady...”. Przypomniałem sobie scenę, kiedy ojciec zamknął swój egzemplarz scenariusza i nie powiedział ani słowa. Troszkę mi się przykro zrobiło, że nikt nie wierzy w moje umiejętności. Do dzisiaj zresztą tak jest. Ludzie zawsze łączą moje osiągnięcia z jakimś przypadkiem, układem, fartem albo uważają, że ktoś za mnie odwalił robotę. Tłumaczę sobie, że może tak ma być. Muszę ciągle się rozwijać i ciągle coś udowadniać, żeby mieć w życiu motywację. Z natury jestem leniem, może gdyby mnie za bardzo docenili, spocząłbym na laurach? Tak czy siak, był to mój wielki sukces. Na premierze był również Adam Woronowicz. Po *Chrzcie* Marcina Wrony patrzyłem na niego jak na boga, a on podszedł do mnie, wyściskał i powiedział: „Michał! To było rewelacyjne. Z tobą mógłbym zagrać wszystko!”. To była ta jedyna recenzja, która mi wystarczyła. Marzenie się spełniło. Docenił mnie aktor, którego uwielbiałem. Mój przyjaciel Adam popłakał się ze wzruszenia. Zapytałem go, co się stało. Odpowiedział: „Kiedy piłeś i ćpałeś, w pewnym

momencie miałem wrażenie, że tobie już nie da się pomóc. Umierałeś na naszych oczach. Dziś, kiedy się podniosłeś i spełniasz swoje marzenia, zrozumiałem, że wszystko w życiu jest możliwe. Ludzie nagrodzili cię owacją na stojąco. Jesteś dwa lata trzeźwy. Zrobiłeś prawo jazdy. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę”. To była wzruszająca chwila, bo dotarło do mnie, jaką drogę przeszedłem i jakiego cudu doświadczyłem. A to był dopiero początek.



Do domu wróciłem na skrzydłach, wychwalony przez ojca i Woronowicza, z wielkim misiem i ogromnym bukietem kwiatów. Kwiaty wsadziłem do wazonu, misia posadziłem na fotelu, usiadłem obok i... zapłakałem. Poczuliem się samotny. Myślałem o tym, że mam trzydzieści sześć lat i wszystko zaczynam od nowa. Przed chwilą odniosłem sukces, ale nie miałem z kim go dzielić. Odzyskiwałem swoją tożsamość, poczucie wartości, ale nie było tej jednej jedynej osoby, która czekałaby na mnie w domu i mówiła, że jest ze mnie dumna. Obudziło się we mnie ogromne pragnienie miłości, byłem na nią gotowy. A tu pustka. Pusty dom, ja i miś. Zrozumiałem, że sukces nic nie znaczy, jeśli nie możesz dzielić się nim z najbliższymi. Chwilę później, na kolejnej rocznicy czwartego grudnia, kiedy

zdmuchiwałem świeczkę – będziesz się ze mnie śmiać, ale trudno – poprosiłem Pana Boga, żeby zesłał mi piękną kobietę, którą pokocham i która urodzi mi syna.

Koncert życzeń do Boga!



Nie śmieję się, tylko uśmiecham do tego małego chłopca, który żyje w tobie. I szczęściarza, któremu spełniają się marzenia.

W sylwestra mieliśmy zagrać *Mayday 2* w Teatrze Palladium. Tym razem bałem się mniej niż rok wcześniej, bo byłem wśród swoich. Marek Włodarczyk, Michał Milowicz, Anka Gzyra, Joasia Jabłczyńska dużo o mnie wiedzieli. Osoby uzależnione często się ukrywają, a tajemnice męczą. Miałem ten dar i tę łaskę, nie

wiem skąd, że paplałem na prawo i lewo o swoim uzależnieniu. Pamiętam, jak w czasie rozmowy z Kamilą Polak, producentką *Mayday 2*, powiedziałem jej – chociaż, jak wiesz, rola Stanleya była moim największym marzeniem – że zgodzę się zagrać w tym spektaklu pod jednym warunkiem: kiedy będziemy jeździć po Polsce, nie ma picia alkoholu w busie. W hotelu każdy może robić, co chce, bo zaszyję się w swoim pokoju i nie muszę na to patrzeć. Ale w busie nikt nie pije. Musiała mi to zagwarantować. I była w szoku. Milowicz, Włodarczyk, Gzyra na początku byli wściekli. Chcieli się napić winka albo piwka... a tu terror. Zakazane. Wtedy jeszcze paliłem papierosy, więc na każdym przystanku dokuczali mi, że są używki lepsze i gorsze. Głupio mi było, ale nie miałem wyjścia. Nasz zawód jest stresogenny. Często stajemy przed widownią, na której siedzi pięćset, siedemset, a czasami nawet tysiąc osób. Ci ludzie przyszli dla ciebie, patrzą na ciebie i śledzą każdy twój ruch. Pojawia się napięcie, podniecenie, skacze adrenalina i żeby potem spuścić z siebie te emocje, najprościej sięgnąć po kieliszek. Jako trzeźwiejący alkoholik wiem, że tak naprawdę wcale nie jest nam to potrzebne. Od pokoleń wychowujemy się jednak w kulturze, w której wszystko załatwiamy alkoholem. Smutki – butla, sukces – butla, spotkanie towarzyskie – butla. Narodziny – butla, śmierć – butla. Cały czas butla. Oczywiście, jak już mówiłem, dwadzieścia procent tych ludzi uzależni się i ta butla ich zamorduje, a osiemdziesiąt procent będzie pić z tych okazji przez całe życie. I nic. Pamiętam, jak pierwszy raz spotkałem Roberta Rutkowskiego. „Michał – powiedział – ja nie prowadzę terapii odwykowej, bo ty już jesteś po odwykach, tylko terapię nawykową”. Popatrzyłem na niego zdumiony, bo nie rozumiałem, o czym on do mnie gada. A on próbował mi wytłumaczyć, że wszystko jest kwestią nawyku. Do tej pory swoje sprawy załatwiałem butlą albo kokainą. A teraz będę musiał nauczyć się nowych nawyków, innych sposobów rozwiązywania problemów. I rzeczywiście tego się nauczyłem.

Moi wspaniali koledzy i koleżanki z czasem zrozumieli, że to nie są moje fanaberie, wręcz zaczęli patrzeć na mnie z podziwem. Do tej pory mnie pytają, czy nie będzie mi przeszkadzało, jak ktoś przy mnie wypije piwko. Dzisiaj mi to już w ogóle nie przeszkadza, ale wtedy musiałem być skrajnie ortodoksyjny w tej

kwestii, bo walczyłem o swoje życie. Tak jak w samolocie: najpierw zakładasz maskę sobie, potem tym, którzy są pod twoją opieką. Najpierw muszę być trzeźwy, a potem jest cała reszta: teatry, filmy, sztuka, aktorstwo, marzenia. Bez trzeźwości będę nikim, nic mi się w życiu nie uda. Trochę więc bałem się tego sylwestra, ale czułem się bezpiecznie z tymi ludźmi.

Kamila zarezerwowała dla całego zespołu łóżko w klubie Ritual na Mazowieckiej, gdzie po spektaklu sylwestrowym mieliśmy przywitać Nowy Rok. Straciłem trochę czujność, zapomniałem, że będę w klubie pierwszy raz od trzech czy nawet czterech lat, bo jak piłem i ćpałem w ostatnim okresie, to już w ogóle nie chodziłem na imprezy. To było zażywanie w samotności. Straciłem może nawet nie czujność, ale wyobrażenie, co to dla mnie będzie znaczyć.

Po południu wszyscy przyjechaliśmy do teatru. Kamila miała w zwyczaju przychodzić na przedstawienia ze swoimi znajomymi. Wpadała z nimi za kulisy albo do garderoby, przedstawiała, towarzystwo gadało, śmiało się, a mnie to strasznie denerwowało. Do dziś nie lubię, jak przed występem przychodzą obcy ludzie, bo jestem wtedy skrajnie zestresowany. Miałem zasadę, której długo się trzymałem: nigdy nie patrzyłem na widownię, żeby się nie rozproszyć, nie wybić z rytmu albo nie wyjść z postaci. Parę lat wcześniej występowałem w *Tańcu z gwiazdami*. Moja partnerka Janja Lesar, widząc, jak bardzo boję się tych występów, łapała mnie za rękę i mówiła: „Teraz wychodzimy, ale wyobraź sobie, że nie ma tych ludzi, jesteście tylko my. Ty i ja zamknęci w bańce”. Bardzo mi to pomagało. Przed spektaklem robiłem sobie podobną wizualizację: jestem w bańce mojej postaci i nie ma nic dookoła. Gdy nie patrzyłem na widownię, to się sprawdzało i mniej się stresowałem.

Tamtego wieczoru Kamila przyszła za kulisy ze swoją koleżanką Marcelą. Przywitaliśmy się: „Cześć, Marcela”, „Cześć, Michał”, spojrzałem na nią i... zadziała się magia. Zdarzają się takie momenty w życiu. Trafiła we mnie strzała Amora. Błogie ciepło rozlało się po całym moim ciele. Stałem oparty o ścianę, ona stała naprzeciwko. Nigdy nie miałem problemów z gadaniem, a tym razem nie byłem w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa, ani jednego zdania. Ona też nic

nie mówiła. Stała i patrzyła. Nie było między nami żadnego skrępowania, po prostu staliśmy i patrzyliśmy na siebie. Nie wiem, ile czasu minęło, może trzydzieści sekund, może minuta, ale dla mnie trwało to wieczność. Już wiedziałem, że jestem ugotowany, trafiony, już jest po mnie. Z trudem zerwałem to spojrzenie i poszedłem się przebrać. Pierwszy raz przeżywałem coś takiego na trzeźwo. To była zupełnie inna skala i inna jakość doznań.

Zaczął się spektakl, a ja cały czas myślałem o tej dziewczynie. Grałem i rozmyślałem: gdzie ona siedzi? Czy na mnie patrzy? Nie mogłem się skupić. A równocześnie bałem się spojrzeć na widownię, wiedziałem, że jeśli wybiję się z rytmu, to będzie koniec. Gram w tym spektaklu główną rolę, cały czas byłem więc w biegu i może to mi pomogło przetrwać. Musiałem odsuwać myśli o niej, koncentrować się na grze. A i tak jedna myśl cały czas wwierała się w moją głowę: czy ona patrzy? Każdy facet wie, jak się gra przed kobietą, na której mu zależy. Wypruwałem z siebie flaki, gimnastykowałem się na wszystkie sposoby, grałem całym sobą i na tysiąc procent. I zastanawiałem się, czy ona mnie podziwia. Niech zobaczy, jaki jestem wspaniały! Komiczne to, ale tak było.

W spektaklu jest scena, kiedy siadam wypompowany na kanapie. Grając to, na chwilę podniosłem oczy, żeby sprawdzić, czy ona jest. Patrę – jest! Siedzi gdzieś po prawej stronie w trzecim rzędzie cała zaaferowana i wpatruje się we mnie tymi swoimi oczami. Myślę: „Jezu, jest i patrzy!”. Udałem, oczywiście, że jej nie widzę, ale zaspokoilo to moje męskie *ego* i znowu przyjemne ciepło rozlało się po całym ciele. Skończył się spektakl, dostaliśmy wielkie brawa. Ja dumny, w glorii i w chwale. Ludzie się świetnie bawili, byli zachwyceni, więc moje poczucie wartości gwałtownie wzrosło, bo mogłem jej pokazać, jaki jestem kozak. To robi na kobietach wrażenie. Nie tylko zresztą na kobietach. Kiedy sam chodziłem na spektakle jako widz, magia teatru zawsze na mnie działała. Podziwiałem aktorów na scenie. Pamiętam, jak byłem pierwszy raz w Teatrze Rozmaitości. Andrzej Chyra zaprosił mnie na *Uroczystość* w reżyserii Grzegorza Jarzyny, grała wtedy Danuta Stenka, Magda Cielecka, Jan Peszek, Ewa Dałkowska, Adam Woronowicz, Zygmunt Malanowicz i oczywiście Andrzej, jednym słowem – plejada gwiazd, na

którą patrzyłem w zachwycie. Siedziałem w pierwszym rzędzie i kiedy Danuta Stenka położyła się na scenie, tuż obok mnie, czuć było jej zapach. Zapach prawdziwej kobiety. Drżało mi serce, że ona tu leży i gra przede mną. To robiło niesamowite wrażenie! Magia działa w obie strony. Dzisiaj częściej spoglądam ze sceny na widownię i widzę czasami, że ludzi aż paraliżuje, kiedy nasz wzrok się spotka. To daje poczucie władzy, siły rażenia. Ludzie cię podziwiają, ale ty stoisz przed nimi odarty ze wszystkiego. W teatrze nie ma dubli, nie skryjesz się za kamerą, jesteś tylko ty. I każdy, kto siedzi kilka metrów od ciebie, wyobraża sobie: „A co by było, gdybym to ja tam stał?”. Z jednej strony ma takie pragnienia, a z drugiej myśli: „Nigdy bym się nie odważył”. Wtedy wielbi cię jeszcze bardziej za to, że ty to zrobiłeś.

Schodząc ze sceny w Palladium, czułem to wszystko i byłem rozemocjonowany.

Kamila mnie poprosiła: „Michał, jesteś taki wygadany, może wzniosłbyś toast noworoczny? Ty oczywiście bez alkoholu”. Wziąłem mikrofon, zrobiłem odliczanie i wybiła północ! Nowy Rok, *happy New Year!* Złożyłem ludziom życzenia, wszystkich ogarnęło szaleństwo, szampan lał się strumieniami. Podeszła do mnie Marcela. Podobno to kobiety wybierają sobie mężczyzn. Ja w to wierzę. Zaczęliśmy rozmawiać i ona pyta: „A ty nie pijesz?”. Odpowiadam, że nie, ale widzę, że ona też stoi bez kieliszka: „A ty?”. Ona: „Ja też nie”. Ja, zaintrygowany: „Tak? A od ilu?”. Nie zrozumiała: „Ale co od ilu?”. „Od ilu miesięcy czy lat nie pijesz?” – zapytałem, bo oczywiście w mojej głowie alkoholika od razu zaświtała myśl, że trafiła mi się zaprzyjaźniona alkoholiczka. Marcela odpowiedziała: „Po prostu nie piję”. Tym razem ja nie zrozumiałem: „Jak to po prostu?”. Okazało się, że Marcela w ogóle nie pije alkoholu. W życiu wypła dwie lampki szampana, w tym jedną na swoje osiemnaste urodziny. Tak została wychowana, w jej rodzinnym domu w ogóle się nie piło. Bała się wszystkich środków zmieniających świadomość. Kiedy to usłyszałem, nogi się pode mną ugięły. Bóg dał mi znak – to jest ta kobieta! Na terapiach przestrzega się, żeby uzależnieni nie łączyli się w pary,

ponieważ jest bardzo duże niebezpieczeństwo, że jak jedno się złamie, drugie razem z nim pójdzie na dno. A oto Bóg zesłał mi piękną, niepijącą kobietę.

Po północy całą grupą ruszyliśmy na piechotę do Rituala. Całą drogę rozmawiałem z Marcelą, szczęśliwy i nakręcony tą sytuacją. Weszliśmy do klubu i na dzień dobry uderzył mnie odór alkoholu, dudniąca, ogłuszająca muzyka, widok tańczących kobiet w piórach i tłumy pijących, rozbawionych ludzi. Nie zdawałem sobie sprawy, jakie to będzie dla mnie trudne przeżycie. Ja, były król dyskotek, nagle się skuliłem i przestraszyłem. Z wielkiego tygrysa zrobił się mały kotek. Dygotałem na całym ciele. Jak na filmach: ludzkie twarze zamieniły się w potwory, diabły. Wszyscy mnie znali. Co chwilę jakiś napruty koleś szarpał mnie za fraki i chuchał alkoholem w nos: „Siema, Misiek! Jestem twoim fanem”. Myślałem – przysięgam – że tam zejdem. Ale było to tak paralizujące, że nie byłem w stanie stamtąd wyjść ani się ruszyć, jakbym był w betonowych butach. W pewnym momencie Milowicz zaciągnął mnie do swojego stolika. Znajomi do mnie gadali, a ja nic. Pamiętam, że Marcela usiadła przy mnie i też coś gadała, ale do mnie nic nie docierało. Chyba sobie pomyślała, że ją olewam, i gdzieś poszła. A ja, wystraszony kotek, siedziałem przyspawany do swojego krzesła.

Czułem się tak, jakbym przeszedł na drugą stronę lustra. W pierwszym życiu codziennie sprawdzałem, jaka jest najlepsza impreza w mieście, i tam leciałem. Na każdej najebany i naćpany. Dzień w dzień. Klub w klub. Jeździłem po całej Polsce, żeby się zabawić. Nie mogłem w domu wytrzymać ani sekundy. To symboliczne, że w drugim życiu nie chodziłem po klubach. Często moi koledzy, którzy trzeźwieli, chodzili z pijącymi kolegami do klubów. Ja nie mam takiej potrzeby – pomijając imprezy branżowe, na które chodzę z powodów zawodowych. Mnie to nie jara. Mam poczucie straty czasu. Największą „imprezą” stało się dla mnie granie w filmie. Zamiast do klubu wolę pójść do kina, do teatru, na koncert.

Kiedy siedziałem przy tym stole, co chwilę ktoś podchodził: „Napij się, napij się”. W Polsce każdy musi się napić! Potem się wycwanilem i jak słyszałem: „Czemu nie pijesz? Napij się!”, zacząłem odpowiadać: „Nie. To ty nie pij”. Ludzie zawsze reagują oburzeniem: „Jak to? Przecież po to tu przyszedłem. Żeby się

napić!”. Wtedy mówię: „Skoro ja ciebie nie zmuszam, żebyś nie pił, dlaczego ty mnie zmuszasz do picia, chociaż tłumaczę, że nie piję?”. Jak ludzie chcą, niech piją, ich sprawa. Mnie to nie przeszkadza. W każdym razie siedziałem tam zdruzgotany. Nagle złapała mnie za rękę Marcela, mówiąc, że nagabuje ją jakiś cudzoziemiec, i pytając, czy może ze mną usiąść. Zaczęliśmy gadać i – nie wiem, jak to się stało – zrobiła się piąta rano. Zamknięci w swojej bańce gadaliśmy, gadaliśmy i gadaliśmy. Milowicz z Włodarczykiem pokazywali nas palcami i unosili kciuki w górę, co było urocze i zabawne. Po piątej stwierdziliśmy, że wychodzimy. Zaproponowałem Markowi, że odwiozę go do domu. Po drodze wstąpiliśmy do baru Lemon. Zjedliśmy śniadanie i pogadaliśmy. Przypomniałem sobie, że kilka dni wcześniej Marcelina Beucher, młoda śpiewaczka operowa, z którą się zakumplowałem przy *Śnie nocy letniej* Michała Znanieckiego, zaprosiła mnie na Koncert Noworoczny do Filharmonii Narodowej, który odbywał się pierwszego stycznia. Zapytałem Marcelę, czy pójdzie ze mną. Zgodziła się z radością. Umówiliśmy się pod jej domem o osiemnastej.

Odwiozłem Marka, a kiedy wróciłem do domu, była siódma rano. Nie mogłem zasnąć, emocje mnie rozsadzały, czekałem tylko na ten wieczór. Na pierwszą w życiu randkę na trzeźwo. To jednak niesamowite, że w wieku trzydziestu siedmiu lat pierwszy raz poczułem cokolwiek do kobiety na trzeźwo.

Cieszę się, że mogłeś tego doświadczyć!

Ja też. Codziennie – no, prawie – dziękuję za to Bogu. Po drodze kupiłem wielki bukiet kwiatów i z tym bukietem zajechałem pod jej dom moją corsą oblepioną żółtymi choinkami z logo wypożyczalni samochodów Skorpion. Poczułem się jak na jednej z tych komedii romantycznych, które namiętnie oglądałem, marząc o takim życiu. Pod filharmonią okazało się, że wolne jest tylko jedno miejsce parkingowe, ale tak małe, że nie miałem szans wjechać. Zapytałem Marcelę, czy może zaparkować, przyznałem się, że dopiero od trzech tygodni mam prawo jazdy. Śmiała się, ale zaparkowała, wystarczyły jej trzy ruchy kierownicą. Jako córka właściciela warsztatów samochodowych miała to we krwi. Wtedy na ułamek

sekundy zaświtało mi w głowie pytanie: „Co ona we mnie widzi?”. Jeździłem wypożyczonym autem, mieszkałem w wynajętym mieszkaniu, nie umiałem zaparkować, w wieku trzydziestu siedmiu lat jako były narkoman zaczynałem życie od nowa... Nie byłem świetną partią. Nie miałem niczego. A z drugiej strony, te ewidentne niedostatki jakoś mnie nie zawstydzaly. Tak się cieszyłem z tego wieczoru, moje emocje były tak silne, że niczym się nie przejmowałem. Byłem po prostu szczęśliwy.

Na widowni wszyscy byli elegancko ubrani, w powietrzu unosił się zapach luksusowych perfum, mieliśmy z Marcelą świetne miejsca, a koncert był na żywo transmitowany w Jedyńce. Czułem się jak w bajce. Słuchałem walców Straussa i nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, że ja tu siedzę trzeźwy, pachnący, elegancki. Łzy mi do oczu napłynęły. Paru historii ci nie opowiedziałem, na przykład tego, że w pewnym momencie w Łodzi mieszkałem na klatkach schodowych, jak bezdomny, bo już nikt nie chciał mnie przyjąć. Byłem w takim stanie, że ludzie się mnie bali, a do mnie nic nie docierało. Nikt nie chciał wpuścić mnie do swojego domu. Nawet moja mama miała mnie dość, więc możesz sobie wyobrazić, co wyczyniałem. Wszyscy uznali mnie za człowieka straconego. Nocowałem na klatkach, rano nasłuchiwałem, czy winda zaczyna jeździć, i wtedy wychodziłem na zimno, bo wstydziałem się, że ktoś mnie zobaczy. Byłem brudny, śmierdzący, zaćpany albo na głodzie. To były straszne momenty. Teraz z piękną dziewczyną siedziałem w filharmonii, gdzie orkiestra grała walce Straussa. Pamiętam do dziś, jak modliłem się w duchu: „Boże! Nawet jeśli z tej relacji nic nie wyjdzie, dziękuję Ci za ten wspaniały dzień”. Warto było wszystko przetrwać, żeby ten jeden dzień przeżyć. W przyprawie euforii złapałem Marcelę za rękę i trzymałem przez cały koncert.

Po koncercie odwiozłem Marcelę do domu. Powiedziałem jej, że nie będzie mnie kilka dni, bo nazajutrz rano jechałem do Wrocławia na plan *Pierwszej miłości*. Siedzieliśmy w samochodzie pod jej domem, a ja miałem w głowie gonitwę myśli, jak w klasycznej komedii romantycznej: „Pocałować ją na pożegnanie czy nie pocałować? Może to za wcześnie, znamy się dopiero

dwadzieścia cztery godziny... A jak nie pocałuję, to czy wyjdę na mięczaka? Ale jak źle pocałuję, to już będę spalony, więc może lepiej nie całować”. Ona coś mówiła o koncercie, ja toczyłem wewnętrzną walkę: całować – nie całować? Tak czy nie? Wypada czy nie wypada? Będzie romantycznie czy nie będzie romantycznie? Zaczęliśmy się żegnać, złapałem ją za rękę i pocałowałem. Tak zaczęła się...

... wasza burzliwa miłość.

Miłość od pierwszego wejrzenia. Tak silna, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie czułem. Podobno tylko raz w życiu można się tak zakochać. Nie mogliśmy bez siebie oddychać, jak szesnastolatki. Cały czas razem. Dojrzałości w tym nie było za grosz, tylko miłość, miłość i miłość. W uniesieniu kochaliśmy się bez opamiętania, w każdym sensie. Oddaliśmy się sobie całkowicie. Po tygodniu nie wyobrażałem sobie bez niej życia. Któregoś dnia, mniej więcej po dwóch miesiącach, mój sąsiad, który pracował w Locie, widząc to nasze szczęście, zaproponował, że załatwi nam na swoją pracowniczą zniżkę bilety lotnicze, dokądkolwiek chcemy: do Toronto, Nowego Jorku, Seulu, i jeszcze hotel na dodatek. Akurat sam chciał polecieć gdzieś z dziewczyną i zapytał, czy chcielibyśmy lecieć z nimi, ale bez zobowiązań. Wybraliśmy Seul. Korea wydawała nam się wtedy abstrakcją, sam nigdy nie wpadłbym na to, żeby tam pojechać. Kupiliśmy bilety. Trzy dni przed wyjazdem Marcela miała umówioną już od dawna wizytę u lekarza, zaoferowałem więc, że pojedę razem z nią. Siedziałem na korytarzu i słyszałem fragmenty rozmowy za drzwiami: „Wszystko jest w porządku, ale pani ma powiększone gruczoły. Ewidentnie pani organizm przygotowuje się do karmienia”. „Do jakiego karmienia?!” „Karmienia piersią...” „Ale przecież to jest niemożliwe”. „Moim zdaniem pani jest w ciąży”. Z gabinetu wyszła blada, myślałem, że zemdleje. Nie mogła w to uwierzyć, a ja – nie wiem skąd – miałem pewność, że rzeczywiście jest w ciąży. Poszliśmy do jakiejś knajpki coś zjeść i Marcela przez pomyłkę otworzyła... menu dziecięce. Aż się wzdrygnęła. Dla mnie to był kolejny znak. Nic nie mówiłem, bo widziałem, że Marcela strasznie to przeżywa.

Tu muszę zrobić dygresję. Jeden z moich kolegów z mityngów rok wcześniej zaczął pracę w Stowarzyszeniu Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym „Możesz więcej”. Któregoś dnia zapytał, czy nie przyjechałbym do tych dzieci w odwiedziny. Pojechałem do Mińska Mazowieckiego i spędziłem cały dzień z dziećmi o różnym stopniu niepełnosprawności. Dzieci były na wózkach, z zespołem Downa, z porażeniem mózgowym. Bawiliśmy się, wygłupialiśmy się, wszystkich poprzytulałem, ich mamy, które założyły to stowarzyszenie, powiedziały, że nie widziały wcześniej tak naturalnej osoby: „Ma pan wyjątkowe podejście do naszych dzieci. Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, mają dobre chęci, ale są przestraszeni i skrupowani, nie wiedzą, jak się zachować. A pan ma w sobie dziecięcą radość”. Sam czasami czułem się jak duże dziecko, a poza tym już wtedy miałem ogromną potrzebę posiadania własnego dziecka. Byłem gotowy na ojcostwo. Kiedy mnie zapytały, czy zostanę ich ambasadorem, bez namysłu odpowiedziałem „tak”. Dzisiaj jesteśmy przyjaciółmi. Zrobiłem z nimi różne kampanie, pomagałem zbierać jeden procent z podatków. Akurat wtedy wymyśliliśmy bal charytatywny i licytację. Impreza miała się odbyć w Mińsku dzień przed naszym wyjazdem, rano mieliśmy samolot do Seulu.

Marcela powiedziała, że sama pójdzie na kolejne badania, ja pojechałem do Mińska poprowadzić bal i licytację. Wszystko fantastycznie się udało, zebraliśmy ogromną sumę na licytacji. Dostałem w podziękowaniu wielki bukiet kwiatów. W euforii wracałem do domu z nadzieją, że dowiem się, że zostałem ojcem. Może zabrzmiało to dziwnie, ale w ogóle się nie bałem. Byłem przeschęśliwy, bardzo tego pragnąłem. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem, że Marcela płacze komuś do telefonu. Rozmawiała z moim ojczymem, któremu wysłała wyniki badań. Andrzej jako lekarz nie miał wątpliwości: „To ciąża, Marcela. Jesteś w ciąży”. Łzy jej kapwały, a ona powtarzała: „Jestem w ciąży. Ale jak to możliwe?”. No cóż... Usiadłem z tymi kwiatami i powiedziałem: „Kocham cię, nie martw się, damy sobie radę. Wiem, że mnie nie znasz. Mogę powiedzieć jedno: jestem szczęśliwy, marzyłem o tym, żeby mieć dziecko”.

Kiedy człowiek jest aktywny na mityngach i mówi o swoich uczuciach, to jest blisko siebie, blisko swoich pragnień. Teraz miewam okresy, kiedy popadam w pracoholizm i bywam daleko od siebie. Często nie wiem, czego chcę. Wtedy jednak bardzo dużo nad sobą pracowałem, intensywnie siebie słuchałem, wiedziałem, na czym zależy mi najbardziej. Kiedy tak siedzieliśmy na tej kanapie i ona płakała jak bóbr, ja byłem w euforii. Czułem, że Bóg to poukładał i tak miało być. Marcela była przestraszona. Miała dwadzieścia pięć lat. Dzisiaj kobiety rodzą późno, wiele jej koleżanek w ogóle nie ma dzieci i nie chce mieć. Ta niezaplanowana ciąża wywracała jej życie do góry nogami. Rozumiałem to. Kiedy jej koleżanki i znajomi dowiedzieli się, że jesteśmy razem, ostrzegali ją: „Przecież to narkoman, oszołom, zostaw go!”. Opowiadali jej o moich wyczynach. Mnóstwo ludzi pamiętało mnie z poprzedniego życia. Poza tym byliśmy razem dopiero dwa miesiące. Nawet nie potrafiła wyobrazić sobie naszego wspólnego życia z dzieckiem. A ja tak. Pamiętam dokładnie, co jej wtedy mówiłem: „Słuchaj, wiem, że nie mogę cię zmuszać. Jeżeli nie chcesz tego dziecka, nic nie mogę zrobić. To jest twój wybór. Ty będziesz nosić to dziecko pod sercem”. Ale Marcela od razu odpowiedziała, że w ogóle nie myśli o przerwaniu ciąży. Kiedy to usłyszałem, zapewniłem ją, że zrobię wszystko, żeby otoczyć ją i dziecko miłością i poczuciem bezpieczeństwa. I to było szczere. Nie było w tym żadnego zawahania, żadnych wątpliwości i myślę, że mój entuzjazm też zaważył na tym, że poczuła się pewniej.

Na drugi dzień rano wsiedliśmy do samolotu. Lecieliśmy całą noc, nad ranem wylądowaliśmy w Seulu. Niesamowitej, zatłoczonej, ogromnej stolicy, w której nie było żadnego drzewa, tylko beton i szkło. Zostawiliśmy rzeczy w hotelu i poszliśmy do Starbucksa. Siedzieliśmy nad kawą, patrzyliśmy na ludzi i oboje nie mogliśmy uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Marcela wciąż była w szoku, że będzie mamą, mnie rozsadzała radość, że będę tatą. Oboje byliśmy oszołomieni, że w takiej chwili jesteśmy w Korei. To było abstrakcyjne uczucie i abstrakcyjne wydarzenie w naszym życiu.



Pamiętasz coś z tamtej podróży?

O dziwo, pamiętam wszystko z detalami. Spędziliśmy razem wspaniały czas. Zwiedziliśmy Gyeongbok Palace, ogromny kompleks pałacowy składający się z kilkudziesięciu mniejszych i większych budowli i dziedzińców. Podobno w czasach jego największej świetności było tych elementów ponad trzysta. To największy z seulskich pałaców. W drodze powrotnej złapała nas ulewa. Zobaczyliśmy przed sobą piękny szklany wieżowiec, który wyglądał jak galeria, wbiegliśmy więc do środka. Okazało, że to jest teatr musicalowy i za chwilę zaczyna się przedstawienie. Kupiliśmy bilety i weszliśmy na widownię trzy razy większą od Sali Kongresowej, wypełnioną po brzegi. Na scenie stu artystów w tradycyjnych kostiumach tańczyło, skakało, latało, śpiewało. Nic nie rozumieliśmy, z naszego rzędu postacie wyglądały jak mrówki, a mimo to przez dwie godziny śledziliśmy akcję zahipnotyzowani egzotycznym pięknem tej opowieści.

Kolejnego dnia trafiliśmy do dzielnicy Gangnam, która stała się popularna dzięki hitowi *Gangnam style*. Stoi tam ogromny złoty pomnik w kształcie rąk ułożonych jak do tańca z tego kiczowatego teledysku. Okazało się, że to dzielnica butików największych marek modowych, najmodniejszych klubów i nowoczesnych drapaczy chmur. Wieczorem roіło się w niej od młodych ludzi szukających atrakcji. Pamiętam, że Marcela próbowała tam zjeść tradycyjne bulgogi, marynowaną wołowinę wrzucaną na grill, ale skończyło się na tym, że przez cały pobyt jadła głównie ryż.

Godzinami na piechotę zwiedzaliśmy miasto. Chcieliśmy wszystko zobaczyć, poczuć, wchłonąć. Nie wiem, czy to było mądre, żeby w ciąży aż tak się forsować, ale byliśmy tacy zajarani, tacy szczęśliwi! Zatopiliśmy się w tej egzotyce i zapomnieliśmy o stresie związanym z tym, że zostaniemy rodzicami. To była superpodróż. Bardzo nas zbliżyła.

A potem wróciliście do rzeczywistości.

I od razu wrócił lęk. Marcela, jak pewnie większość kobiet w jej sytuacji, cały czas korzystała z porad doktora Google'a. Od razu kazała mi zrobić badania na HIV, HCV i wszystkie inne możliwe wirusy. Wcześniej już je kilka razy robiłem w różnych ośrodkach odwykowych, gdzie jest to standardowa procedura ze względu na bezpieczeństwo pacjentów.

Mimo wszystko bałeś się, czekając na wynik?

Tak, bałem się. Oczywiście. Zawsze pod skórą jest lęk. Ale mój największy strach wiązał się z czymś innym – ze zmianami w psychice, w mózgu, w kodzie DNA. Przez dwadzieścia jeden lat wprowadziłem do swojego organizmu niezliczone ilości różnych substancji: od marihuany, przez kokainę, heroinę, amfetaminę, mefedron, po syntetyki, które powodują nieodwracalne zmiany w mózgu. Wielu moich kolegów, którzy przeżyli, ma zdiagnozowaną psychozę, schizofrenię, przewlekłą depresję lub przedwczesną demencję. Leczą się psychiatrycznie i muszą

być na lekach do końca swoich dni. Tego, tak naprawdę, panicznie się bałem. Że moja przeszłość dogoni moje dziecko. Że mój syn zapłaci, tak jak ja troszkę zapłaciłem, za błędy swojego ojca.

Rozumiem twój lęk. Jako matka potrafię sobie wyobrazić te najgorsze wizje, które snułeś... I wiem, jak się czułeś. Mówisz: „mój syn”. Wiedzieliście, że to będzie chłopiec?

Nie, ale... Marcela bardzo chciała mieć chłopca. „Broń Boże dziewczynka!” – mówiła, bo z dziewczynami nigdy się nie dogadywała. Była chłopczycą. Od dziecka mnóstwo czasu spędzała w warsztatach samochodowych ojca i właściwie wychowała się w męskim towarzystwie. Pewnego wieczoru zaczęliśmy rozmawiać o imieniu dla dziecka i Marcela powiedziała: „Nazwijmy syna Fryderyk”. Nie miała pojęcia, że przez lata chodziłem pod pomnik Fryderyka Chopina w parku Południowym we Wrocławiu.

Ja też nie miałam pojęcia, bo nie opowiadałeś mi o tym.

Tak było. Siadałem pod pomnikiem i zwierzałem się Fryderykowi. Był moim milczącym przyjacielem na dobre i na złe. Wysłuchiwał mnie w momentach ogromnego cierpienia i wielkiego szczęścia. Kiedy zażywałem i kiedy budowałem życie na nowo. Znał moje największe tajemnice. Przy kolejnym wyjeździe do Wrocławia na plan serialu poleciałem więc do parku i z Fryderykiem – pomnikiem – podzieliłem się swoją radością. Przyznam, że do dziś te wizyty sprawiają mi ogromną przyjemność. Nie mogę się doczekać dnia, kiedy pokażę pomnik mojemu synowi. Często widuję tam bawiące się dzieci, które uwielbiają wdrapywać się na mistrza. Marzę o tym, żeby mój Frysio usiadł Fryderykowi na kolanach. Zresztą Chopin w naszej rodzinie zawsze był wielbiony. Jego muzyka przewija się w wielu filmach ojca, na czele z *Dniem świra*, gdzie pojawia się *Marsz żałobny* i *Etiuda rewolucyjna* w brawurowym wykonaniu Mariàna Pivki.



W czasie trwania ciąży bardzo często chodziliśmy na koncerty. Marcela uwielbia muzykę fortepianową Hansa Zimmera czy koncerty z muzyką filmową Ennio Morricone. W każdym mieście, które odwiedzaliśmy, sprawdzaliśmy repertuar filharmonii i kupowaliśmy bilety. W tamtym czasie dużo grałem i Marcela często jeździła ze mną do Wrocławia. Przyjaźniłem się z reżyserem *Pierwszej miłości*, którego partnerka była szwenkierem, czyli stała z nim za kamerą. Oni też spodziewali się pierwszego dziecka. Często spotykaliśmy się w czwórkę. Któregoś razu powiedzieli nam, że wieczorem wybierają się na koncert Leszka Możdżera do Narodowego Forum Muzyki, nowoczesnego, otwartego zaledwie dwa lata wcześniej kompleksu sal koncertowych. Zapaliłem się, bo jeszcze tam nie byłem, a Możdżera uważam za jednego z najwybitniejszych

współczesnych pianistów polskich. Od dawien dawna jestem jego fanem, podobnie jak Chopina. Powiedziałem: „Super, to my też pójdziemy”. Okazało się, że bilety zostały wyprzedane kilka miesięcy wcześniej. Nie mając nic lepszego do roboty, postanowiliśmy odprowadzić znajomych na koncert, a przy okazji spróbować szczęścia. W kasie oczywiście usłyszałem, że biletów nie ma. Już się żegnaliśmy, kiedy wpadła zziębnięta babka i powiedziała do kasjerki, że ma dwa bilety do oddania. Stałem obok i od razu zaproponowałem, że je odkupię, ale kiedy pani zobaczyła Marcelę w ciąży, dostaliśmy je w prezencie. Powiedziała: „Byłam zła, że nie możemy pójść z mężem, a teraz jestem szczęśliwa, że dzięki temu wy ten koncert usłyszycie”. Życie pisze najpiękniejsze scenariusze.

Koncert był fantastyczny. Marcela pierwszy raz w życiu zobaczyła wybitnego pianistę grającego na bosaka. Tak się nim zachwyciła, że po koncercie powiedziała: „Muszę się zapisać na lekcje gry na pianinie”. Faktycznie, przez całą ciążę chodziła na zajęcia i ćwiczyła.

Frysio urodził się osiemnastego października 2017 roku. W dniu śmierci Fryderyka Chopina.



Puenta tej historii wydarzyła się dwa lata później. Pewnej niedzieli Facebook – jak to ma w zwyczaju – wysłał mi przypomnienie, że tego dnia, dwa lata wcześniej, byliśmy na tym koncercie. Wyświetliło mi się zdjęcie Marceli w ciąży przy fortepianie Możdzera, które zrobiliśmy po koncercie. Aż mnie przeszły dreszcze, jak to zobaczyłem, bo wieczorem leciałem do Wrocławia na zdjęcia. Wsiadłem do samolotu i w jednym z pierwszych rzędów zobaczyłem... Leszka Możdzera. Nie wierzyłem własnym oczom! Od razu się nakręciłem. Akurat tak się złożyło, że

wcześniej byliśmy w Stanach z filmem *Siedem uczuć* i zachwyciłem się tamtejszą otwartością. Ludzie byli przyjacielscy i bez ceregieli nawiązywali kontakt. Pomyślałem, że to jest strasznie fajne, i się tym zaraziłem. Kiedy zobaczyłem Możdżera dwa metry ode mnie, uznałem, że to nie jest zwykły zbieg okoliczności. Po prostu muszę mu to wszystko opowiedzieć. Podszedłem do faceta i powiedziałem: „Słuchaj, nie znamy się. Misiek Koterski. Mogę się przysiąc na chwilę? Chciałem ci coś opowiedzieć”. Popatrzył na mnie lekko zdziwiony, ale odparł: „Proszę”. No to zacząłem: „Bo my z moją Marcelą jesteśmy twoimi fanami. Wyobraź sobie, że dwa lata temu byliśmy na twoim koncercie w Forum Muzyki, a mój syn Fryderyk urodził się w dniu śmierci Chopina, a kiedy moja kobieta była w ciąży, ciągle chodziliśmy na koncerty fortepianowe, a teraz Frysio uwielbia muzykę...”, i tak przez czterdzieści minut nawijałem, bo tyle trwał lot do Wrocławia. Parę razy udało mu się coś wtrącić. Pięć minut przed lądowaniem Możdżer stwierdził: „Wobec tego trzeba kupić pianino. Fryderyk musi grać”. Ja na to: „No tak, ale ja się na tym nie znam”. „Zapisz mój numer, pomogę ci”. Wymieniliśmy się numerami, walnęliśmy wspólną fotkę i każdy poszedł w swoją stronę. Po powrocie do hotelu wrzuciłem zdjęcia na Instagram, opisałem nasze spotkanie i dostałem wiadomości: „Wiemy, wiemy. To świetna historia, panie Michale. Wszyscy ją słyszeliśmy w samolocie”. Tak byłem podekscytowany spotkaniem z Możdżerem, że darłem się na cały samolot i nawet tego nie zauważyłem.

Rano miałem zdjęcia, ale po zdjęciach poleciałem pod pomnik Chopina: „Czy ty sobie wyobrażasz, Fryderyku, taki numer, że spotkałem wczoraj w samolocie Możdżera...”. Opowiadam, opowiadam, a tu nagle SMS. Patrę, a tam: „Pianino białe czy czarne?”. Odpisuję: białe. „Matowe czy lśniące?” Matowe. Po chwili nadeszła kolejna wiadomość: „Zadzwoń teraz do tego gościa. Wszystko jest już obgadane, to mój serdeczny przyjaciel, on ci pomoże”. Zadzwoniłem spod pomnika: „Dzień dobry...”. A on: „Leszek już mi wszystko opowiedział. Zaraz panu wyślę kilka propozycji, niech pan sobie jedną wybierze”. Wybrałem pianino, rozłączyłem się i dalej opowiadałem tę całą historię Fryderykowi. I wtedy stało się

coś niesamowitego. Wiele lat chodziłem pod ten pomnik, ale dopiero teraz zauważyłem, że na wielkim krześle, na którym siedzi Chopin, jest odciśnięty stempel z Matką Boską trzymającą Jezusa na rękach. Ni stąd, ni zowąd to zobaczyłem. Nagle mnie olśniło, że przez te wszystkie lata za pośrednictwem Fryderyka Chopina rozmawiałem z Jezusem. Strasznie mnie to poruszyło. Na drugi dzień rano zadzwoniła Marcela: „Słuchaj, Michał, jacyś faceci dzwonią domofonem i mówią, że przywieźli pianino. To chyba pomyłka, ale oni się upierają, że ty wiesz, o co chodzi”. Uspokoilem ją, że to Moździerz pianino dla Frysia załatwił. I opowiedziałem jej całą historię. Była w szoku.

Chciałem Frysia od razu wysłać na lekcje, ale miał dwa latka i pani, z którą rozmawiałem, rozsądnie mi powiedziała, że owszem, w Japonii rodzice katują dzieci już od tego wieku, ale ona radzi poczekać i pozwolić mu bawić się instrumentem. Tak zrobiliśmy. Frysio uwielbia grać. Często gra dla mnie koncerty. Siada przy pianinie, otwiera klapę i pyta: „Jaką ci, tata, zagrać piosenkę? Smutną? Wesołą? Czy strasną?”. Ja mówię, że strasną. No i on gra, gra, gra i gra. Po swoim, oczywiście. Jest przyzwyczajony, że zawsze biję mu brawo. Gdy czasami zdarza mi się przysnąć, woła: „To jus koniec był. Bij brawo!”. I ja biję.

ROZDZIAŁ 12

„HISTORIA ŻOŁNIERZA”, ADAŚ MIAUCZYŃSKI, INFORMACJA O WNUKU I NAGRODA

Kocham te twoje dygresje, ale wróćmy grzecznie do chronologii zdarzeń. Frysia nie ma jeszcze na świecie, Marcela jest w ciąży, a ty dostajesz kolejną propozycję od Michała Znanickiego.

Michał zadzwonił i powiedział: „Przyjeżdżam do Polski. Tym razem przygotowuję spektakl *Sen nocy letniej: Historia innego żołnierza*. Będziemy występować z więźniami. Namówiłem już twoich rodziców, Marka i Małgosię, będą wybitni śpiewacy operowi, a dla ciebie mam propozycję głównej roli”. Zaskoczony, zapytałem, o czym w ogóle będzie ta opowieść. „Jest osnuta na kanwie dramatu Kurta Vonneguta »Historia żołnierza« – mówi – i ty zagrasz tytułowego żołnierza”. Zamurowało mnie.

Akurat w tym czasie mój ojciec skończył pisać scenariusz do filmu *Siedem uczuć* i zadzwonił do mnie: „Michał, będzie tam coś dla ciebie do grania”. Ojciec, jak to miał w zwyczaju, w swojej głowie obsadził niemal wszystkich aktorów i pisał pod nich, ale nie miał jeszcze Adasia Miauczyńskiego. Myślę, że w pierwszej wersji miałem grać ojca Miauczyńskiego, bo takie było założenie: żeby młodszy aktorzy grali rodziców tych starszych. Później przyznał, że rozmawiał o mnie z Małgosią, zwierzał jej się: „Widziałem Michała w różnych odsłonach komediowych, ale nigdy w roli dramatycznej. Nie znam go od tej strony i nie wiem, czy poradziłby sobie w takiej roli”.

„Historia żołnierza” to opowieść oparta na prawdziwej historii młodego rekruta armii amerykańskiej polskiego pochodzenia, który nienawidzi wojny i zabijania, odmawia użycia broni i zostaje skazany przez sąd wojenny na śmierć. Wzruszająca, niesamowita rola dramatyczna. Bałem się oczywiście, ale miałem ogromne zaufanie do Michała, rok wcześniej mnie poprowadził, wiedziałem, że teraz też mi pomoże. Wszystko rozgrywało się w tym samym zamku w Leśnicy. Scenografia była obłądna. Tak naprawdę przerażała mnie tylko jedna scena i – o dziwo – mój lęk nie dotyczył samego grania. Pod koniec spektaklu, stojąc na ogromnym kontenerze, wygłaszam długi monolog, gadam, gadam, gadam, a potem nagle postrzelony spadam i na dole łapią mnie więźniowie. Jest to końcowa scena w spektaklu. Zwierzyłem się ojcu, że mam problem z tym pomysłem, i poprosiłem: „Może być Michała od niego odwiódł”. Zamiast tego ojciec porozmawiał z więźniami: „Michał, choćby ci goście mieli życie tam oddać, złapią cię. To jest dla nich kwestia honoru”.

Uspokoił cię?

Nie do końca. Na próbach nie odważyłem się skoczyć. Zrobiłem to dopiero na generalnej. Pamiętam to, bo miałem na ręku wielki zegarek, G-Shocka, i jak leciałem, to jednemu z więźniów przywaliłem tym zegarkiem w głowę. Krew trysnęła, załaza mu pół twarzy, a on tylko powiedział: „Misiek, nie przejmuj się, najważniejsze, że cię złapaliśmy”. Ostatniego dnia lipca 2016 roku odbyła się premiera. Zadziałała magia. Jestem wdzięczny Michałowi Znanięckiemu, że dał mi szansę, a losowi, że spotkałem go na swojej drodze. Michał pomógł mi się otworzyć. Zawsze maskowałem swoje uczucia, ukrywałem, co czuję. W show-biznesie zrobiłem karierę wariata, błazna, szajbusa, który niczego się nie boi, bo *non stop* jest nabuzowany i nafaszerowany różnymi substancjami. W terapii dowiedziałem się, że siła człowieka polega na mówieniu o emocjach, na pokazywaniu swoich uczuć. Nauczyłem się, że robiąc rzeczy, które budzą mój lęk, warto o tym mówić. Wtedy wszystko łatwiej mi przychodzi. Przed tymi twardełami z więzienia nie grałem kozaka, nie udawałem kogoś, kim nie byłem.

Kiedy im powiedziałem, że się boję, oni się tym naprawdę przejęli. To mi pomogło zbudować rolę. Skonfrontowany z własnymi uczuciami, poczułem swojego bohatera, zrozumiałem, co on przeżywał. Kiedy w zimie w Łodzi spałem na klatkach schodowych, skakałem po rusztowaniach naćpany substancjami niewiadomego pochodzenia, balansowałem na granicy, ocierając się o śmierć. Wypowiadając końcowy monolog, myślałem o tych chwilach cierpienia i osamotnienia, przypominałem sobie te wszystkie drastyczne sceny. Aż spadłem w dół, a moi koledzy więźniowie mnie złapali. To było dla mnie symboliczne. Publiczność zamarła. Był to poruszający, a zarazem przerażający moment, kiedy nagle aktor leci z takiej wysokości plecami do ziemi. Po spektaklu dostaliśmy owacje, Michał Znaniecki mnie wyściskał, a ojciec podszedł do mnie i powiedział wiekopomne zdanie: „Gratuluje. Właśnie zostałeś Adasiem Miauczyńskim”.



Szok i niedowierzenie? Czy euforia i erupcja radości?

Całe życie podpatrując mojego ojca, podpatrywałem też wielkich aktorów, którzy grali Adasia: Marka Kondrata, Wojciecha Wysockiego, Cezarego Pazurę, Andrzeja Chyrę, Adama Woronowicza. Przychodziłem na plan i patrzyłem zafascynowany, jak mój ojciec z nimi pracuje. Jak wiesz, słynał z tego, że zawsze sam pokazywał aktorom, jak zagrać bardzo trudne sceny. Nigdy nie zostawiał aktora samego. Aktorzy go uwielbiali, mimo że potrafił drzeć na nich mordę. Wiedzieli, że na planie daje z siebie tysiąc procent i tego samego oczekuje od nich. Gdy ojciec przesłał Markowi Kondratowi scenariusz do *Dnia świra*, Marek opowiadał, że

czytał pierwszą stronę i już miał ból żołądka. Budził się w nim Adaś i zaczynał wyżerać mu kiszki. Przebywanie w roli ma wysoką amplitudę emocjonalną. Człowiek wciela się w czyjeś życie i żeby być przekonującym, łapie cechy tej postaci albo w sobie szuka jakichś podobieństw. To jest bardzo niebezpieczne. W *Dniu świra* Marek krzyczał, że jeszcze jeden dzień na planie i zabije mojego ojca deską. Po *Wszyscy jesteśmy Chrystusami* nie chciał już występować, nie miał siły. Ja też czytałem wszystkie scenariusze. Czytałem *Życie wewnętrzne* i myślałem: „Może kiedyś ja?”. Czytałem *Nic śmiesznego* i myślałem: „Może kiedyś ja”. Czytałem *Ajlawju* – „Może kiedyś ja...”. Przy *Dniu świra* odgrywałem w głowie wszystkie sceny, które wypadły. Całe życie wyobrażałem sobie Adasia Miauczyńskiego i zawsze był ze mną. Ale wiedziałem jedno – nigdy go nie zagram, bo mój ojciec jest profesjonalistą. Sztukę kocha ponad wszystko, a Adaś Miauczyński jest jego ulubionym dzieckiem. Marzyłem więc, aż w końcu zacząłem trzeźwieć i... przestałem o tym myśleć. W opisywanym okresie byłem zaabsorbowany zupełnie inną rzeczą, czyli występem u Michała Znanieckiego, co też było spełnieniem moich marzeń. U wielkiego reżysera zagrałem pierwszą dużą rolę dramatyczną. Fakt, że bóg opery we mnie uwierzył, zbudował moje poczucie wartości. I nagle, w najmniej oczekiwanym momencie, mój ojciec podaje mi rękę i mówi: „Gratuluję. Właśnie zostałeś Adasiem Miauczyńskim”. I ja, pamiętam, zgłupiałem. Z jednej strony się ucieszyłem, a z drugiej pomyślałem: „Ja pierdołę, dlaczego on mi teraz to mówi, kiedy rozpiera mnie radość, że tak super zagrałem. Dlaczego on mi tę radość zabiera?!”. Przelecieli mi przed oczami ci wszyscy wielcy aktorzy, którzy grali Adasia, i sparaliżował mnie strach: „Przecież ja w ogóle się do tego nie nadaję. Całe życie o tym marzyłem, ale nie jestem w stanie tego zrobić. Nie ta liga. Nie ten poziom”. Pamiętam, że zmieniliśmy temat, pogadaliśmy i rozeszliśmy się do domów.

Dużo później ojciec mi opowiedział, że po tym moim słynnym monologu, kiedy już spadłem w ramiona kolegów więźniów, złapał Małgosię za rękę i mówi: „Mamy Adasia”. No i powierzył mi tę rolę. A ja... przez półtora miesiąca się do niego nie odzywałem.

Jesteś... niewiarygodny!

Byłem w szoku. Sparaliżowany. Ludzie pisali prace magisterskie na temat Adasia Miauczyńskiego. To postać kultowa, bohater kilku pokoleń, każdy z nas ma w sobie trochę z Adasia, a teraz wszystko spocznie na moich barkach? Nie miałem złudzeń. Wiedziałem, że jak tylko ta informacja pojawia się w mediach, to ludzie mnie zniszczą. Będą pisać: „Jak to możliwe, że kultową postać ma zagrać Misiek Koterski?! Ten głąb, ten narkoman, ten półdebil, ten nieuk?! Przecież to będzie katastrofa...”. Mówiłem do siebie: „Nie, nie, nie! Marzenie się spełniło, ale ja tego nie udźwignę”. Po ponad miesiącu zadzwonił do mnie ojciec: „Słuchaj, kurwa, co się z tobą dzieje?! Zaproponowałem ci główną rolę w moim filmie. Aktorzy w Polsce o tym marzą! Czekają całe życie na taką rolę, a ty się, kurwa, od miesiąca do mnie nie odzywasz?”. Wtedy zrobiłem to, czego nauczyłem się na terapii: po prostu powiedziałem swojemu ojcu, że jestem totalnie sparaliżowany ze strachu. Gadałem chyba godzinę. Ojciec mnie wysłuchał i powiedział: „Michał, znasz mnie. Gdybym nie był przekonany na sto procent, że dasz sobie radę, nigdy bym ci tej roli nie zaproponował”.

W tej kwestii zawsze mu wierzyłem.

Przeczytałem scenariusz *Siedmiu uczuć* i się zachwyciłem. Jak zawsze. Pomysł tego filmu polegał na tym, że w role dzieci wcielają się dorośli, a nawet, że młodszy aktorzy grają rodziców starszych aktorów. I tak Joasia Kulig zagrała matkę Kasi Figury. Jeden z producentów po przeczytaniu scenariusza powiedział: „Marek, zwariowałeś, stare kobiety i faceci będą latać po szkole w mundurkach, siedzieć w ławkach i udawać uczniów? To niesmaczne”. A ojciec chciał uniknąć emocjonalnego patroszenia dziecięcych aktorów, stąd zrodził się ten szaleńczy pomysł. Jak wiesz, jest to opowieść o uczuciach, o piekle dzieciństwa, o tym, że rodzice – czasem świadomie, czasem nie – krzywdzą dzieci, o nieumiejętności rozmowy o uczuciach, o samotności, o nadmiernych ambicjach rodziców albo przeciwnie, o zupełnym braku zainteresowania. O ogromnej potrzebie czułości i bliskości. O tym, że te wszystkie braki z dzieciństwa, spychane wiecznie na

margines, w przyszłości położą się cieniem na całym naszym życiu i staniemy się dysfunkcyjni uczuciowo. Dziewięćdziesiąt procent ludzi nie potrafi mówić o uczuciach, przeżywać ich. Gdyby zapytać pierwszą z brzegu osobę, co czuje, nie będzie w stanie na to pytanie odpowiedzieć, bo nikt nas tego nie nauczył. Tę ułomność dziedziczymy z pokolenia na pokolenie.

Jedna z głównych zasad psychologii brzmi: „Możesz dać innym tyle, ile sam dostałeś”.

No właśnie. Pamiętam, że im intensywniejsze stawały się przygotowania do filmu, tym bardziej mój lęk narastał. Już nie tylko bałem się o to, czy mój syn urodzi się zdrowy, ale zadręczałem się pytaniami: jak go wychować, żeby był szczęśliwym człowiekiem? Jak go nie skrzywdzić? To mnie dobijało. Wieczorami leżeliśmy z Marcelą w łóżku i czytałem jej na głos cały scenariusz. Dotarłem do momentu, w którym mały Adaś całuje swoją opiekunkę po pupie. To piękna, metaforyczna scena o potrzebie bliskości i czułości. Przeszedłem chyba z pięć stron dalej, kiedy Marcela nagle zapytała: „Ale jak to całujesz ją w pupę? Czyją pupę? Która aktorka będzie to grała?”. Dostała ataku zazdrości, a ja zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie mam pojęcia. Nie pytałem ojca, ale jak go znam, pewnie już wybrał aktorkę. „Dowiedz się jutro, kto to jest – zarządziła. – Kogo będziesz całował po tej pupie”. Nie wierzę w zbiegi okoliczności, uważam, że Pan Bóg wszystko zaplanował. Zapytałem ojca, kto gra opiekunkę, odpowiedział, że kiedy występowałem w *Tańcu z gwiazdami*, wypatrzył tam młodą gwiazdeczkę z idealnym tyłkiem. Z reżyserem obsady zadzwonili do niej, a ona kazała im się skontaktować z agentką. Z największymi aktorami zawsze rozmawiał osobiście, więc wkurzył się i ją skreślił. „Czytałem wczoraj Marceli scenariusz – mówię – i ona wpadła w paranoję, czyją pupę będę całował”. „Ooooo, ty wiesz, że to jest dobry pomysł! – ojciec na to. – Nie ma przypadków. Niech ona to zagra”. Zdębiałem: „Przecież ona nigdy nie grała!”. „Ale co z tego? Zapytaj Marceli, czy by nie chciała”. Z ręką na sercu przyznaję się, że wcale nie byłem taki chętny. W tej scenie naprawdę trzeba świecić gołą pupą. „I cała Polska będzie oglądać moją pupę” – pomyślałem.

No zaraz, nie twoją pupę, tylko Marceli pupę!

Każdy mężczyzna myśli, że pupa kobiety, którą kocha, to jest jego pupa. Człowiek zawsze rości sobie prawo do drugiego człowieka. Bardzo ze sobą walczyłem: powiedzieć czy nie, że jest taka propozycja, bo zazdrość mnie zżerała. W końcu się przełamałem. Marcelka była zachwycona: „Zagrać u twojego ojca to zaszczyt. To będzie pamiątka na całe życie”. Próbowałem ją zniechęcić, nie będę udawał świętego, podkreślając, że każdy facet zobaczy jej nagi tyłek, ale się nie udało. Odpowiedziała, że to jest sztuka, a nie sesja do „Playboya”, którą zresztą kilka razy jej proponowano, ale zawsze odmawiała. Byłem podłamany, a tato wręcz przeciwnie: „Cudownie. Bardzo się cieszę, że tak to się rozwiązało”.



Pamiętam, że to był dla mnie niesamowicie trudny okres. Marcela w ciąży, zaraz miał się w naszym życiu pojawić nowy człowiek. Scenariusz budzący demony, na planie same gwiazdy, najlepsi polscy aktorzy, z którymi miałem grać.

Znowu z całą siłą powrócił lęk, czy ja to udźwignę, czy nie zbłąźnię się na oczach całej Polski. W *Siedmiu uczuciach* gram czterolatka, dwunastolatka i dorosłego faceta. Pomyślałem, że chciałbym pobyć trochę z dziećmi, wrócić do szkoły, przypomnieć sobie, jak to jest być uczniem, poczuć szkolny zapach. Od jakiegoś czasu byłem zaprzyjaźniony z salwatorianami, którzy w Wojskowej Akademii Technicznej prowadzą popularne rekolekcje. Zaprosili mnie kiedyś na spotkanie z cyklu dni młodzieży, żebym dał świadectwo, czyli opowiedział o swoim życiu z Bogiem. Nie zapomnę tej chwili nigdy. Wszedłem do kościoła i zobaczyłem, że w ławkach siedzą same dwunastolatki. Szarańcza. Słyszeć było tylko: szszsz szszsz szszsz szszsz; trajkotali, pytlowali i jednocześnie grzebali w telefonach. Poczuję się jak stary dziad. Pomyślałem, że większość z nich nie ma pojęcia, kim jestem, bo mają swoich idoli na YouTube. I tak było. Jeden z zakonników uciszył ich i powiedział: „Dzień dobry, powitajcie pana Michała. Wielu z was na pewno go zna”. Cisza. Patrzyli na mnie, jakby widzieli mnie pierwszy raz na oczy. Wtedy się przeraziłem. Nie tym, że dwunastolatki mnie nie znają, tylko tym, co ja w ogóle tam robię! Tak się składało, że to było moje pierwsze w życiu świadectwo i od razu do tak młodych ludzi. Pod pretekstem skorzystania z toalety pobiegłem do zakrystii, padłem na kolana i zacząłem się modlić: „Panie Boże, proszę Cię z całego serca, daj mi siłę, żebym przemówił do tych dzieciaków i nie skrzywdził ich swoją opowieścią”. Wróciłem do kościoła, usiadłem na schodkach pod amboną, wziąłem mikrofon i zacząłem opowiadać. Kiedy skończyłem, czułem się jak w transie. W kościele panowała kompletna cisza. Oddałem mikrofon, a zakonnik mnie pyta: „Jak ty to zrobiłeś?! Od pięciu dni prowadzimy te rekolekcje, a oni w ogóle nie chcą nikogo słuchać. Po pięciu minutach jest: szszsz szszsz szszsz, i zaczynają gadać. A ciebie słuchali przez godzinę jak zahipnotyzowani”. Wtedy po raz pierwszy do mnie dotarło, że dorośli nie traktują dzieci poważnie. Każdy im mówi, co mają robić, co mają myśleć, i traktuje ich protekcjonalnie. Ja im nie mówiłem, co mają robić. Po prostu podzieliłem się z nimi historią swojego życia w wersji *soft*. Opowiedziałem ją tak, jakbym opowiadał dorosłym ludziom, z całym zaangażowaniem. I one to doceniły.



Czytając scenariusz *Siedmiu uczuć*, przypomniałem sobie o salwatorianach. Wiedziałem, że wielu z nich uczy w szkołach religii, więc zadzwoniłem i poprosiłem o pomoc. Ojciec Wojtek porozmawiał z dyrektorką podstawówki, w której uczył, i dostałem zgodę na udział w kilku lekcjach. Wyobraź sobie, że kiedy po prawie trzydziestu latach, jako dorosły facet, przekroczyłem próg szkoły, od razu poczułem w żołądku znajomy ścisk, który sprawił, że ledwo oddychałem.

Tak zwany jeź w żołądku. Powrócił do mnie cały koszmar dzieciństwa. Nienawidziłem tego uczucia. Na szczęście zadzwonił dzwonek, usiadłem w ostatnim rzędzie i zaczęła się lekcja. Akurat omawiane było przykazanie szóste: „Czcij ojca swego i matkę swoją”. To były małe skrzaty, jedenasto- czy dwunastolatki, a ojciec Wojtek rozmawiał z nimi bardzo serio. Tłumaczył im: „Szacunek do mamy i do ojca nie polega tylko na tym, żebyście wy ich słuchali. Polega też na tym, żeby oni was słuchali, kiedy do nich mówicie. Żebyście nie bali się ani nie wstydzili opowiedzieć im o swoich potrzebach, o swoich smutkach, o swoich radościach, o swoich uczuciach”. Byłem zachwycony jego podejściem. Pamiętam, że jedna mała dziewczynka podniosła rękę i powiedziała: „Proszę księdza, my się staramy rozmawiać z naszymi rodzicami, ale oni nas w ogóle nie słuchają”. I to mnie poraziło. Miała dwanaście lat, a była bardziej dojrzała i kumata niż jej rodzice. Dotarło do mnie, że to nie są dzieci, tylko ludzie, którzy wiedzą, czego pragną, a traktowani są przez nas, dorosłych, z góry. Zresztą przyznam się, że sam miałem takie podejście: „A co niby taki maluch może wiedzieć o życiu?”. Dzisiaj, mając tę wiedzę, nie lekceważę drugiego człowieka, w jakimkolwiek by był wieku. Jego uczucia, potrzeby i pragnienia są tak samo ważne jak dorosłych. Pamiętam o tym, kiedy mój Frysiu bawi się swoimi ludzikami i przeżywa ich losy. Czasami nie chce mi się już tego oglądać, ale zawsze wtedy myślę, że jest to dla niego tak samo ważne jak dla mnie występowanie w filmie albo na scenie.

Bardzo mi te spotkania z dziećmi pomogły.

Andrzej Chyra w wywiadach mówił: „Radzę, żeby wszyscy rodzice poszli na ten film. To jest film o tym, że rodzicielstwo nie jest idealne i nie ma szansy, żeby takie było. Ale zawsze możemy coś w sobie ulepszyć. Warto. Dla dobra naszych dzieci”.

Święte słowa! Po *Dniu świra* i *Wszyscy jesteśmy Chrystusami* ojcu po raz kolejny udało się trafić w nasz słaby punkt. Najpierw jednak musiałem się zmierzyć z kultowością Adasia Miauczyńskiego. Na planie miałem stanąć obok najlepszych aktorów. Wiedziałem jedno – nie mogę dać się temu sparaliżować. Ojciec zawsze

powtarzał, że trzeba upuścić krwi. Pracowałem więc jak wariat. Przygotowywałem się najlepiej, jak umiałem. Wiedziałem, że aby im dorównać, muszę być krok przed nimi. Dałem z siebie wszystko. Od Marka Kondrata nauczyłem się, że przy budowaniu roli u Marka Koterskiego najważniejszy jest tekst. Trzeba precyzyjnie wykuć każde zdanie, co do przecinka i każdego zająknięcia. Dopiero jak wprowadzisz tekst do krwiobiegu, możesz swobodnie myśleć o swojej postaci, nic cię już nie rozproszy. Zanim zaczęły się próby, znałem tekst na blachę. Obudzony w środku nocy, mogłem recytować każdą scenę, nie popełniając przy tym żadnego błędu.

Podświadomie przygotowywałem się do tej roli przez lata, podpatrując Miauczyńskich w wykonaniu Kondrata, Pazury, Wysockiego, Chyry. Nikt z aktorów nie wiedział tyle o Adasiu Miauczyńskim co ja. Wiedziałem o nim wszystko. I wiedziałem, że to wiem. Czuję, że Adaś we mnie żyje. Wiedziałem też, jak grać. Nie miałem wątpliwości. Niepokój ojca budziły tylko dwie sceny. „Jak to zrobić – głowił się – że w pierwszej i ostatniej scenie masz zagrać przegranego gościa, a ty jesteś zwycięzcą? Dzisiaj jesteś trzeźwym człowiekiem, masz fantastyczną kobietę. Jak wobec tego uzyskać tę prawdę?”. Na początku zdjęć ojciec nie wiedział, że będę miał syna, nie powiedziałem mu, że Marcela jest w ciąży.

Próby odbywały się w Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych na Chełmskiej, producentem był Włodek Niderhaus. W środowisku do dziś się śmieją, że mój ojciec jako pierwszy w historii urządził casting na producenta. Wysłał scenariusz do pięciu producentów i powiedział, że robi film z tym, który da mu najlepsze warunki. Niderhaus zgodził się na wszystkie warunki ojca, z głównym na czele, czyli ośmiogodzinnym trybem pracy. Po ośmiu godzinach, nieważne, ile z zaplanowanych scen zostało zrobionych, wszyscy schodzili z planu. Teraz byłoby to już niemożliwe. Ojciec uważał, że aktorów nie można eksploatować. Przy tak trudnym filmie nie mogą być na planie dłużej niż osiem godzin, bo na trzeci dzień nic mu już nie zagrają. Do końca zdjęć muszą być w najwyższej formie.

Jak zawsze u ojca próby zaczęły się na kilka miesięcy przed zdjęciami. Najpierw każdy dostał list z życiorysem swojej postaci: kim jest, jakich miała rodziców, co przeżyła, a potem ojciec co jakiś czas wysyłał do każdego z aktorów maila, w którym tłumaczył, jak sobie wyobraża poszczególne sceny. Mówili, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyli. Na pierwszej wspólnej próbie czytanej byli wszyscy: Karolak, Mastalerz, Muskała, Cielecka, Chyra, Woronowicz, Więckiewicz, Ostaszewska, Figura, Dorociński. Plejada gwiazd i ja.



Jak opowiadał potem Robert Więckiewicz, aktorzy żartowali ponoć na planie, że Markowi Koterskiemu udało się rzecz niebywała – połączył Real Madryt z Barceloną. Dodam, bo to jest symboliczne, że na kilkunastosekundowe epizody zgodzili się Joanna Kulig, Magdalena Cielecka i Cezary Pazura...

Sam byłem w szoku... W każdym razie wszyscy byli na maksa zajarani scenariuszem. Mówili, że to jest najlepiej rozpisany scenariusz, jaki czytali. „Jaki jest wymetrowany! – zachwycał się Chyra. – To czysta matematyka”. Unosiła się nad nimi niesamowita aura, a jednocześnie widziałem, że patrzyli na mnie

z niedowierzaniem, jak na UFO. Myśleli, że stary Koterski zwariował, skoro do najważniejszej roli zaangażował syna. Miałem wrażenie, że Marcin Dorociński był zdziwiony faktem, że to ja gram Miauczyńskiego. Starał się ukryć, co myśli, ale widziałem to w jego oczach. Nikt nie mógł tego zrozumieć. Nie miałem do nich pretensji, bo sam sobie zapracowałem na taką opinię. Trudno, żeby myśleli o mnie inaczej. Wiedzieli, że dostali złote jajo, i bali się, że zaraz je stłukę. Otrzymali szansę zagrania w wyjątkowym filmie w pakiecie z gościem, który może im to spierdolić.

Ich uprzedzenia mnie mobilizowały. Czułem odpowiedzialność. Rozumiałem, że jako główny bohater muszę zrobić wszystko, żeby dać im poczucie bezpieczeństwa.

Pierwszą próbę pamiętam jak dziś. Cała plejada gwiazd w jednym rzędzie. Wszyscy czytali na przemian swoje kwestie, a kiedy dochodziło do mnie, mówiłem je z pamięci. Tylko ja i Andrzej Mastalerz nauczyliśmy się swoich ról. Wszyscy byli w szoku. Kiedy kolejny raz wyrecytowałem swoją kwestię, Chyra zwrócił się do mnie: „O kurwa, prymus się znalazł”. Na co Mastalerz śmiał się pod nosem: „Nie przejmuj się, to cieniasy”. Byłem perfekcyjnie przygotowany. Zawsze krok przed innymi, żeby choć na centymetr zbliżyć się do ich poziomu. I oni to widzieli. Na następny dzień wszyscy znali tekst na pamięć. Nie mówię oczywiście o kunszcie aktorskim, bo do tego było mi bardzo daleko, nie miałem ani ich doświadczenia, ani tylu wspaniałych głównych ról filmowych na koncie. To była moja pierwsza główna rola w filmie i bardzo chciałem, żeby poczuli, że mają do czynienia z profesjonalistą. A równocześnie czasami czułem się jak mały chłopiec otoczony idolami. Kiedy w czasie próby kamerowej pierwszy raz leżałem na kolanach Mai Ostaszewskiej, która grała moją mamę, nie dowierzałem, że to się dzieje naprawdę. Serce tak mi waliło, że o mało nie zemdlałem.

Któregoś dnia ojciec zarządził próbę na boisku szkolnym za wytwórnią filmów. Chyra, Dorociński, Figura, Muskała i cała reszta jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczęli skakać na skakankach, grać w klasy, wygłupiać się, gonić, przepychać, jakby ktoś ich katapultował do czasów dzieciństwa. Patrzyłem na nich

i myślałem, że tylko mój ojciec jest w stanie coś takiego uczynić. Z pierwszoligowych aktorów zrobił bandę niesfornych dzieciaków. Odał ich – jak by to ładnie ująć? – z monumentalności aktorskiej. I to było piękne. Tylko Robert Więckiewicz snuł się smutny i narzekał: „Kurwa, szkoda, że nie gram w tych scenach”. To mnie natchnęło i pomyślałem, że nasi bohaterowie są dziećmi i wcale nie musimy ich grać. Cały czas jesteśmy dziećmi, tylko udajemy dorosłych. Wciskamy się w ramy, zakładamy maski. Dopiero jak jesteśmy sami, to chlapiemy gdzieś w kąciuku.



W moich kolegach i koleżankach zobaczyłem te same lęki, jakie mieli, będąc dziećmi. Jesteśmy tak samo dziecinni, krusi i delikatni, tak samo potrzebujemy miłości, ale gramy dorosłych, bo zmusza nas do tego sytuacja: stajemy się pracownikami, rodzicami. W pewnym momencie zostajemy więźniami naszych własnych ograniczeń i umysłów.

Zdjęcia zaczęły się od słynnej sceny, w której Adam Woronowicz tłumaczy teorię względności na przykładzie palca w pupie. Scena genialna. Na początku były

śmichy, wygłupy, zdjęcia i selfiaki, ale jak usiedliśmy przy stole: ja, Więckiewicz, Ostaszewska, Herbuś, Simlat, Woronowicz i Iza Dąbrowska, i ojciec powiedział: „Akcja”, kamera ruszyła, dostałem ataku paniki i... przestałem oddychać. Więckiewicz to zauważył i mnie szturchnął: „Kurwa, oddychaj, bo zaraz tu zejdziesz”. Niewiele to pomogło. W ekstremalnym napięciu czekałem na jedno zdanie, które tam wypowiadam: „A co to jest prostytutka szute?”. Woronowiczowi fantastycznie szła ta scena, więc tylko modliłem się, żeby im tego nie spierdolić.

Kiedy w końcu powiedziałeś ojcu o ciąży Marceli?

Podczas jednej z indywidualnych prób wypaliłem prosto z mostu: „Słuchaj, Marek, muszę ci coś powiedzieć. Jest taka sprawa, że zostaniesz dziadkiem”. Wyglądał na zszokowanego. Nawet nie wiem, co mi odpowiedział. Mam poczucie, że wręcz wkurzył się czy raczej przestraszył, że się zamęt. Że oznajmiłem mu tę najważniejszą dla mnie nowinę w najmniej odpowiednim momencie – kiedy on robi film, a ja gram w tym filmie główną rolę. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby pomyślał, że to mu pokrzyżuje plany. To nie ta chwila. Po filmie tak, ale nie w trakcie. Ale brnąłem dalej: „Marek, czy zdajesz sobie sprawę, że twój wnuk i mój syn będzie pierwszym Koterskim, który urodzi się w trzeźwej rodzinie?”. To nim wstrząsnęło. Łzy mu poleciały, rozplakał się i mnie przytulił. Nagle zniknęło całe napięcie. Jakby ojciec zrozumiał, że jednak życie jest ważniejsze niż sztuka. I to było piękne. Pamiętam, jak potem dbał o Marcelę przy każdym ujęciu, podsuwał jej poduszki, kiedy leżała na brzuchu, troszczył się, co chwilę pytał, jak się czuje, czy nie jest zmęczona, czy zrobić przerwę. Swoją drogą, Marcela była tak piękna w tej scenie, że wszystkie chłopcy na planie się podjarały. Jurek Zieliński kadrował jej pupę z każdej strony, aż w końcu ojciec eksplodował: „Kurwa mać! To nie jest film o dupie, tylko o uczuciach”. Byłem zazdrosny, ale walczyłem z tym uczuciem. Marcela była szczęśliwa, a w jej brzuszku Fryderyk debiutował w filmie dziadka. To było magiczne i symboliczne. Myślę, że w filmie widać naszą bliskość i wyjątkowość momentu, w którym wtedy byliśmy w życiu.

Widać.

Przyznam, że ten film strasznie dużo mnie kosztował. Przygotowywałem się w taki sposób, żeby być tą postacią, a nie ją odgrywać. W dwóch scenach musiałem zaczerpnąć z siebie. Musiałem sięgnąć do najcięższych przeżyć ze swojego życia. Długo nie byłem na to gotowy. Wiedziałem, że jeśli mam się wbić w ten trans, będę cierpieć. Nie chciałem tego próbować, tylko od razu zagrać. Ojciec się martwił: „Michał, musisz znaleźć gdzieś ten ból, żebym uwierzył, że ty naprawdę przegrałeś życie. Bo ja ci – kurwa – na razie nie wierzę”. A ja mówiłem do niego: „Nie przejmuj się. Zaczną się zdjęcia, w końcu to zrobię”. I tak się stało, nadszedł ten dzień. Ojciec od rana był zdenerwowany, bo do końca nie pokazałem mu, jak to zagram, ale ja wiedziałem, co muszę sobie przypomnieć. Znow wróciłem do najmroczniejszych dni, kiedy brudny i wystraszony leżałem skulony na klatkach schodowych. Było tylko słycać, jak wiatr wieje i winda sunie po piętrach. Jak zaszczute zwierzę nasłuchiwałem, czy wjedzie na samą górę i będę musiał uciekać, czy będę mógł zostać do świtu. Myślałem, że tam zdechnę, że tam nastąpi koniec mojego życia.

Dla ojca to były kluczowe sceny. Poprosiłem go tylko o to, żebym całą swoją kwestię mógł powiedzieć w longu, a nie – jak jest w filmie – w kawałkach. Inaczej nie byłbym w stanie zapanować nad tymi emocjami. Ojciec się zgodził. Cała ekipa na mnie patrzyła i zastanawiała się, co będzie. Zapytałem tylko, gdzie mam patrzeć, i poleciałem. Powtórzyłem całość cztery razy z rzędu i skończyliśmy dzień zdjęciowy. To był najkrótszy dzień zdjęciowy w tym filmie. Ojciec się uśmiechał. Chyba sam nie mógł uwierzyć, że poszło tak wspaniale i tak szybko. Pierwszy dzień zdjęciowy, a ja od razu odpaliłem rakietę z najwyższej półki. Widziałem w jego oczach, że był ze mnie dumny. A cała ekipa nabrała do mnie szacunku. Ludzie przestali patrzeć na mnie jak na upośledzonego.

Co było dla ciebie najtrudniejsze w tym filmie?

Na pewno nie granie, bo z tego czerpałem ogromną przyjemność. Cieszyłem się na każdy dzień. Przychodziłem nawet w dni, w których nie miałem zdjęć, tylko po to,

żeby pobyć z ekipą, zobaczyć, co się dzieje na planie. Plan filmowy jest bezcenną lekcją dla każdego aktora. Człowiek patrzy na kilkanaście wybitnych jednostek i nagle zdaje sobie sprawę, że nie ma jednej metody aktorskiej. Każdy inaczej się nastrajał. Inną drogą wchodził w trans grania. Jedni grają bardzo delikatnie, tak jakby w ogóle nie grali, a potem, widząc ich na ekranie, zastanawiasz się, jak oni to zrobili. Inni mają więcej ekspresji. Robert Więckiewicz na planie gada i gada, i gada, i gada. Wydaje się, że jest kompletnie zdekoncentrowany, ale kiedy pada słowo „akcja”, gra tak niesamowicie, że buty spadają. Dziesięć osobowości, dziesięć metod. Byłem wdzięczny ojcu, że mogłem zobaczyć to na własne oczy, że podarował mi taki prezent.

Zapytałaś, co było najtrudniejsze. To, że po jakichś trzech dniach ojciec przestał mi udzielać jakichkolwiek wskazówek. Nic. Jakbym w ogóle nie istniał. Przychodził rano na plan i mówił: „Słuchajcie, kochani, to, co było na próbach, było na próbach. Teraz mam do was tylko jedną prośbę. Poddajcie się dzisiejszemu stanowi emocjonalnemu. Dzisiejszemu dniowi, dzisiejszej chwili. To, że wtedy zagraliście tak, a nie inaczej, nie znaczy, że dzisiaj czujecie to samo. Skontaktujcie się ze swoimi uczuciami. Nic mi tu nie grajcie, tylko dajcie się ponieść emocjom, które teraz wam towarzyszą”. A potem zajmował się wszystkimi aktorami, tylko nie mną. Czułem się jak małe dziecko odtrącone przez rodzica. Powtarzałem sobie, że w pracy nie jestem synem swojego ojca, tylko aktorem. Ale nie przynosiło mi to ulgi. Byłem zazdrosny o uwagę ojca okazywaną reszcie aktorów. Po każdym ujęciu dawał im różne uwagi, a mnie nie. Wraciałem do domu zatruty emocjami, z którymi nie wiedziałem, co zrobić. Kładłem się na kanapie i leżałem. Marcela coś do mnie mówiła, a ja warczałem: „Nie mów do mnie, bo nie jestem w nastroju”. Byłem nie do zniesienia. Ciągle się skarżyłem: „Ojciec dzisiaj gadał z Chyrą, a mnie w ogóle nie pochwalił”. A Marcela cierpliwie mi tłumaczyła: „Michał, czy ty sobie zdajesz sprawę, że twój ojciec dał ci główną rolę w swoim ukochanym filmie? Nie ma większej pochwały, jaką mógłbyś dostać”.

Miała rację!

Wiem. Wtedy jednak nic do mnie nie docierało. Przez cały film cierpiałem. Przedostatniego dnia zdjęciowego kręciliśmy scenę z *W pustyni i w puszczy*, ja grałem lwa, Andrzej Chyra grał Stasia, Katarzyna Figura Nel, Karolak małpę, a Dorociński Beduina. Tego dnia wydarzyły się dwie magiczne rzeczy. W jednej z przerw usiadł koło mnie Marcin Dorociński – ja w czapce lwa, on przebrany za Beduina – i mówi: „Słuchaj, Michał, muszę ci się do czegoś przyznać. Na początku myślałem, że twój stary zwariował, że ciebie obsadził w głównej roli. Bałem się, że będziemy się z tobą użerać. Pijany i naćpany, będziesz odpierdalał jakieś numery. Takie miałem o tobie zdanie. A teraz chciałem ci powiedzieć, że jestem pod ogromnym wrażeniem tego, co zrobiłeś, jak byłeś skupiony i przygotowany. Granie z tobą to była ogromna przyjemność”. Tak się wzruszyłem, że prawie się tam rozplakałem, a potem poleciałem po ojca i mówię: „Chodź, siadaj tu i posłuchaj, tato, co mówi o mnie ten wybitny aktor”. Poprosiłem rozbawionego Marcina, żeby powtórzył ojcu to, co przed chwilą od niego usłyszałem. „Zgadza się z tym. To jest rzeczywiście niesamowite” – powiedział tato. Zapytałem go wtedy, dlaczego poświęcał czas wszystkim aktorom, tylko nie mnie, i usłyszałem: „Bo nie miałem do ciebie żadnych zastrzeżeń. Żadnych uwag. Nie musiałem ci nic mówić”.



Druga niesamowita rzecz wydarzyła się po południu, podczas kręcenia sceny walki o serce Kasi Figury, w której Nel wybiera Gotta – tak ma na imię bohater Andrzeja Chyry – a mnie z żalu pęka serce. Po pierwszym dublu podszedł do mnie Andrzej: „Michał, to jest twój wybór, ale ja bym to zrobił tak, tak i tak”. Dał mi taką radę, wskazówkę, która eksponowała mnie kosztem jego bohatera, bo widział, że w ostatecznym rozrachunku tak będzie lepiej dla całej sceny. Potrafił zrezygnować z siebie na korzyść filmu. W drugim dublu zagraliśmy tak, jak zaproponował Andrzej. Ojciec krzyknął: „Cięcie!”, i przyleciał do nas ze łzami w oczach: „Muszę was przytulić. Dla reżysera to jest najpiękniejszy moment w realizacji filmu, kiedy jeden aktor potrafi oddać pole drugiemu z korzyścią dla sceny. Zamiast swojego ego wybiera film”. Pomyślałem, że na tym polega wielkość Andrzeja. To, że jest wybitnym aktorem, nie stało się przez przypadek. Odrobiłem ważną lekcję.

Dzień później skończyliśmy zdjęcia. Jeszcze długo byłem spięty i zmęczony na granicy zwariowania. Wreszcie zrozumiałem, co miał na myśli Marek Kondrat, mówiąc w jednym z wywiadów, że po *Dniu świra* przez pół roku nie mógł się pozbierać.

Na festiwalu filmowym w Gdyni ojciec dostał za *Siedem uczuć* Nagrodę Specjalną Jury. Liczyłeś na coś skrycie?

Pamiętam, że po pierwszej projekcji w Gdyni podszedł do mnie Więckiewicz z Natalią Adaszyńską, swoją żoną, i powiedzieli, że po tym filmie powinienem grać główne role. Byli pod wrażeniem, nie tylko oni zresztą. Mnóstwo ludzi do mnie podchodziło, gratulowało i czułem, że to jest szczerze. Więc tak, marzyło mi się, żeby dostać nagrodę za główną rolę. Móc wejść na scenę i powiedzieć ojcu to samo, co on powiedział mi, kiedy odbierał Złote Lwy za *Dzień świra*. Podziękować mu za wszystko. Historia zatoczyłaby koło. Ale tak się nie stało. Gdzieś tam w głębi serca myślałem, że ten film otworzy mi różne drzwi. Nie otworzył. Rozmawiałem dzisiaj o tym z ojcem na obiedzie. Powiedział mi tak: „Może taka jest nasza droga. Kiedy zrobiłem film *Dom wariatów* u mojego boga Krzysztofa Toeplitza, którego podziwiałem, nie zaliczono mi tego filmu. Dostałem za niego jedynekę. Dopiero kiedy Edek Kłosiński ze Sławkiem Idziakiem pocięli film na kawałki, przemontowali i wysłali nielegalnie na festiwal, który wygrałem, podniesiono mi ocenę na trzy. Zrobiłem *Życie wewnętrzne* – dostałem trzy minus. Dzisiaj w Filmówce na reżyserii rozkładają ten film kadr po kadrze i uczą się na nim, jak robić filmy. Kiedy zrobiłem *Nic śmiesznego*, opluli film i grali go tylko w DKF-ach. A kiedy dostałem Złote Lwy Gdańskie za *Dzień świra*, ten sam krytyk, który w »Wyborczej« dawał mi po dwie, trzy gwiazdki na dziesięć, biegł za mną i wołał: »Panie Marku, jestem pana fanem od pierwszego filmu«. Opowiadałem ci zresztą już tę scenę.

Na drugi dzień wracaliśmy z Marcelą do Warszawy, prowadziłem samochód, kiedy nagle przyszedł SMS. Andrzej Chyra do mnie napisał: „Wiesz co, Misiu? Myślałem wczoraj, że Ty dostaniesz nagrodę za główną rolę w *Siedmiu uczuciach*”.

To był najwspanialszy wyraz uznania od wielkiego aktora i człowieka, którego podziwiałem. Ten SMS był wart więcej niż jakiegokolwiek nagrody. Był bezcenny.

Miesiąc później przez przypadek zobaczyłem w internecie, że we Wrocławiu odbywa się siódma edycja Festiwalu Aktorstwa Filmowego im. Tadeusza Szymkowa. Zjechało się wiele gwiazd, między innymi Seweryn, Łukaszewicz, świętej pamięci Piotr Machalica, Więckiewicz, Kożuchowska, Chyra, Muskała, Seniuk, Nowicki, Linda... Smutno mi się zrobiło, że mnie nigdy na takie imprezy organizatorzy nie zapraszają. Pomyślałem: „Zawsze jestem pomijany i nieuznawany jako aktor”. Minęły cztery dni, wieczorem zadzwonił telefon i miły głos w słuchawce powiedział: „Dzień dobry, nazywam się Stanisław Dzierniejko. Jestem dyrektorem Festiwalu Aktorstwa Filmowego. Jesteśmy po naradzie jury. Dostał pan nagrodę za najlepszą rolę męską w filmie *Siedem uczuć*. Czy może pan jutro przyjechać do Wrocławia i ją odebrać?”. Niedowierzanie i szal radości! Przysłali po mnie samochód, zapakowałem smoking i pojechałem odebrać nagrodę. Okazało się, że przewodniczącym jury był jeden z moich idoli, wielki Szu Jan Nowicki, wybitny aktor, a jego członkami Robert Gonera, który rewelacyjnie zagrał w *Długu* Krzysztofa Krauzego, i Zbigniew Waleryś, fantastyczny mąż Papuszy w filmie Krauzego i jego żony Joanny Kos-Krauze. Świadomość, że nagrodziło mnie to wyśmienite towarzystwo, potęgowała ekscytację.



Galę w Teatrze Polskim prowadziła Ania Dereszowska z Robertem Gonerą. Był trzydziesty października 2018 roku. Złotego Szczeniaka za najlepszą drugoplanową rolę w *Siedmiu uczuciach* dostała Gabryś Muskała, a Łukasz Simlat za występ w filmie *Fuga* według – uwaga – scenariusza Gabrysi. W kategorii: pierwszoplanowa rola żeńska nagrodę dostała Magda Popławska za *53 wojny* Ewy Bukowskiej. Do nagrody za pierwszoplanową rolę męską nominowani byli: Chyra, Łukaszewicz i Woronowicz. Tych arcymistrzów pokonałem w tym wyścigu. Kiedy wyszedłem na scenę, poczułem się tak, jakby spłynęła na mnie jakaś łaska. Jakby Bóg w trzeźwym życiu co jakiś czas wynagradzał mi przeszłe cierpienia. Nie za często, żebym nie odleciał, bo mam tendencję do popadania w pychę. Wtedy wydaje mi się, że sam jestem bogiem. Dlatego Bóg mi te wspaniałe momenty dawkuje. Na scenie powiedziałem: „Tak jak Adaś Miauczyński chciał być szlachetny i silny jak Gary Cooper w westernie *W samo południe*, tak ja zawsze chciałem być Franzem Maurerem z *Psów*. Bohaterem złamanym, który zbłądził, ale w imię wyższych wartości wymierzył sprawiedliwość. Więc kiedy teraz nagrodę za główną rolę wręcza mi sam Bogusław Linda, spełnia się moje największe

marzenie”. Kiedy złapałem go za rękę, poczułem się tak, jakbym złapał Pana Boga. Po czym opowiedziałem na scenie znaną ci historię, jak to poszedłem z moim tatą do wytwórni filmowej w Łodzi, gdzie na słynnych schodach objawił się mój idol, boski Bogi. Ludzie na widowni słuchali jak zaczarowani, tylko Boguś spoglądał na mnie z tym swoim ironicznym półuśmiechem. Na pewno myślał: „Co on tu pierdoli...”.

Kiedy zaczął się recital Dereszowskiej, wymknąłem się do łazienki i w drodze powrotnej natknąłem się na korytarzu na Lindę. Dopadłem go i powiedziałem: „Nie wyobrażasz sobie, ile to dla mnie znaczy, jaka to radość! Naprawdę! Ja nawet pamiętam, jak ty wtedy byłeś ubrany! Miałeś kowbojki, piramidki i długi płaszcz prochowy. Przyjechałeś jaguarem”. Zobaczyłem w jego oczach błysk. W tym momencie uwierzył, jak ważne to było dla mnie wydarzenie. Uściskaliśmy się życzliwie i rozeszliśmy się. Po gali, kiedy emocje już opadły, wyszedłem sobie przed hotel zapalić, a tam już stał, zaciągając się papieroskiem, Jan Nowicki. Zapytałem go prosto z mostu: „Panie Janie, co tam się wydarzyło? Dlaczego ja?”. A on na to: „Kiedy cię zobaczyłem, pomyślałem: »Młody Sean Penn«. To jest to. Musiałem ci przyznać tę nagrodę, bo w tej roli byłeś objawieniem. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem”. Obok stał Stanisław Dzierniejko i przytakiwał: „To prawda, wszyscy głosowaliśmy na pana. Tylko Boguś Linda był przeciw. Mówił, że przecież Koterski nie jest aktorem. Ale potem stała się dziwna rzecz. Przyszedł do mnie po gali i powiedział: »Wiesz co, Stasiu, dobrze, kurwa, że jednak ten Koterski dostał tę nagrodę«”.

To była kropka nad „i”. Muszę przyznać, że jako osoba uzależniona i dorosłe dziecko alkoholika ciągle potrzebuję potwierdzenia, że coś jestem wart. Moje poczucie własnej wartości jest bardzo kruche. Wystarczy błahostka, na przykład fakt, że ojciec nie miał do mnie żadnych uwag na planie, i ja momentalnie czuję się niedoceniany czy pomijany. Do dziś tak mam. A z drugiej strony, jedna z kobiet, z którymi byłem w związku, powiedziała mi przy rozstaniu, że cały czas czuła się zdradzana. Zdradzana z narkotykami i z alkoholem. Przez to – tak samo jak ja – miała poczucie odrzucenia i totalnie zaniżone poczucie własnej wartości. Czuła się

niedoceniana. Nie rozumiałem tego, a przecież to było proste. Mówiła jasno: „Czułam się podle z myślą, że to jest dla ciebie na pierwszym miejscu. Zawsze wybierasz te substancje, a nie mnie”. Tak samo ja czułem się nieważny, kiedy mój ojciec wybierał alkohol, a nie mnie. Nie rozumiałem tego jako dziecko. A potem historia zatoczyła koło.

ROZDZIAŁ 13

SKOK NA *BUNGEE*, KOPNIAK OD GOŁOTY, MITYNG NA WYSPIE LANZAROTE I ROZSTANIE

Po Siedmiu uczuciach paradoksalnie wpadłeś w zawodową próżnię?

Tak. To było najdziwniejsze. Nic się w moim życiu nie wydarzyło. Grałem stare rzeczy, ale nie dostałem żadnej nowej roli, poza epizodem w jednym odcinku serialu *39 i pół*. Stało się natomiast coś innego. Wziąłem kredyt, dodałem wszystkie swoje oszczędności i zainwestowałem w mieszkanie, w którym teraz rozmawiamy. Po remoncie wyszedłem na zero. Pamiętam, że w październiku, kiedy dostałem nagrodę, byliśmy już wystrzelani z każdej złotówki. Rok wcześniej, zanim urodził się mój syn, proponowano mi udział w programie *Agent – Gwiazdy*. Wtedy odmówiłem, ale producenci odezwali się ponownie. Przyznam, że nie miałem na to specjalnej ochoty. W swoim poprzednim życiu brałem udział w różnych programach, wiedziałem, na czym to polega, już nie potrzebowałem takich atrakcji. Potrzebowaliśmy jednak pieniędzy. Porozmawiałem z Marcelą i wspólnie podjęliśmy decyzję, że pojedę na dwa tygodnie, bo na pewno dłużej i tak nie wytrzymam, trochę zarobię i wrócę. Jednym słowem, zmusiła mnie do tego sytuacja finansowa. Okazało się, że to był ostatni *Agent – Gwiazdy* i naprawdę były tam prawdziwe gwiazdy: Krystyna Czubówna, Andrzej Gołota, Edyta Górniak, Aleksander Doba – kajakarz, trzykrotny pogromca Atlantyku, Marysia Sadowska – reżyserka i piosenkarka. Byli też młodzi, ciekawi ludzie, jak Rafał Jonkisz, akrobata i mister Polski, Damian Kordas, najmłodszy w historii zwycięzca

MasterChefa, czy Angelika Mucha *alias* LittleMoonster96, jedna z najpopularniejszych influencererek. Spotkaliśmy się wszyscy na lotnisku w drodze na Wyspy Kanaryjskie. Były żarty, docinki i zakłady, kto z nas jest agentem. W pewnym momencie podszedł do mnie Damian Kordas i wyznał, że od dziecka jest moim fanem. W telefonie miał nasze wspólne zdjęcie. Kiedy był nastolatkiem, przyjechał do babci do Warszawy i dowiedział się, że w Teatrze Wielkim odbywa się impreza na piętnastolecie Polsatu, na której będę. Przeszedł tam po autograf i zdjęcie ze mną. Na wyjeździe od razu się zżyliśmy i zamieszkaliśmy w jednym pokoju. Czułem się przy nim bardzo swobodnie i bezpiecznie, bo był miłym, grzecznym i przebojowym człowiekiem. Nie wstydziłem się przy nim i codziennie rano i wieczorem się modliłem. Widziałem, że to wzbudza jego podziw.

Przyznam, że nie chciało mi się na poważnie tropić, kto jest agentem, ale Damian był bardzo ambitny. Śledził, inwigilował, sprawdzał i zapisywał każdy detal. Przed programem oglądał edycje z innych krajów i kiedy jechaliśmy wykonać zadanie, od razu był w stanie określić, jakie ono będzie. Po drugim tygodniu powiedział do mnie tak: „Słuchaj, Misiek, nic się nie martw, teraz nikt nie odpadnie, bo Edyta Górniak odchodzi z programu”. „Ale skąd to wiesz?” – byłem szczerze zdziwiony. „Sprawdziliśmy z LittleMoonster, że Górniak za dwa tygodnie ma zaplanowane duże koncerty, na pewno ich nie odwoła, bo zarabia na nich wielkie pieniądze”. Mieli taki research, że byłem w szoku. I rzeczywiście, po dwóch tygodniach Edytka oświadczyła: „Kochani, wybaczcie, odchodzę, zrobiłam już wszystko i udowodniłam, ile jestem warta, a teraz muszę wrócić do Alanka. Kocham was”.

Zanim odeszła, wszyscy skakaliśmy na *bungee*. Nasze pierwsze mordercze zadanie. Były z nami same ambitne babki. Pierwsza skoczyła Marysia Sadowska: ziuuu, poleciała, krzycząc ze szczęścia. Druga Czubówna: bała się, ale puściła się w przepaść. LittleMoonster też poleciała. Górniak przez godzinę przeżywała rozterki: skacze, nie skacze, może czy jednak nie może... a potem nagle wybiła się naprężona jak struna i jak ptak uniosła w powietrzu z taką gracją, jakby nic innego nie robiła, tylko skakała na *bungee*. A ja byłem przerażony. Całe życie

byłem tygrysem, który niczego się nie bał, a odkąd zacząłem trzeźwieć i urodził się Frysiu, zamieniłem się w małego kotka. Prawie wszystkie kobiety przede mną skoczyły, nie miałem wyjścia. Wiedziałem, że też muszę, inaczej będzie wstyd na całą Polskę. Ale nie mogłem się przełamać, czułem w środku ogromny strach. Wtedy jeden z ochroniarzy powiedział: „Dawaj, Siedem Uczuć, nie pierdol się! Skacz!”. W tej sekundzie pomyślałem: „Skąd facet na końcu świata wie o tym filmie?”. To odwróciło moją uwagę i skoczyłem.

Kiedy w kolejnym zadaniu Krystyna Czubówna o mało nie utopiła się na otwartym oceanie, postanowiłem wracać do domu. Uznałem, że dłużej nie wytrzymam.



I kto cię powstrzymał?

Damian. Przywiązał się do mnie i nie chciał, żebym odchodził. Od kiedy zgadaliśmy się, że Marysia jest agentem, i nasze podejrzenia się potwierdziły, Damian nie odstępował mnie na krok. Nie wiem dlaczego, ale wręcz mnie błagał, żebym nie odchodził. Mówił: „Będę ci czytał codziennie, co robił agent”.

I rzeczywiście, przed każdym testem czytał mi wszystkie swoje notatki. Tak doprowadził mnie do finału. Jako jedyny niczego nie zapisywałem, więc wszyscy myśleli, że to ja jestem agentem. Szczególnie uwierzył w to Andrzej Gołota. Chodził za mną krok w krok, przeszywał wzrokiem, wyciągał dwa palce i pokazywał na mnie i na siebie: „Mam cię na celowniku! Jesteś agentem! Ja to wiem”. Dla nas, chłopaków, Andrzej był legendą. Idolem. Jaraliśmy się tym, że możemy z nim przebywać. Najśmieszniejsze było to, że na początku nikt z nas go nie rozumiał. Andrzej coś mówił, a myśmy słyszeli tylko: wyziuwyziuwyziu, wyziuwyziuwyziu, bo ma silną wadę wymowy przez urazy, których doznał podczas walk. Widzowie w komentarzach pisali: „Puśćcie, do cholery, napisy! Przecież w ogóle nie wiadomo, co Gołota gada!”.

Któregoś dnia siedzieliśmy w hotelowej restauracji: ja, Andrzej i Aleksander Doba. Gadaliśmy, śmialiśmy się, oni polewali sobie wino. Dołączył do nas spóźniony i głodny Jonkisz, który jeszcze nie jadł kolacji. Kelner rozwiął jego nadzieję. Obcesowo zakomunikował, że kuchnia jest już zamknięta i dostaniemy dopiero śniadanie. Jonkisz skulił się jak mały, zbity piesek, a Gołota, który milcząco przyglądał się całej sytuacji, nagle wstał, ruszył do baru, położył swoje łapsko na ramieniu naszego kelnera i wyśpiewał: „Wyziuwyziuwywyż, wyziuwyziuwywyż...”. Potem wrócił i usiadł przy nas jak gdyby nigdy nic. Do dziś nie wiemy, co mu wtedy powiedział, w każdym razie po dziesięciu minutach kelner przyleciał z posiłkami i kilkoma butelkami wina. Nie dodałem, że w programie była z nami Mariola, żona Andrzeja. Na drugi dzień, kiedy zeszliśmy na śniadanie, do sali wpadła zdenerwowana Mariolka: „Słuchajcie, kto siedział wczoraj z Andrzejem? Miał portfel, a wrócił bez. Zginęły wszystkie karty kredytowe”. Przeszukaliśmy całą knajpę, sprawdziliśmy monitoring i nic. Dwa dni cała ekipa tym żyła. Trzeciego dnia Mariola triumfalnie zakomunikowała: „Słuchajcie, portfel się znalazł! Andrzej schował go do... pletwy!”.

Andrzej był przeuroczy, ale nic nie pamiętał. Codziennie mnie wołał i pytał: „Co żeśmy wczoraj robili?”. Ja mówiłem: „Wczoraj robiliśmy to, to i tamto”. „Aha. A dzisiaj?” „Andrzej, kurwa, przecież to się działo dwie godziny temu! Człowieku,

ogarnij się”. A on na to: „Aha, aha...”, a potem: „Ty jesteś agentem. Ja to wiem”. „Nie, Andrzej, nie jestem agentem”. „Uważaj! Cały czas mam na ciebie oko”. Kochałem go i uwielbiałem, ale on kroczył za mną na okrągło jak dzika bestia i zawsze na mnie głośował. Któregoś dnia dostaliśmy jakieś zadanie do wykonania na łódce. W pewnym momencie wbił we mnie swój wzrok, patrzył, patrzył i nagle buch, sprzedał mi kopa i wypadłem z łódki. Byłem wściekły i przestraszony. Zacząłem wrzeszczeć: „Andrzej, co ty odpierdalasz?! Chcesz mnie utopić?!”. A on do mnie: „Pamiętaj, obserwuję cię. Ty jesteś agentem”. Nie potrafiłem się na niego gniewać, bądź co bądź był legendą. Niestety, traktował to zbyt poważnie i nie był w stanie odróżnić zabawy od rzeczywistości. Kiedy odpadła Mariola, przestało być tak wesoło. Andrzej zachowywał się jak dziki, zaszczuty zwierz, który chodzi zdeorientowany po ulicach miasta. Kompletnie nie wiedział, co się dzieje. Z Mariolą wydawali się idealną parą, uzupełniali się. Czuł się przy niej bezpiecznie, trochę jak z przewodnikiem. Kiedy żony zabrakło, żarty się skończyły, nikt już nie czuł się pewnie. Na szczęście dla nas i dla niego odpadł w kolejnym odcinku. Nigdy nie zapomnę jego miny w studiu w Polsce, gdzie odbywał się finał *Agenta*, kiedy się okazało, że agentem jest Marysia. Widziałem w jego oczach, jak przeprosza mnie za wszystkie wyrządzone krzywdy. Był w szoku, nie mógł w to uwierzyć. Dziki zwierz skulił się jak kotek. I serdecznie mnie wyściskał.

Program wygrał Damian Kordas. Kiedyś mój fan, nikomu nie znany chłopak, wygrał z idolem swojego dzieciństwa. Byłem szalenie wzruszony. Kolejny raz zrozumiałem, że w życiu wszystko jest możliwe. A czasami bywa nawet lepiej niż w filmie.

W Agencie zamiast dwóch tygodni spędziłeś półtora miesiąca. Jak sobie z tym poradziłeś emocjonalnie?

Chyba w trzecim tygodniu zacząłem się źle czuć psychicznie. Nie wiedziałem co zrobić, poszedłem więc do Marty, producentki programu, i powiedziałem, że kiepsko ze mną. Byłem trzeźwy dopiero trzy lata i to była moja najdłuższa przerwa bez terapii i mityngów. Stwierdziłem, że musi mi znaleźć jakiś mityng albo

rezygnuję z programu i wracam do Warszawy. Zrozumiała mnie. Wykonała kilka telefonów i powiedziała, że wieczorem przyjedzie po mnie kierowca Bolek. Kiedy wyznałem Bolkowi, że jestem uzależniony, ku mojemu zdziwieniu Bolek opowiedział mi swoją historię. Okazało się, że też jest uzależniony i od trzynastu lat trzeźwy, a od siedmiu mieszka na Teneryfie. Nie mogłem w to uwierzyć. Pomyślałem: „Bóg jest wielki”. Nagle na końcu świata przypadkiem spotykasz gościa, który ma taki sam problem jak ty i we wszystkim cię rozumie. Zakumplowaliśmy się i za każdym razem, kiedy miałem potrzebę, woził mnie na mityngi. Byłem wdzięczny produkcji, że bez problemów poszła mi na rękę. Kolejny raz przekonałem się, że warto mówić prawdę i nie wstydzić się swojej choroby. Najfajniejsze w tej całej historii było to, że czwartego grudnia miałem czwartą rocznicę trzeźwości i spędziłem ją na mityngu na wyspie Lanzarote. Gości, którzy brali w nim udział, widziałem pierwszy raz na oczy, a oni ze mną świętowali. Niesamowite jest to, że ze spotkań wspólnoty AA możesz skorzystać w każdym momencie swojego życia i w każdym miejscu na świecie.

Zarobiłeś pieniądze, wróciłeś do domu i...?

Jak to mówi moja Marcela, nawet jak nie mam problemów, to je wynajdę, bo jestem uzależniony od strachu. Przyzwyczailem się, że lęk mnie nie opuszcza. Jeśli nie ma lęku, czuję się nieswojo. Nie wiem dlaczego. Trudno mi to wyjaśnić. Może gdzieś podskórnie uważam, że nie zasłużyłem na te wszystkie dobre rzeczy, które mi się zdarzyły? Tak więc wróciłem, urządziliśmy mieszkancko, ale zaczął się kryzys między nami. Marcela przechodziła trudne chwile. Ja odnosiłem sukcesy, ona, modelka, siedziała w domu i wychowywała naszego syna. Czowała się coraz bardziej niepotrzebna, straciła wiarę w siebie. Do tego stopnia, że jak Paprocki&Brzozowski zaprosili ją na swój pokaz, bała się pójść. Prawdopodobnie miała głęboką depresję poporodową. Próbowaliśmy namówić ją na terapię, ale wtedy uważała, że terapia jest dla wariatów, a nie młodych mam, i bała się spróbować. Zaczęliśmy się od siebie oddalać. Swoją miłość Marcelka przelała na naszego syna. Katowała się strachem o jego życie. Potrafiła całą noc nie spać, bo co dziesięć

minut sprawdzała, czy on oddycha. Próbując ratować nasz związek, namówiłem ją, żebyśmy pojechali tylko we dwoje do Bellagio. Liczyłem, że złapiemy oddech, zrelaksujemy się, że coś się zmieni, ale Marcela już na drugi dzień chciała wracać. Dzwoniła do mamy co godzinę z pytaniem, czy Frysiowi nic się nie stało. Miała paranoję, że złamał rączkę, nóżkę, upadł na główkę albo – co gorsza – umarł w łóżeczku w czasie snu. To był horror. Trudno się z tym żyło.

Było mi przykro. Czułem się odrzucony i porzucony, tym bardziej że przez pierwsze trzy miesiące po narodzinach Frysia nie pracowałem, byliśmy w trójkę nierozłączni. Pomagałem Marceli, w czym mogłem i jak potrafiłem. Nagle zrozumiałem, że więź matki z synem jest o wiele silniejsza niż syna z ojcem. Czysta biologia. Rozumiałem to i... nie rozumiałem jednocześnie. Czułem się samotny. Coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie i coraz częściej dochodziło między nami do drobnych kłótni.

Na początku związku obiecywaliśmy sobie, że nigdy nie będziemy kłócić się przy Frysiu. Za nic w świecie nie chciałem fundować swojemu dziecku piekła, które sam przeżyłem. Jak wiadomo, łatwiej składać obietnice, niż je spełniać. Tuż przed moją piątą rocznicą trzeźwości emocje eksplodowały i tak się pokłóciliśmy przy Fryderyku, że kiedy w końcu ochłonęliśmy, spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy i stwierdziliśmy, że musimy się rozstać. To był ogromny zawód. Miałem poczucie porażki. Jedno z moich największych marzeń, jeśli nie największe, o prawdziwym domu, o domu pełnym, gdzie jest mama, tata, dzieci i miłość – właśnie legło w gruzach. Byłem w stanie poświęcić się na maksa, żeby nam wyszło, i... nie wyszło. Wiem, że miałem wiele różnych wad, lęków i niedoskonałości, które Marcelę przytłaczały, ale ona również. Sama mi mówiła, że moje strachy przy jej depresji to pestka.

Marcela wyprowadziła się z Frysiem do swojego starego mieszkania, zostałem sam. Wszędzie o nas pisano, co mnie jeszcze bardziej przytłaczało i pogłębiało moje poczucie klęski. To był straszny okres. Nigdy w trzeźwym życiu nie czułem się tak przegrany.

Odgrażałeś się Bogu, że jesteś taki nieszczęśliwy, że musisz się napić? Albo zapalić jointa?

Może cię to zdziwi, ale nie. To, że Fryderyk urodził się w trzeźwej rodzinie, że jest zdrowy, było dla mnie nadrzędną wartością. Kiedyś na jednym z mityngów usłyszałem wstrząsającą historię. Facet był od piętnastu lat trzeźwy, kiedy na przejściu dla pieszych zginął jego jedyny syn. I chociaż cierpienie rozszarpało mu mózg i wnętrze, nawet przez sekundę nie pomyślał, żeby się napić. Patrzyłem wtedy na niego z niedowierzaniem: „Co on gada?! Gdyby mnie to spotkało, zapiłbym się na śmierć”. A on nam tłumaczył, że musiał być trzeźwy dla żony, żeby ją wesprzeć. Gdyby się upił, zostałaaby ze swoim bólem sama. Przypomniał nam też historię człowieka, który na dwudziestą rocznicę trzeźwego życia wyruszył na Mount Everest. Kiedy doszedł na sam szczyt, złapała go zamieć śnieżna. Nie miał jak wrócić. Był wycieńczony z zimna. Nagle pojawił się wielki bernardyn z beczką rumu zawieszoną na szyi. Jedynie łyk tego rumu mógł go rozgrzać i uratować mu życie. Puenta tej historii jest taka, że dokładnie zaplanował trudną wyprawę, żeby po dwudziestu latach trzeźwości wreszcie znaleźć „prawdziwy” powód do picia. I mieć niepodważalne usprawiedliwienie. Natura osoby uzależnionej jest podstępna, a sama choroba judaszowa, zawsze może cię zdradzić. Jeśli jednak chcesz być trzeźwy, nie zboczysz z tej drogi nawet z powodu śmierci dziecka. To porażające, ale wreszcie znalazłem w tym sens.

Szczęście w nieszczęściu, z Marcelą rozstaliśmy się bez awantur o dziecko. Dogadaliśmy się w sprawie pieniędzy na Frysia i opieki. Nie prowadziła ze mną żadnych wojen ani gier kosztem dziecka, to było w niej niesamowite i byłem jej za to bardzo wdzięczny. Nie zmienia to faktu, że cierpiałem. I to bardzo. Nie potrafiłem się z tym pogodzić.

Po pobycie na Kanarach wróciłem przytyty i nie wiedziałem, jak się odchudzić. Zawsze kiedy potrzebuję pomocy, modlę się do Pana Boga: „Panie Boże, nie dam rady. Nie zmobilizuję się. Co mam zrobić?”. Po jakimś czasie odezwał się do mnie na Facebooku facet: „Panie Michale, jestem mistrzem świata w thai boxingu. Może chciałby Pan przyjść do mnie na lekcje?”. Dokładnie tak samo było z moim

prawem jazdy! Zaczęłam z nim trenować, odchudziłam się. Poza tym tajski boks bardzo mi pomagał wyładować złe emocje. Okazało się, że mój mistrz też jest alkoholikiem, który nie pije od trzynastu lat. Nawiązaliśmy fajną relację, mogłam się wygadać. Po raz kolejny Pan Bóg postawił na mojej drodze drugiego człowieka – anioła, który mi pomógł.

Tyle dobrego dostałam od życia, że w akcie wdzięczności odpowiadam na wszystkie wezwania Pana Boga. Nie mogę powiedzieć, że sam rwę się do pomagania. Nie pójdę z własnej inicjatywy do bezdomnych i nie zapytam, czy mogę coś dla nich zrobić. Ale jeśli ktoś się do mnie zwraca o pomoc, nigdy nie odmawiam. Zgłosiła się do mnie Fundacja Rycerze i Księżniczki z Krakowa wspierająca dzieci chore na nowotwór, z prośbą, żebym przyjechał na spotkanie z nimi. Pojechałam i w twoim Krakowie poznałam Piotrusia, niesamowitego, wtedy dwunastoletniego chłopca chorego na rzadki rodzaj nieuleczalnego raka. Nie sposób było nie zwrócić na niego uwagi, bo na spotkaniu ciągle zrywał się z krzesła i wołał: „Panie Michale, ale to... Panie Michale, ale tamto...”. Co dwie minuty było: „Panie Michale, panie Michale i panie Michale...”. Myślałam, że go uduszę. W pewnym momencie nie wytrzymałam: „Piotrusiu, wiesz co, skoro z ciebie taki mądrala, to może sam wystąpisz?”. A on od razu: „Nie ma problemu, co mam zrobić? Mogę zaśpiewać piosenkę”. Stał na środku sali i wykonał piosenkę Ryśka Riedla takim głosem, jakby to anioł śpiewał. Po spotkaniu zacząłem z nim rozmawiać i stało się coś niesamowitego, jakby role się odwróciły: on był dorosłym, a ja dzieckiem. Był niesamowicie świadomy siebie, swojej choroby, życia, śmierci. Akurat wtedy brał kolejną chemię, nie miał włosów. Opowiadał, że dzieci mu w szkole dokuczają, ale on się nie przejmuje, bo mamusia mu wytłumaczyła, że jest wyjątkowy. Popłakałem się ze wzruszenia. Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z tak dojrzałym, mądrym, przenikliwym dzieckiem. Wróciłem do Warszawy, ale regularnie pisaliśmy do siebie na Facebooku. Nie wiem, jakim cudem, ale za każdym razem gdy działo się u mnie coś trudnego, Piotruś pierwszy się odzywał: „Panie Michale, co u Pana? Jak się Pan czuje?”, i ja mu opowiadałam. Kiedy mu napisałam, że rozstałem się z kobietą,

którą bardzo kochałem, i cierpię z tego powodu, odpisał, że nie mogę się załamywać i poddawać, bo mam dla kogo żyć i jeszcze będę w życiu szczęśliwy. Przeczytałem to i poczułem się tak, jakby spłynęła na mnie łaska. Jakby Jezus do mnie przemawiał za pośrednictwem tego chłopca. Do dziś przechowuję te wiadomości. „Panie Michale, ja wiem, że umrę – pisał do mnie – ale do tego czasu chcę jak najwięcej dać ludziom. Teraz zbieram pieniądze dla bezdomnych. Jeżdżę do nich z mamą, pytam, czego najbardziej potrzebują, i staram się im pomóc”. To był kubeł zimnej wody. Czterdziestolatek jęczy z powodu utraconej miłości, a nieuleczalnie chory dwunastolatek jeździ po mieście i pomaga bezdomnym. Uratował mnie swoją mądrością i wrażliwością. Nie raz zresztą. Powiedziałem mu: „Piotruś, jesteś cudownym człowiekiem”, a on na to: „Nie, ja też mam swoje wady”. Któregoś dnia inna fundacja zapytała mnie, czy odwiedziłbym hospicjum pod Łodzią. Napisałem o tym do Piotrusia i za zgodą organizatorów spotkania pojechaliśmy razem. Lekarz, który nas przywitał na bloku, powiedział mi, że jego pacjenci są w ostatnim stadium, więc spotkanie może potrwać góra pół godziny. Spędziliśmy w hospicjum pół dnia, odstawiliśmy takie *show* – Piotruś z personelem śpiewał karaoke – że ci umierający ludzie nie chcieli puścić nas do domu. Piotruś okazał się aniołem, który tchnął w nich ostatnią iskrę.

Taki mały, a taki mądry i dobry. Modliłem się o łaskę dla niego. Dziś Piotruś ma piętnaście lat, rak jest w remisji. Na głowie zamiast łysiny ma bujną czuprynę i mówi do mnie „wujku”. „Wujku, jesteś dobrym człowiekiem”. Nikt nie jest tak dobry jak ty, Piotrusiu. Jesteś wyjątkowy.

ROZDZIAŁ 14

MEDJUGORIE, AUTOKAROWA WYCIECZKA, UZDROWIENIA I ZGUBIONY PORTFEL

Marcela wyprowadziła się z Fryderykiem, zostałeś sam w mieszkaniu, które razem urządziliście. Samotność bywa niebezpieczna w takich sytuacjach.

Z kilkoma kumplami pojechałem na Teneryfę. Pomyślałem, że pokażę im te niezwykle miejsca, które zobaczyłem, biorąc udział w *Agencie*. Tam napisała do mnie na Facebooku aktorka Agnieszka Kawiorska. Nie znaliśmy się, raz minąłem się z nią na planie jakiegoś serialu. Agnieszka pytała: „Michał, jedziemy na sylwestra do Medjugorie. Czy jedziesz z nami?”. W życiu nie słyszałem o Medjugorie ani o tym, że objawia się tam Matka Boska. Ale pomyślałem, że Pan Bóg znowu wyciągnął do mnie rękę, tak jak to zrobił w przypadku Piotrusia, więc odpisałem: „Jadę”. Zanotowałem numer konta, od razu wpłaciłem pieniądze i zapomniałem o tym, bo był koniec wakacji, do sylwestra daleko.

Dostałem wtedy drugoplanową rolę w filmie *Krime Story. Love Story*, komedii gangsterskiej inspirowanej prawdziwymi wydarzeniami, opisanymi w książce rapera Marcina „Kali” Gutkowskiego. Bliskie mi kino, bo sam wychowałem się na blokach. Z kumplami patrzyliśmy na te wieżowce z wielkiej płyty przekonani, że już nigdy w życiu nic nas nie spotka. Jaramię marihuany to było nasze jedyne szczęście, dzięki niemu na chwilę mogliśmy się przenieść w inną rzeczywistość, a nie tkwić w tej szarej, burej i smutnej. Nagle zagrałem osiedlowego gangstera w filmie o tej właśnie tematyce: o marzeniach, miłości i pragnieniach nastolatków uwieczonych w blokowiskach.

Na planie poznałem aktora, który grał jedną z głównych ról. Zwierzył mi się, że on również ma problemy z używkami, z hazardem, opowiedziałem mu więc o swojej drodze. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy, zacząłem go zabierać na mityngi. Był też zaciekawiony moją wiarą. Nigdy nikogo do wiary nie zmuszałem, ale kiedy ktoś mnie pyta, opowiadam o tym, co sam przeżyłem. Utrzymywał wtedy abstynencję, więc zadzwoniłem do niego przed sylwestrem: „Kawiorska organizuje wyjazd do Medjugorie. Już się zapisałem, ale razem będzie nam różniej”. No i go namówiłem. Nie zarejestrowałem, że to była wycieczka autokarowa! Na miejscu zbiórki zobaczyłem dwa autokary. Sami młodzi ludzie, jacyś aktorzy, trenerzy personalni, dziennikarze, wszyscy młodszy ode mnie. Kiedy usłyszałem, że podróż potrwa dwadzieścia dwie godziny, byłem załamany. Kiedyś spałem na klatkach i ławkach, ale w wieku czterdziestu lat czułem się na takie wyprawy za stary. Prowadziłem już inne życie i przyzwyczaiałem się do wygod. Był moment, że chciałem uciec, zostałem jednak przez wzgląd na kolegę. Drugą część grupy mieliśmy odebrać w Katowicach, tam miał do nas dołączyć. Ruszyliśmy i po godzinie moi współpasażerowie wyjęli tamburyn, gitary i zaczęli śpiewać: „Jezus twoim przyjacielem jest!”. Jestem wierzący, ale uważam, że co za dużo, to niezdrowo. Pomyślałem: „Ja pierdołę, co tu się dzieje?! Czy oni tak będą dwadzieścia godzin śpiewać o Jezusie?! Dżizas, nie przeginaj, Panie”. W tym samym czasie zadzwonił do mnie kumpel: „Misiu, czekam w Katowicach, obok mnie siedzą jacyś ludzie, ale oni są nawiedzeni! Na przystanku śpiewają o Jezusie... Fajnie jest w tym autobusie? Bo już się zastanawiałem, czy nie wracać do domu”. „Stary, jest zarąbiście – powiedziałem. – Czekaj na nas”. Przyjechaliśmy do Katowic, wszedł i nie minęło pół godziny, jak zaczął tego żałować: „Zabiję cię! W coś ty mnie wpakował?”.

Może wyjaśnijmy, że w Medjugorie, miasteczku, które leży w Bośni i Hercegowinie, od czerwca 1981 roku zanotowano serię objawień maryjnych. Doświadczyć ich miało sześć osób, tak zwanych widzających. Troje z nich utrzymuje, że ma widzenia do dzisiaj. Specjalna komisja powołana przez

Kościół katolicki bada prawdziwość tych objawień. Do tej pory ich nie odrzuciła ani nie potwierdziła. Objawienia Mirjany, które miała drugiego dnia każdego miesiąca, przyciągały tysiące pielgrzymów.

Wtedy właśnie na objawienie Mirjany pojechaliśmy. Podobno skończyły się rok po naszej pielgrzymce; od tamtego czasu Matka Boża objawia jej się tylko raz w roku. Na szczęście dla mnie naszym opiekunem i przewodnikiem był charyzmatyczny duszpasterz, ksiądz Dominik Chmielewski. Różnych księży w swoim życiu spotkałem. Jedni są wspaniałymi sługami Bożymi, a inni po prostu są, jak to z ludźmi bywa. Nie wszyscy mają tę łaskę i iskrę Bożą, która potrafi porwać serca wiernych. Dominik jest jednym z tych kapłanów, których słuchasz i masz wrażenie, że spływa na ciebie słowo Boże. Jego historia jest niesamowita. Całe życie był związany ze sztukami walki. Codziennie ćwiczył karate, medytował i uprawiał zen, choć pochodził z bardzo wierzącej katolickiej rodziny. W wieku dwudziestu jeden lat został dyrektorem kadry karate w Polskiej Federacji Dalekowschodnich Sztuk i Sportów Walki w Bydgoszczy. Zdobył trzeci stopień dan i szkolił ludzi w bojowej odmianie karate. A jednocześnie studiował teologię i filozofię. Pewien znajomy ksiądz namówił go na pielgrzymkę do Medjugorie, kusząc niezwyklejmi objawieniami Matki Bożej. Pojechał z ciekawości z dwoma kolegami dla towarzystwa. Obiecał sobie zachować chłodny i analityczny umysł podczas całego pobytu. Kiedy dotarli na miejsce, przerazili się intensywnością modlitw i nabożeństw, ale dla niego rzeczą najbardziej zdumiewającą okazało się to, że w Medjugorie modlitwy, które nudziły go w domu, odmawiał z radością i lekkością. Na drugi dzień poszli na górę Podbrdo, na objawienie się Matki Bożej. Było tam ze dwa tysiące rozmodlonych i rozśpiewanych wiernych. Kiedy stanął obok Ivana, jednego z tak zwanych widzących, zażartował do kolegów, że to jest przykład doskonałego zen: „Tak powinniśmy medytować, panowie, w takim skupieniu jak ten koleś tutaj”. Kiedy wypowiedział te zdania, nagle zalała go fala czułości i szczęścia, która go przenicowała, przeniknęła wszystkie jego emocje. Jakby objęła go ramionami cudowna kobieta. Poczuł taką miłość, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał. I taką moc, jakiej nie doświadczył przez piętnaście lat

medytowania. Głupio mu było przyznać się przed kolegami, więc wrócił z nimi do hostelu, a w nocy wymknął się z powrotem pod krzyż i powiedział: „Matko Boska, jeśli to się wydarzyło naprawdę, a nie jest tylko efektem mojego emocjonalnego rozchwiania, proszę Cię, daj mi znak”. No i Matka Boska znowu przyszła i go objęła. Do Polski wrócił w stanie duchowego przebudzenia. Opowiadał nam zabawną historię. Po tygodniu pojechał na zgrupowanie karate. Na treningu zawodnicy patrzyli na niego zdumieni, ponieważ do czarnego pasa przy kimonie przywiązał różaniec. Nic nie powiedzieli – z szacunku albo ze strachu, że dostaną bęcki za głupie uśmiešky. Poprowadził trening jak zawsze, pokazał, jak na pięćdziesiąt różnych sposobów można kogoś zabić, a potem wyjął różaniec i powiedział, że tym razem nie będzie medytacji, tylko opowie im, kim jest Matka Boża. Po jakimś czasie spotkanie przeniosło się do pobliskiego baru, gdzie po kolei każdy z trzydziestu mężczyzn wyspecjalizowanych w sztukach walki zaczął opowiadać najskrytsze historie ze swojego życia: jeden zwierzył się, że nie układa mu się w związku, inny, że jest nieuleczalnie chory, kolejny, że ma problem z alkoholem. Po tych wyznaniach Dominik powiedział: „Słuchajcie, nie ma co zwlekać, uklęknijmy i pomódlmy się do Matki Bożej”. Do dziś wyobrażam sobie, że musiał to być niesamowity widok: trzydziestu facetów klęka i odmawia różaniec. Pytałem Dominika, co na to ludzie z baru, ale mówił, że nikt się nie odważył zwrócić im uwagi. Na końcu wszyscy chcieli przyjąć błogosławieństwo Matki Bożej.

Takie opowieści do mnie przemawiały. Nie potrzebuję cudów i namacalnych dowodów, bo już tego doświadczyłem. Rozumiem jednak tych, którzy takiego cudu i „dotknięcia” potrzebują, żeby uwierzyć, że to nie są bajki. Na koniec ksiądz Dominik dodał: „Słuchajcie, po powrocie z Medjugorie nic nigdy nie będzie takie samo”. W duchu pomyślałem, że po tych piosenkach w autokarze to już na pewno...

Przyjechaliśmy do Medjugorie. Ksiądz Dominik prowadził różne warsztaty, opowiadał o relacjach, o miłości, o Bogu. Chłonałem każde jego słowo. To było niesamowite doznanie duchowe. Wciąż paliłem. Papieroszek na czczo, a najlepiej

dwa, jeden po drugim! Jezu! Uwielbiałem to. Nie wyobrażałem sobie życia bez palenia. A z drugiej strony, kiedy brałem na ręce mojego świeżo narodzonego synka, uderzał mnie własny smród papierosowy, którym byłem przesiąknięty. Nie chciałem, żeby tata kojarzył się Frysiowi z tym okropnym zapachem. Zaczęło mnie to krępować, ale nie potrafiłem nic z tym zrobić. W Medjugorie – pamiętam dokładnie, że było to dwudziestego siódmego grudnia wieczorem – pomodliłem się rano: „Panie Boże, pomóż mi. Dodaj sił, żebym jakoś rzucił palenie”, i postanowiłem, że tego wieczora zapalę ostatniego papierosa. Następnego dnia w czasie przerwy między warsztatami przejrzałem maile. Napisał do mnie jakiś chłopak: „Cześć, nie znamy się, jestem Piotr. Przyleciałem do Medjugorie z Londynu, a ściśle – z Libanu, wiem, że jest z Wami ksiądz Dominik Chmielewski. Bardzo chciałbym się z nim spotkać, czy możesz mi pomóc?”. Pomyślałem: „Kolejny nawiedzony. Wystarczy tych wariatów”. Nie odpisałem mu. Nazajutrz, dwudziestego dziewiątego grudnia, były moje urodziny. Obudziłem się, zrobiłem kawę, ale nie zapaliłem, choć strasznie chciało mi się jarać. Poszliśmy wszyscy na Górę Objawień Matki Bożej, pół dnia zeszło nam na modlitwach i śpiewach, ale wieczorem, po kolacji, znowu dopadł mnie głód nikotynowy. Żeby o tym nie myśleć, postanowiłem, że wrócę na tę górę, przejdę się sam, pomyślę, pomodlę się. Będąc w Rzymie, zobaczyłem ociekający złotem Watykan i kaplicę Sykstyńską, w której modlili się możni tego świata, papieże, artyści, prezydenci, do której codziennie wchodzi tysiące turystów, ale modlitwa w tym sakralnym miejscu graniczy z cudem, bo jeśli klękiesz, to cię zdepczą, a poza tym jest tak głośno, że nie możesz się skupić. Słyszysz tylko głos ochroniarza: „Silent, please!”. Ludzie milkną na chwilę, a potem znowu wznosi się szum tak ogromny, jakbyś trzymał głowę w gnieździe os. Pomyślałem wtedy, że trudno mi tam będzie spotkać Pana Boga. I tak było. W Medjugorie krajobraz wyglądał kompletnie inaczej: rachityczne drzewka, wypalone słońcem wielkie kamienie, ostre krzaki, gdzieś tam kępy trawy i piękny widok na całą okolicę. Nic więcej. Czułem pokój w sercu. Nie zastanawiając się, wziąłem latarkę i wyszedłem. Sapiąc, wspinałem się po kamieniach do góry i jakoś w połowie drogi zrobiło mi się

niedobrze. Miałem odruch wymiotny, zacząłem kaszleć, coś wypluwać, ale nie było to nic materialnego. Jakbym wypluwał jakiegoś demona palenia, który ciążył mi na płucach. Po chwili poczułem wielką ulgę. „Dobra – pomyślałem – to teraz podziękuję Matce Boskiej”. Wcześniej miałem żal do Boga, że mi zabrał Marcelę. Nawet trochę się na Niego obraziłem. Teraz postanowiłem podziękować za syna, za to, że jestem zdrowy, że mam pracę, że tu przyjechałem i poznałem Dominika. Minąłem ostatnie zarośla, podszedłem pod posąg Matki Boskiej, który jest podświetlony, i z boku dostrzegłem jakiegoś faceta siedzącego na kamieniu i palącego kadzidełka. „No trudno – westchnąłem – chciałem być sam, nie jestem”. Postanowiłem, że pomodłę się w ciszy i schodzę. Uklęknąłem, ale kątem oka zobaczyłem, że ten człowiek pada na kolana: „O Jezu! Jezu! Jezu...! Panie Michale!” – zawołał. Nie mogłem uwierzyć, że nawet na końcu świata, na jakiejś opustoszałej górze nie mogę spokojnie się pomodlić. Nawet tu musiał znaleźć się jakiś zwariowany fan! Nie rozumiałem, co się dzieje: „Panie Michale, to ja napisałem do pana ten mail. Przyjechałem z Libanu pomodlić się w intencji mojej mamy, która ma raka. Ja się tu modlę, a nagle pan mi się objawia”. Do dziś się śmiejemy – bardzo się zaprzyjaźniliśmy – że w Medjugorie wszystkim objawia się Matka Boża, ale jemu objawił się Koterski, który wyskoczył zza krzaka. Zaczęliśmy gadać. Sancho – taką miał ksywę – opowiedział mi, że ma dwójkę dzieci, od siedmiu lat mieszka z żoną w Londynie, gdzie pojechał za robotą. Kiedyś grał w kapeli deathmetalowej i tak go demon opętał, że ledwo uszedł z życiem. Przeszedł z ciemnej strony na jasną, za co jest wdzięczny Bogu. Bardzo wierzący, bardzo dobry człowiek. Roztaczał niesamowitą aurę. Rozmawialiśmy pół godziny, a miałem wrażenie, że znam go od lat. Opowiedział mi też historię swojej mamy, u której zdiagnozowano nowotwór. Pojechał z Londynu, gdzie mieszka, do Libanu, do świętego Charbela, modlić się w jej intencji. Tam podczas modlitwy otrzymał słowo od Jezusa: ma zadzwonić do mamy i poprosić, żeby powtórzyła badania, bo jest uzdrowiona. Był to pewnego rodzaju sprawdzian wiary. Ale nie zawahał się i o wszystkim jej powiedział, a teraz z Libanu przyjechał do Medjugorie

podziękować Matce Bożej za ten cud. Pomyślałem wtedy, że to fajna historia, ale jednak przesada, i że to wariat.



Kiedy wróciłem do hotelu, zauważyłem, że mój kumpel, z którym dzieliliśmy pokój, zniknął. Wieczorem go nie widziałem. W nocy go nie było, łóżko zostało nietknięte. Na drugi dzień zszedłem na śniadanie, dalej go nie było. Przestraszyłem

się nie na żarty. „Słuchajcie – zapytałem ludzi z naszej ekipy – nie widzieliście mojego ziomka?” Ktoś mi odpowiedział: „Leży od wczoraj pod drzwiami Dominika Chmielewskiego, pości i czeka na spowiedź”. Pobiegłem tam i rzeczywiście tak było. „Stary, co jest? – zapytałem. – Co ty wyprawiasz?!” Trochę się z niego nabijałem. Zacząłem go nawet kopać i żartować, że musi ponieść jeszcze dotkliwszą pokutę. A on mówi, że nagle poczuł potrzebę spowiedzi, że pości już drugi dzień i pokutuje pod drzwiami za swoje grzechy. Pomyślałem: „Kolejny wariat, co się tu dzieje!”. Dominik w końcu go przyjął, a kiedy po dwóch godzinach spowiedzi zobaczyłem twarz mojego kumpla, zrozumiałem, że nie zwariował. Widziałem, jak z człowieka udręczonego, zmęczonego grzechem i odpowiedzialnością spłynął cały ciężar. Jego twarz była jak twarz dziecka: jasna, gładka, świetlista. Zobaczyłem na niej działanie Boga.

To był jednak dopiero początek cudów. Tych małych, które w moich oczach okazywały się coraz większe. Tego dnia wybraliśmy się na drogę krzyżową na górę Križevac. Coś mnie tknęło i pomyślałem: „A, napiszę do tego wariata, co mu się wczoraj objawiło. Może będzie miał ochotę iść z nami”. Napisałem, gdzie i o której będziemy, i Sancho rzeczywiście się pojawił. Razem ruszyliśmy na drogę krzyżową, Sancho opowiadał o swoim nawróceniu. O tym, jak poprzez muzykę deathmetalową służył Szatanowi i jak był nieszczęśliwy, czując się przez niego zniewolony. O tym, jak cudem został uzdrowiony przez Boga, jak poznał swoją żonę i jakim jest teraz szczęśliwym ojcem i mężem. Te opowieści były tak piękne, że aż bajkowe. Jak walka dobra ze złem. Wydawało mi się to niemożliwe, traktowałem to z przymrużeniem oka. Aż do drugiego stycznia, kiedy wróciłem z objawienia Mirjany, a w holu hotelowym stał Sancho ze łzami w oczach. Podszedłem do niego, myślałem, że mu smutno, bo już wyjeżdżamy, i mówię: „Nie martw się, stary, do Londynu niedaleko, jeszcze się zobaczymy”. A on na to: „Nie o to chodzi, Michu. Właśnie przyszły wyniki. Moja mama jest uzdrowiona”. Byłem w szoku, kiedy w telefonie pokazał mi wyniki badań. Zrozumiałem, że wszystko, co mi opowiadał, wydarzyło się naprawdę.



Lubisz opowiadać o swojej wierze? Mam wrażenie, że tak. A jednocześnie, muszę to wyraźnie podkreślić, nie w tym żadnej nachalności, żadnej ewangelizacji, nawracania. Rozbrajasz mnie, kiedy szczerze przyznajesz, że nie znasz Pisma Świętego, ale może na tym polega tajemnica wiary: na żarliwości, pasji, ogniu...

I odwadze. Nie każdy ją ma. Uważam to za łaskę i jednocześnie powinność, żeby jak najwięcej mówić o moich relacjach i spotkaniach z Bogiem. Ludzie się wstydzą, ale też się boją. Wydaje im się, że publiczne przyznanie się do wiary w Boga jakoś ich naznaczy, ostempluje. Ja też nieraz się boję, ale nie widzę innej drogi. W dzisiejszych czasach wiara jest niemodna. Ludziom już nie wystarcza, że nie chodzą na mszę, nie modlą się, coraz częściej wypisują się z Kościoła

katolickiego. Zerwanie z religią staje się rodzajem manifestu. A ja czuję się w obowiązku, żeby mówić o swojej wierze, ponieważ czwartego grudnia osiem lat temu Bóg podarował mi drugie życie. Tylko człowiek uzależniony, niewolnik obsesji, wie, co znaczy zwolnienie z tego więzienia. To jest wielki cud. Ludzie latami chodzą na terapię, ale nie każdemu dana jest ta łaska. Ja ją otrzymałem. Nie mógłbym teraz odwrócić się od Boga. Przełamuję swój lęk, bo im dłużej żyję i im więcej działam, tym wyraźniej widzę, jakie to jest ważne, szczególnie dla ludzi młodych, zagubionych. Często ci, którzy nie wierzą, podpytują i poszukują, bo widzą, że życie z Bogiem jest łatwiejsze. Większość z nas jest przywiązana do idei, że Bóg i Kościół to jedno. Ja bym tych rzeczy nie łączył. Kościół to instytucja, w której kapłani wykonują swoją robotę, ale Bóg jest ponad wszystko. Każdy ma prawo do indywidualnej relacji z Bogiem, jakakolwiek by ona była. I Bóg właśnie po to jest.



Na początku swojej nowej drogi postanowiłem, że będę odczytywał znaki. Mam poczucie, że Bóg zawsze był w moim życiu, tylko ja tego nie chciałem zobaczyć. Dzisiaj jestem na to otwarty i łatwo mi te znaki dostrzec. To dotyczy każdego z nas. Trzeba po prostu otworzyć się na relację z Bogiem.

W Medjugorie czułem spokój w duszy. Nie atakowały mnie żadne demony, praktycznie w ogóle nie korzystałem więc z telefonu. Tam uświadomiłem sobie, jak bardzo internet ułatwia nam ucieczkę od samych siebie. Żyjemy w świecie migoczących i zmieniających się obrazków. To nas zabija. Tylko w pustce człowiek jest w stanie spotkać się z Bogiem, a jeśli jest niewierzący, to przynajmniej ze swoimi pragnieniami i myślami. Tymczasem my ciągle od tego uciekamy. Ostatnio

na siłowni podszedł do mnie trener personalny i zapytał: „Bez filmu, bez muzy ćwiczysz? Ja bym zwariował sam z myślami. Co ty, Misiek, robisz?”. Ja na to: „Modlę się”. I rzeczywiście odmawiałem różaniec. Miałem godzinę i poświęciłem ją na modlitwę. Przyjął moje wyjaśnienie bez zdziwienia, jakby było czymś naturalnym. Aż się uśmiechnąłem, tak mi się to spodobało.

W sylwestra, będąc na Górze Objawień, wyjątkowo zrobiłem sobie zdjęcie pod figurą Matki Boskiej i wrzuciłem na Instagram. Byłem tam taki szczęśliwy, że chciałem się tym podzielić. Na drugi dzień, pierwszego stycznia, wieczorem coś mnie tknęło i – wydawało mi się, bez powodu – włączyłem telefon. Zrozumiałem, kiedy wszedłem na Instagram i wyświetliły mi się setki wiadomości od matek z chorymi dziećmi, od ludzi z depresją, z różnego rodzaju problemami i schorzeniami. Nagle dotarło do mnie, ilu ludzi na świecie jest chorych i potrzebuje pomocy. Zacząłem czytać: „Panie Michale, jak Pan jest w Medjugorie, proszę, niech się Pan pomodli za moją córkę; za mojego syna; mam chore czteroletnie dziecko, dwuletnie dziecko, roczne dziecko, chore na raka, chore na stwardnienie rozsiane...”. Nigdy w życiu nie dostałem tylu wiadomości. Pomyślałem: „Jezu, przeginasz”, ale wziąłem długopis i na kartce, po kolei, zapisałem każde dziecięce imię.

Nazajutrz Mirjana, jedna z widzających, miała mieć objawienie. Drugiego dnia każdego miesiąca przyjeżdżały z tego powodu pielgrzymki z całego świata. Żeby zająć dobre miejsce, trzeba wstać o piątej rano. Nie chciało mi się! Mówiłem mojej grupie, że nie potrzebuję takiego dowodu, bo ja cudu dotknięcia palcem Bożym już doznałem i to spotkanie w moim życiu niczego nie zmieni. Nie przypuszczałem, że wszystko zmienią... wiadomości na Instagramie. Zrozumiałem, że to jest znak. Nie miałem wyboru. Poczucie obowiązku wygrało z lenistwem. Niestety, dzień wcześniej opilem się soku z aronii, który wszyscy piją tam na zdrowie. Całą grupą odwiedziliśmy jedną z najsłynniejszych wspólnot dla uzależnionych Cenacolo. Niesamowite miejsce, gdzie Jezus uzdrawia ludzi. Uzależnieni podczas terapii tworzą różne rzeczy: rzeźbią, malują, piszą wiersze i wytwarzają różne produkty.

No więc ja, jako stary narkoman, który chciał wesprzeć swojaków, nakupiłem tych soków z aronii i niczego nieświadomy wypilem całą butelkę przed snem.

Drugiego stycznia było zimno jak cholera, wstałem przed piątą, ubrałem się ciepło, zapakowałem do plecaka śpiwór i poleciałem na Górę Objawień. Na wzgórze dotarłem przed szóstą, wciąż było ciemno i niewiele osób przyszło przede mną, wybrałem więc sobie świetne miejsce blisko posągu Matki Bożej, żeby mieć dobry widok. Zasiadłem i czekałem. Przez pierwszą godzinę było nawet przyjemnie, ale koło wpół do ósmej zebrał się ogromny tłum. Setki ludzi, ścisk taki, że nie byłem w stanie przesunąć się o pół metra, a tu nagle jak mnie zaczęło czyścić po jelitach, z góry na dół, czułem tylko, jak mną szarpie, trt trt trt, jakby kto kijem przeciągał po kaloryferze. „No nie... – myślę – zaraz się najzwyczajniej w świecie zesram w gacie”. Ludzi wciąż przybywa, wiedziałem, że jak wyjdę, to już nie wrócę. Oszaleli wierni nie wpuszczą mnie z powrotem. „Panie Boże – modliłem się w duchu – przyszedłem tutaj dla tych dzieci, przecież wiesz, więc nie pozwól, bardzo Cię proszę, żebym teraz zesrał się w gacie”. Zastosowałem stary sposób, czyli przysiadłem na pięcie, i na jakiś czas mnie przyblokowało. Walczyłem ze sobą, rozglądając się wokół, czy ktoś na mnie patrzy. Ale o ósmej pojawiła się Mirjana i wszystkie spojrzenia skierowały się wyłącznie na nią. Ludzie zaczęli modlić się głośno w różnych językach. Najpiękniejsza melodia świata. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłem, to było mistyczne doznanie. Twarz Mirjany rozświetlały ogromne oczy, z których promieniowała boska jasność. Nagle modlitwy umilkły i nastała cisza. Poczułem się jak w Matriksie, w ułamku sekundy czas się zatrzymał. Wyciągnąłem kartkę i zacząłem po kolei czytać imiona dzieci, które zapisałem. Zalała mnie fala czułości i szczęścia. Trudno opisać to słowami. Stan błogości, pełnego bezpieczeństwa. Jakby ktoś mnie przytulał, modlił się nade mną i zapewniał, że mnie kocha. Co prawda, kiedy tylko zacząłem prosić o swoje sprawy, ta błogość ustąpiła. Chyba miałem w życiu zbyt dobrze, żeby zawracać tym głowę Matce Bożej. Ale jak się po chwili okazało, najlepszym świadkiem istnienia Boga jest sam Szatan i jego obecność. Nagle, kiedy ta fala miłości przepływała, za moimi plecami rozległ się przeraźliwy krzyk. Nie taki zwykły,

ludzki. Krzyk i wrzask tak przerażający, że aż stanęło mi na chwilę serce. Równocześnie obecność Boża była tak wyraźna, że się nie bałem. Nikt się nie bał. Odwróciłem się powolutku i zobaczyłem młodą dziewczynę, którą przytulali zrozpaczeni rodzice. Możecie wierzyć lub nie, ale wyglądało to jak kadr z filmu. Obłęd w jej oczach i ten przeraźliwy wrzask przypominały bohaterkę *Egzorcyzmów Emily Rose*. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego na żywo. Nawet teraz, kiedy o tym opowiadam, nie mogę uwierzyć, że działo się to naprawdę. Kolejny dowód na istnienie Boga. Po chwili, kiedy obecność Boża ustąpiła, głos opętanej dziewczyny ucichł. Pielgrzymi zachowywali się tak, jakby to, co się przed chwilą wydarzyło, było zupełnie normalne.

Po objawieniu ludzie padali sobie w ramiona. Zapanowała wielka radość i pokój. W stanie uniesienia powoli wszyscy zaczęli się rozchodzić.

Wieczorem ruszyliśmy w drogę powrotną do Warszawy. Tym razem śpiewy mi nie przeszkadzały. Mój kumpel ze swoją rozanieloną miną siedział obok. Nasz opiekun duchowy ksiądz Dominik powiedział: „Po tej pielgrzymce będziecie zbierać owoce, o jakich nawet nie marzycie. Do Medjugorie przyjeżdża się na specjalne zaproszenie Matki Bożej”.

W autokarze zrozumiałem, że dostałem to zaproszenie w najtrudniejszym momencie. Kiedy rozstałem się z Marcelą, pierwszy raz w trzeźwym życiu świat zawalił mi się na głowę. I Bóg mnie wtedy podparł i kolejny raz podał rękę, którą i tym razem złapałem. Myślę, że z nałogiem, z którym się mierzę, nie poradziłbym sobie sam. Łapiąc mocno Jego wyciągniętą rękę, poczułem się kochany i otoczony opieką. Oczywiście to nie znaczy, że nie przeżywałem rozstania, ale nie bałem się już. Wiedziałem, że z Jego pomocą nie wrócę do narkotyków.

Wiem, że ludzie często cię o to pytają, więc zadam to pytanie głośno: jaki wpływ na twoją wiarę, miłość do Boga, mają takie sprawy, jak na przykład pedofilia w Kościele, wojna w Ukrainie?

Człowiek jest stworzony przez Boga z miłości i do miłości. Odnajduje swoją tożsamość tylko wtedy, gdy zaczyna żyć miłością – kochać Boga z całego serca, ze wszystkich sił i z całej duszy, a bliźniego – jak siebie samego. Kiedy tego nie ma, łatwo można się stać obiektem manipulacji Szatana, który najbardziej lubi wyciągać z nas swoje ulubione uczucia: nienawiści i wrogości. Owszem, często ludzie zadają mi pytanie: „A gdzie był Bóg, kiedy mordowano, gwałcono i torturowano dzieci w Ukrainie?”. No, ale to nie Bóg dokonuje tych zbrodni, tylko człowiek. Człowiek niszczy drugiego człowieka. Bóg, tworząc człowieka, dał mu to, co najpiękniejsze – wolną wolę. W każdym z nas czai się bestia. Piękna indiańska legenda o dwóch wilkach mówi o tym, że w naszym wnętrzu trwa nieustanna walka dwóch sił: dobra i zła. Jasnej i ciemnej strony. Nienawiści i miłości. Zwycięża ten wilk, którego dokarmiamy bardziej.

W swoim poprzednim wcieleniu nigdy nie miałem pieniędzy, ponieważ wszystko, co zarobiłem, wydawałem na narkotyki i imprezy. Kiedy w trzeźwym życiu zacząłem zarabiać większe kwoty, niemal fizycznie poczułem, jak staję się gorszym człowiekiem. Pieniądze mi nie służą. Podkarmiają we mnie tego złego. Bóg mówi: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”. W pewnym momencie moim bogiem był pieniądz. Myślałem tylko o tym, żeby kupić lepszy samochód, lepsze mieszkanie, nowy telefon, markowe ciuchy, polecieć na Kanary, do Dubaju... Wszystko inne przestało mieć znaczenie. Wtedy się pogubiłem. Wmawiałem sobie, że wydając własne, ciężko zarobione pieniądze, nikogo nie krzywdzę. I rzeczywiście nie krzywdziłem. Ale zanikały we mnie ludzkie odruchy. Przystawałem zwracać uwagę na drugiego człowieka, na jego cierpienie, bo mnie było dobrze, bo ja mogłem mieć to, tamto i siamto. Niestety, pieniądz sprawia, że człowiek słaby popada w pychę, megalomanię, ma gigantyczne poczucie wyższości. Jedziesz wypasionym samochodem i czujesz się lepszy od tych, którzy jadą tramwajem. Kiedy przenikają mnie takie obrzydliwe myśli, to jest znak, że dzieje się ze mną coś złego. Nie popełniam zbrodni, ale zachowuję się niemoralnie. Jestem przekonany, że większość z nas tak ma, tylko wielu nie chce się przyznać. To wymaga odwagi cywilnej. Jako człowiek osłabiony przez narkotyki i alkohol

wiem, że muszę być jak najbliżej Boga. Tylko wtedy czuję się bezpiecznie, czuję się lepszym człowiekiem. Bóg mi pomaga. Wskazuje mi drogę.

Zanim zaczęliśmy pracę nad tą książką, powiedziałaś mi, że muszę być z tobą szczery, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie. Bez szczerości ta spowiedź nie ma sensu. Staram się więc. Kiedy ktoś dzwoni i mówi: „Panie Michale, mamy chore dzieci, niech pan do nas przyjedzie”, myślę sobie: „Kurwa mać, mam zapieprzać czterysta kilometrów na koniec Polski tylko po to, żeby tam dwie godziny się produkować?!”. Nie chce mi się. Nie mam na to najmniejszej ochoty. A potem sam siebie upominam: „Michał, musisz tam jechać. To nie jest twój wybór. Bóg cię wzywa”. Od lat, kiedy mam problem, proszę Boga: „Pomóż mi, a ja odpowiem na każde Twoje wezwanie”. Bóg długo się nie odzywa, a potem nagle daje mi znak, że potrzebują mnie alkoholicy, niepełnosprawne dzieci, bezdomni, umierający... Wściekam się, po co mi były te układy z Panem Bogiem, ale potem jadę i daję świadectwo swojej wiary. I wiesz co, za każdym razem mam poczucie, że to mi bardziej pomaga niż tym ludziom! Zawsze czuję się super. Po pierwsze, wiem, że zrobiłem coś dobrego, i to jest genialne uczucie. Ktoś mi kiedyś powiedział, że dawanie przynosi dużo więcej satysfakcji niż branie. Przekonałem się, że to prawda. A po drugie, kiedy opowiadam ludziom o swoim życiu, przypominam sobie, skąd przyszedłem. Piekło wcale nie jest tak daleko, muszę być czujny. To jest taka terapeutyczna lekcja.

Czasami przyłapuję się na tym, że w tym swoim dobrostanie przestałem się modlić. Jest mi tak dobrze, że zapomniałem o Bogu. Natychmiast ustawiam się do pionu. Relacja z Bogiem jest jak każda inna relacja: z synem, żoną, matką, przyjacielem. Trzeba ją pielęgnować i co jakiś czas podgrzewać. Dominik Chmielewski podczas pewnych warsztatów podpowiedział, że bym wyobraził sobie miłość Jezusa jako miłość mojego syna Fryderyka. Wyobraziłem więc sobie, że mój cudowny Frysio ofiarowuje mi swoją miłość, a ja go olewam. On za mną chodzi, a ja oganiam się rękami i nogami, mówiąc, że nie mam dla niego czasu. Dopiero na tym przykładzie zobaczyłem, jak krzywdzę Jezusa. A przecież On mi daje coś najpiękniejszego: czystą, bezwarunkową miłość. Pan Jezus mówi:

„Proście, a otrzymacie”. Mamy więc prosić. Ta prośba musi być jednak zanurzona w intymną relację z Bogiem.

Wróciłeś z tej pielgrzymki z silną wiarą? Nową nadzieją na przyszłość?

Dominik mówił, że będziemy zbierać owoce, a ja pomyślałem: „Jakie owoce? Już wystarczy mi tych cudów”. Super się czułem. Nie chciałem, żeby źle to zabrzmiało, ale po raz pierwszy pomyślałem, że przecież mogę być też szczęśliwy bez Marceli. Nasze rozstanie to jednak nie był koniec świata, bo przecież mam syna i go kocham. Te warsztaty jeszcze wyraźniej mi to uzmysłowiły.

Oprócz Fryderyka Bóg dał mi nowe przyjaźnie. Po powrocie do Warszawy zachowywaliśmy się jak dzieci po koloniach, ciągle chcieliśmy się ze sobą spotykać. Umawialiśmy się w różnych knajpkach, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem, że można się napić wina, nie upijając się. Dotąd znałem tylko dwa ekstrema: albo upijasz się jak świnia, albo nie pijesz w ogóle. To był dla mnie szok, że można inaczej. Bardzo się z tymi ludźmi żyłem, jednak przy szóstym spotkaniu poczułem narastający niepokój. Alkohol, który pili na moich oczach, zaczynał mi coraz bardziej przeszkadzać. Nawet sobie pomyślałem: „Kurde, Michał, to się robi niebezpieczne. Zaraz uwierzysz, że ty też możesz wypić kieliszek i na tym przestać”. Nie chciałem ani ich stracić, ani zmuszać do niepicia. Rozwiązanie było tylko jedno: zmienić miejsce spotkań. Tylko na co? Musiałem użyć podstępu.

To byli ludzie wierzący, żyjący blisko Boga, więc któregoś dnia wypaliłem: „Słuchajcie, bardzo się z wami żyłem, cieszę się, że się widujemy. Może fajnie byłoby, gdybyśmy raz spotkali się gdzie indziej i trochę pouwielbiali Boga, pomodlili się wspólnie, poczytali Pismo Święte”. Żeby była jasność, nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłem, nie znam Pisma Świętego, nie czytam Biblii dla przyjemności ani nie śpiewam pieśni wielbiących Pana. Chodziło mi tylko o to, żebyśmy się spotkali bez alkoholu. Pomysł bardzo się spodobał, pozostało tylko pytanie – gdzie? Mieszkałem wtedy sam, więc zaproponowałem, żeby to spotkanie zorganizować u mnie. To była iskra. Odmówiliśmy wspólnie różaniec, przeczytaliśmy rozważania różańcowe Dominika Chmielewskiego,

podyskutowaliśmy o tym, co napisał. A potem wszyscy grali, śpiewali i to było naprawdę porywające. Okazało się, że w naszej grupie jest wielu muzyków. Jedna dziewczyna przysłała z saksofonem, a chłopaki z gitarą, bębnami, fletem i skrzypcami, ktoś zasiadł przy moim pianinie. Dali przepiękny koncert. Pierwszy raz w czymś takim uczestniczyłem. Wszyscy byli zachwyceni. Siedzieliśmy do trzeciej nad ranem. Mieszkanie zostało posprzątane, śmieci po jedzeniu zebrane do worków, naczynia pozmywane. Nie musiałem ruszyć palcem. Miałem prywatny koncert, superzabawę w towarzystwie świetnych ludzi i bez alkoholu. Tego samego wieczoru mój nowy sąsiad robił parapetówkę. Libacja była na całego: morze alkoholu, śmiechy, wrzaski i dyskotekowe hity. Spotkaliśmy się rano przy śmietniku, sąsiad, wciąż lekko wczorajszy, powiedział: „No, ktoś nas podkablował, co? Wam też policja wlepiła mandat?”. Do nas nikt nawet nie zapukał! Sąsiad nie mógł w to uwierzyć, do dziś myśli, że ściemniam w kwestii tamtego wieczoru.

Tak zaczęliśmy się spotykać po domach i powołaliśmy do życia wspólnotę Królowa Pokoju, która pomaga wielu młodym ludziom. Znaleźliśmy miejsce w ramach Monastycznych Wspólnot Jerozolimskich. Nasza wspólnota spotyka się w każdy czwartek. Brat Agnieszki Kawiorskiej wpadł na pomysł, aby w niezagospodarowanych salach przykościelnych stworzyć noclegownię dla Ukraińców. Jedyna, która przetrwała do dzisiaj. Powstała także Fundacja Oczami Nieba, która pomaga potrzebującym dzieciom i dorosłym. Po trzech latach istnienia wspólnota tak się rozrosła, że kiedy tam przychodzę na spotkania – a niestety nie zdarza się to ostatnio zbyt często ze względu na mój zawód – nie poznaję większości twarzy. I cieszę się z tego! Moje uzależnienie kolejny raz mogło komuś się przysłużyć. To mi pokazuje, że każde zło, każdą porażkę można przekuć w dobro.

Ciekawa jestem, czy rodzina towarzyszy ci w tej drodze.

Mój syn ma pięć lat i nie lubi chodzić do kościoła. Kiedy był mały, zabierałem go ze sobą. Teraz proszę: „Chodź, Frysiu, idziemy do kościółka”. A on protestuje: „Nie, do kościółka nie. Nie idę do kościółka”. I jest walka: „No chodź, proszę cię.

Pójdziemy na plac zabaw, a potem do kościółka”. „Nie, do kościółka nie idę”. Zrobił się bezczelny, kiedyś siedział cicho całą mszę, w tej chwili – jeśli czasem uda mi się go namówić – po pięciu minutach krzyczy w pierwszym rzędzie: „Nuda! Nuda! Nuda!”, i robi mi wstyd na cały kościół. Prawda jest jednak taka, że dla dzieci msza jest straszną nudą. Często powtarzam zaprzyjaźnionym księżom, że Kościół musi się zmienić, inaczej padnie z braku nowych wiernych. Kościół musi być otwarty. Ja jestem otwarty na każde miejsce, gdzie jest Bóg. Na Kanarach trafiłem na nabożeństwo w kościele anglikańskim, też było super. Bóg jest jeden i różne są do Niego drogi. Ostatnio zacząłem z Frysiem chodzić do protestantów, bo potrafili rozwiązać problem małych dzieci. Jest osobna sala, gdzie rodzice mogą oglądać mszę na telebimie, a dzieci się bawią pod ich nosem. Fryderyk nazywa to „śpiewającym kościółkiem” i tam chętnie chodzi. Zawsze powtarzam, że jak ktoś chce dotrzeć do Boga, to dotrze, bo są różne możliwości. Ale jeśli ktoś nie chce, to zawsze będzie mówił o księżach pedofilach. Żeby była jasność: krzywda ofiar księży jest ogromna, a Kościół do tej pory nie rozliczył się z pedofilią, to jednak nie znaczy, że wszyscy księża są oprawcami. Nie można wszystkich wrzucać do jednego worka. W naszych zawodach też są szefowie, którzy wykorzystują swoją władzę, molestują, mobbingują i prześladują innych. Czy to oznacza, że ty nie możesz być dobrą dziennikarką, a ja aktorem? No nie. Człowiek ponosi za swoje czyny indywidualną odpowiedzialność. Nie zmienia to mojego przekonania, że Kościół musi przejść reformę. Musi wyjść do ludzi, inaczej nowe pokolenie będzie się wykruszać. Już się wykrusza. Gdy patrzę na to, co dzieje się w Kościele, i na sposób prowadzenia mszy, mam wrażenie, że większość księży przeleżała jakieś trzydzieści lat pod lodem. Boję się, że jeśli Kościół się nie zmieni, z czasem całkowicie upadnie.

Moja Marcela jest ze Ślesina, niedaleko Lichenia, słynnego miejsca kultu maryjnego o znaczeniu międzynarodowym. Miejsca pełnego przepychu, czego, szczerze mówiąc, nie rozumiem. Pamiętam, że w Watykanie byłem wkurzony widokiem tego ociekającego złotem luksusu. Myślałem, że Kościół jest od służenia Bogu, jak my wszyscy, a nie od gromadzenia monstrualnego bogactwa. Nie ma na

to mojej zgody. W każdym razie Marcela często jeździła ze swoją siostrą do Lichenia na pielgrzymki. Na początku liceum w bazylice Panny Licheńskiej poszła do spowiedzi i... nie dostała rozgrzeszenia, chociaż nie popełniła żadnej zbrodni, żadnego ciężkiego grzechu. To ją zraniło na całe życie. Na marginesie dodam, że po latach ten właśnie ksiądz został oskarżony o pedofilię, a jego pomnik, który stał na dziedzińcu, najpierw został przysłonięty, a później zburzony. No cóż... Kiedy się poznaliśmy, Marcela była daleko od Boga, choć jej ojciec był bardzo wierzący i praktykujący.

Pogodziłeś się z tym?

Kiedy Marcela zaszła w ciążę, po cichu marzyłem, że może któregoś dnia pójdzie do spowiedzi i odnajdzie Boga, ale do niczego jej nie zmuszałem. Wiedziałem, że zadziałałoby to na nią jak płachta na byka. Jest takie słynne przysłowie: „Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle”, które na prywatny użytek przerobiłem na: „Gdzie ja nie mogę, tam Bóg posyła swoich aniołów”. Akurat tak się zdarzyło, że w tym czasie mój najlepszy przyjaciel Adam zachorował na raka. Gdy tylko się o tym dowiedziałem, postanowiłem go odwiedzić. Dzień przed wyjazdem znalazłem na ulicy różaniec. Młodzieżowy, utkany z grubego zielonego sznurka, bardzo nietypowy. Schowałem go do kieszeni i pojechałem z nim do Gdańska. Pierwszy raz zobaczyłem, że mój przyjaciel, silny, odpowiedzialny i odważny mężczyzna, którego od lat podziwiałem, panicznie się boi. Nigdy w życiu niczego się nie bał, a teraz zjadał go strach. To mi uświadomiło, że nie ma większej wartości niż życie. Pamiętam, jak staliśmy pod szpitalem, w którym miał mieć operację, przytuliliśmy się do siebie i wtedy przypomniałem sobie o różańcu. Założyłem mu go na szyję, a Adamowi stanęły w oczach łzy.

Minęły ze dwa miesiące, wszystko dobrze się skończyło, operacja się udała, przerzutów nie było. Adam zadzwonił, żebyśmy przyjechali na weekend. Wybrałem go na ojca chrzestnego i przed narodzinami dziecka chciał nam kupić wózek. Przy okazji powiedział: „Wiesz, że od tamtego czasu nie zdjąłem tego zielonego różańca? Mało tego, zacząłem chodzić na msze do dominikanów.

Wczoraj przeczytałem, że organizują pielgrzymkę do Jerozolimy. Może byśmy razem się wybrali?”. Myślałem, że śnię: „Nie wierzę! Kto jak kto, ale ty i pielgrzymka do Jerozolimy?! Nie żartuj!”. Nie żartowałem. Pomysł bardzo się spodobał Marceli i powiedziała: „Lecimy”. Pomyślałem, że skorzystam z okazji i w Jerozolimie pomodlę się, żeby nasz syn urodził się zdrowy. Dzień przed wylotem zaproponowałem Marceli wizytę w kościele: „Na Deotymy, w bocznej kaplicy, całą dobę jest adoracja Najświętszego Sakramentu. Jutro lecimy do Jerozolimy, powinniśmy się tam pomodlić. Pójdziemy?”. „Tak, pójdziemy, nie ma problemu” – obiecała, ale cały dzień spędziliśmy na mieście i wieczorem poczuła się zmęczona. Zmieniła zdanie. „Idź sam” – powiedziała. Gula mi wyskoczyła, bo jak coś sobie zaplanuję, muszę to zrealizować. Zaczęliśmy absurdalny dialog. „Obiecałaś, że pójdziemy, że się pomodlimy...” „Nie, jedź sam. Nie mam siły!” „Marcela, nie zrobisz mi tego. Podjedziemy samochodem, przecież to tylko chwila”. „Nie, daj mi spokój, idę spać...” No i się obraziłem. Trzasnąłem drzwiami i pojechałem sam. W samochodzie przypomniałem sobie, że muszę kupić pięćset dolarów, bo tyle miała kosztować ta wycieczka, więc po drodze wstąpiłem do kantoru. W kaplicy, po modlitwie, uspokoilem się, ciśnienie zeszło, głupio mi się zrobiło, że bez powodu tak się uniosłem: „Boże, proszę Cię, spraw, żeby jutro było wszystko okej. Żeby podróż przebiegła bez komplikacji”. Marcela była wtedy w ciąży i bałem się trochę tego lotu samolotem. Naczytałem się, że takie podróże mogą źle wpływać na dziecko. Emocje opadły, poczułem stan błogości. Zauważyłem za sobą młodego człowieka z kilkoma reklamówkami, widać było, że jest bezdomny, ale schludny, jakby zawstydzony swoją sytuacją. W odruchu Samarytanina pomodliłem się również za niego: „Zaopiekuj się nim, Panie Boże”.

Na drugi dzień rano nie mogłem znaleźć portfela. Przypomniałem sobie, że w złości wybiegłem z domu w dresie, z portfelem w tylnej kieszeni. Byłem pewien, że wyleciał mi, kiedy klękałem w kaplicy. Na pewno widział to tamten bezdomny! Zacząłem chodzić po domu i przeklinać Boga. Nie wierzyłem, że zdarzyło się to w kościele. Marcela zaproponowała, żebyśmy tam pojechali i poszukali. W amoku wpadłem do kościoła, akurat trwała msza, ludzie się modlili, a ja biegałem między

ławkami, szukając portfela. Patrzyli na mnie jak na wariata. Marcela próbowała mnie uspokoić, ale nic do mnie nie docierało. Przed oczami miałem tylko te pięćset dolarów. Odgrażałem się Bogu, że jeśli ich nie znajdę, moja noga już nigdy w tym kościele nie postanie. Marcela mi potem opowiadała, że kiedy patrzyła, jak się miotam w szale, podeszła do niej jakaś kobieta: „Przepraszam, czy pani też czeka w kolejce do spowiedzi?”. Zamiast zaprzeczyć, odpowiedziała: „Tak”. „To proszę przede mną, bo pani jest w ciąży”. Po chwili klęczała przy konfesjonale. Tym razem dostała rozgrzeszenie, mimo że nie byliśmy w związku sakramentalnym. To było cudowne, że kolejny raz Bóg podał mi rękę. Nie mogłem namówić Marceli na spowiedź przez całą ciążę, a tu stał się cud, który kosztował mnie pięćset dolarów. Portfel się nie odnalazł, wyszliśmy z kościoła i kiedy opadły emocje, pomyślałem znów jak Adaś Miauczyński we *Wszyscy jesteśmy Chrystusami*: „Dzisiaj przeginasz”. Uśmiechnąłem się do siebie i poczułem się szczęśliwy.

W Jerozolimie spędziliśmy piękny czas. Mieszkaliśmy w skromnym domu pielgrzyma, codziennie pobudka o piątej rano, modlitwa, śniadanie – i ruszaliśmy na wycieczkę śladami Chrystusa. Dominikanie o wszystkim z pasją opowiadali. Byliśmy w Betlejem, odnowiliśmy swoje przyrzeczenia chrzcielne, zanurzając się w Jordanie, mamy to nagrane. Marcela cieszyła się jak małe dziecko, a ja byłem szczęśliwy. Po powrocie Adam, który zwiedził pół świata, mieszkając w najdroższych hotelach, powiedział, że był to najlepszy wyjazd w jego życiu i pierwsza podróż duchowa. Ja na to, że na dodatek tania, bo kosztowała tylko pięćset dolarów. Adam doprecyzował: „Pięćset dolarów od osoby”. Byłem totalnie zaskoczony: „Dałem przewodnikowi pięć stów za mnie i za Marcelę, a on nie zaprotestował. Widział, że jesteśmy we dwójkę, przecież nie chciałem go oszukać”.

Taka była puenta tej historii. Pan Bóg zwrócił mi pięćset dolarów, które zgubiłem w kościele. Ale po co ja ci to dzisiaj opowiadam? Chcę pokazać tobie i sobie, że w pewnym sensie nie mam wyboru. Jeśli chcę żyć w harmonii, muszę być blisko Boga. Mój zawód generuje pychę, chciwość, próżność, narcyzm. Jak tylko oddalam się od Boga, te emocje zaczynają mnie zżerać i czuję, że się gubię.

Sama zauważyłaś, że nikomu się nie narzucam, po prostu opowiadam o tym, jak sam odnalazłem wiarę. Młodzi ludzie potrzebują miłości, bliskości, zrozumienia. Odkąd po powrocie z Medjugorie zacząłem pisać na Instagramie o Bogu, wielu z nich się do mnie zgłosiło i wciąż zgłasza. Oczywiście pojawiają się też głosy, że jestem głupim pisiorem. Denerwuje mnie to, bo w ogóle nie interesuję się polityką. Nie jestem ani za PiS, ani za PO, ani za Lewicą, mam ich wszystkich w nosie. Wszystko mi jedno, kto jest u władzy. Moje życie, jego standard i komfort, nigdy nie zależało od tego, kto rządzi w Polsce, tylko od tego, jak ja nim zarządzam. Polityka nie ma i nigdy nie miała na to żadnego wpływu. To ja jestem inżynierem mojego życia, a nie władza, jakiegokolwiek maści by była.

ROZDZIAŁ 15

POWROTY, *GIEREK*, WIELKA KRYTYKA, POMPEJANKA I HAPPY END?

Po powrocie z Medjugorie pojawiła się w twojej głowie nieśmiała myśl, żeby spróbować odbudować związek z Marcelą?

Oczywiście. Oboje mieliśmy poczucie porażki. Moja terapeutka tłumaczyła, że wszystko potoczyło się bardzo szybko, nie było prawdziwego randkowania, bo przecież po dwóch miesiącach Marcela była w ciąży. Nie mieliśmy czasu nacieszyć się sobą. A równocześnie byliśmy szalenie zżyci, bardzo dużo przeżyliśmy razem, mieliśmy różne przygody, które nas scementowały emocjonalnie: we Wrocławiu, w Seulu, w Nowym Jorku, w Jerozolimie... Przed rozstaniem zadaliśmy sobie różne rany, ale i tak zrobiliśmy wiele, żeby nasz syn jak najmniej ucierpiał. Pamiętam, jak go odwiedzałem po rozstaniu, Frycio miał wtedy trzy latka. Czując, że zaraz nadejdzie moment pożegnania, siadał mi na kolanach, patrzył w oczy jak dorosły człowiek i mówił: „To co, tato, już się rozstajemy? Kiedy znowu cię zobaczę?”. A mi łzy napływały do oczu i nie byłem w stanie tego powstrzymać. Widziałem w jego spojrzeniu, że on dokładnie rozumie tę sytuację. W momencie naszego rozstania stawał się dorosłym człowiekiem.

Odkąd jesteśmy znów razem, z powrotem jest dzieckiem i ja się z tego ogromnie cieszę! Niedawno przygotowywałem e-booka o tacierzyństwie. Pomyślałem, że nikt nie ma przepisu na udane tacierzyństwo, żaden facet nie wie, jak zostać superojcem. Jedyne, co ja wiem, to że trzeba jak najczęściej mówić dziecku, że je kochasz, i poświęcać mu czas. Cała reszta to loteria.

W każdym razie zeszliśmy się z Marcelą ponownie w połowie lutego, miesiąc przed wybuchem pandemii. I to był cudowny czas. W końcu byliśmy tylko dla siebie. Przez wiele miesięcy nie pracowałem, więc na początku bałem się, z czego będziemy żyli, gdy już przejemy oszczędności, ale okazało się, że nie mieliśmy gdzie tych pieniędzy wydawać. Wszystko było pozamykane, nigdzie nie jeździliśmy, gotowaliśmy w domu, oglądaliśmy seriale, bawiliśmy się z synem, to było niesamowite doświadczenie.

Moja terapeutka powtarzała, że jeśli oboje nie pójdziemy na terapię, to nasz związek w końcu się rozpadnie. W kościele słyszałem, że jak w związku nie będzie Boga, to nie przetrwa. I tak się rzeczywiście stało. Po części roztrwoniliśmy swoją drugą szansę. Najpierw jechaliśmy na fali euforii, że znowu jesteśmy razem, a potem zaczęły się problemy życia codziennego, a przede wszystkim pojawił się *Gierek!*

Dwudziestego siódmego lipca 2020 roku wszedłem na plan zdjęciowy. Wcześniej przez wiele miesięcy przygotowywałem się do tej roli.

Kiedy zaczęliśmy pracę nad tą książką i spotkaliśmy się po raz pierwszy w twoim domu, byłeś – mówiąc eufemistycznie – załamany. Chciałeś nawet odwołać to spotkanie, ale ponieważ znamy się od lat, uznałeś, że możesz się przede mną odsłonić. Od dwóch tygodni nie spałeś, mało jadłeś, miałeś – i to mnie zmartwiło – myśli samobójcze. A wszystko zaczęło się po premierze *Gierka* w reżyserii Michała Węgrzyna. Ty zagrałeś tytułową rolę.

Żeby wytłumaczyć, jak znalazłem się w takim stanie, muszę zacząć od początku. Nigdy wcześniej nie mierzyłem się z taką postacią. Pomogła mi rola Adasia w *Siedmiu uczuciach*, bez niej prawdopodobnie nie przyjąłbym tego wyzwania. Przede wszystkim z uczciwości wobec kolegów aktorów. Wielu z nich całe życie czeka na taką rolę. Ale ja po doświadczeniu tamtej presji psychicznej wiedziałem, że jestem gotowy. W zawodzie aktora, podobnie jak w zawodzie sportowca, najważniejsza jest głowa. U ojca grałem z wybitnymi osobowościami i musiałem

wytrzymać to ciśnienie. Teraz miałem się zmierzyć z presją kontrowersyjnej popularności Edwarda Gierka.

Gierek odcisnął na mnie ogromne piętno. Pamiętam, że przygotowując się do tej roli, jednocześnie jeździłem ze spektaklami po teatrach i domach kultury w całej Polsce i byłem w szoku, że ludzie nadal wspominają pierwszego sekretarza z takim entuzjazmem. Na Śląsku jest kochany i uwielbiany. Na jego grobie pali się prawie tyle zniczy ile u Ryśka Riedla. Oczywiście po latach różnie ocenia się jego rządy. Jedni pamiętają Gierka jako komunistycznego barbarzyńcę, inni jako dobrodzieja, który sprowadził do Polski Coca-Colę, czerwone Marlboro i dał posmakować ludziom PRL-u troszkę Zachodu. Nikt jednak nie jest wobec tej postaci obojętny, o czym wkrótce miałem się przekonać na własnej skórze.

Wiesz, że każdą rolę konsultuję z ojcem. Przy Gierku od razu mi powiedział: „Pamiętaj, Michał, musisz do końca, za wszelką cenę bronić swojego bohatera”. I tak zrobiłem. Najpierw musiałem poznać jego historię, wejść w jego buty, a przede wszystkim go polubić. Odkryłem niezwykłego faceta, żyjącego w cieniu kopalni, w której umarli jego ojciec i dziadek, a on sam od najmłodszych lat śmigał z górniczą lampą cięższą od niego. Z mamą i ojczymem wyjechał za chlebem do Francji, potem znalazł się w Belgii. Spędził tam dwadzieścia pięć lat, nasiąkając inną kulturą, inną mentalnością. Z jego biografii wynika, że wcale nie chciał wracać do Polski. Nie był pospolitym karierowiczem ani przeciętnym partyjniakiem, tylko gościem, który faktycznie łyknął nieco Zachodu i chciał podarować Polakom to, czego sam doświadczył. Może jego wizje były słuszne, ale nie mogły zostać zrealizowane w ustroju, gdzie wszystko było z papieru.

W pewnym momencie zrozumiałem, że nie mogę odgrywać postaci Gierka, tylko muszę się nim stać. Stworzyć go na nowo, przepuścić przez siebie, inaczej nie będzie w tym prawdy. Wiedziałem też, że kiedy już się nim stanę, nie mogę siebie oceniać. Prawdziwego Gierka oceni historia, mnie – widzowie. A od rozliczania jego kapitału politycznego są politycy, niech oni się w to bawią. O różnych swoich rolach czy występach wiele razy myślałem: „Tu mogłem dać z siebie więcej; tam odpuściłem; tu się nie popisałem; tam nie upuściłem krwi...”. Przy Gierku

nie odpuściłem niczego. Zrobiłem wszystko. Nawet jeśli komuś się to nie spodobało, trudno, już lepiej po prostu nie potrafiłem. A ponieważ umiem zaakceptować swoje ograniczenia, nie miałem do siebie pretensji. Poświęciłem rok życia na czytanie o najnudniejszej z epok w historii Polski, na zagłębianie się w meandry polityki, która mnie w ogóle nie obchodziła. Skłamałbym, mówiąc, że marzyłem o tym, żeby zostać Gierkiem. Nie marzyłem. Nigdy nie interesował mnie ani Gierek, ani PRL. Ale niektórych ról się nie odmawia.

Marek Kondrat kiedyś mi powiedział, że raz w życiu dostaje się taką rolę, dla której trzeba poświęcić wszystko. Podjąłem się tego, wiedząc, że czeka mnie ciężka praca, rok harowy. Nigdy nie lubiłem się uczyć. Pierwszy raz uczciwie zabrałem się do czytania książek, wywiadów rzek, stenogramów z obrad plenum KC PZPR czy spotkań z robotnikami. Rozkminiałem gierki towarzysko-polityczne pomiędzy oponentami i przyjaciółmi: Jaruzelskim, Jaroszewiczem, Tejchmą, Babiuchem, Kanią, przedzierałem się przez historie ich przyjaźni, konfliktów, zawiści, analizowałem małżeństwo Edwarda ze Stasią. Niczego nie zaniedbałem. Chciałem wiedzieć wszystko. Żeby nie tracić czasu, ściągałem, co się dało, na audiobooki i słuchałem, jeżdżąc po Polsce samochodem. Nawet w łazience nie rozstawałem się z Gierkiem. Przytyłem dwadzieścia jeden kilo!

Kiedy dotarło do mnie, że nie jestem w stanie Gierka zagrać, tylko muszę się nim stać, oznajmiłem Marceli: „Muszę zamieszkać osobno, bo nie chcę się rozpraszać”. Zapytałem jej nawet, czy ona to rozumie. Odpowiedziała, że nie rozumie, ale jak się kogoś kocha, robi się dla niego rzeczy, których się nie rozumie. Często zresztą mówiła z żalem: „Nawet jak z nami jesteś, to cię... nie ma. Jesteś nieobecny myślami”. Tak głęboko w tym tkwiłem. Dla tej roli w jakimś sensie poświęciłem również rodzinę. Kiedy zakończyły się zdjęcia, potrzebowałem pół roku, żeby wyjść z Gierka. Wtedy po raz drugi rozstaliśmy się z Marcelą.

Gdybyś mnie teraz zapytała, czy żałuję, odpowiedziałbym: „Nie, bo jesteśmy znowu razem, tworzymy wspaniałą rodzinę”. Jednak gdyby nasz związek naprawdę się wtedy rozpadł, uznałbym, że to była straszna cena.



Zróbmy teraz dygresję i wybiegnijmy naprzód. Premiera *Gierka* miała się odbyć piętnastego października 2021 roku. Ze względu na pandemię przesunięto ją na dwudziesty pierwszy stycznia 2022.

W grudniu 2021 roku postanowiłem zrobić sobie miesiąc wakacji i odpocząć po tym ciężkim, ale pod każdym względem udanym roku. Zrobiłem kilka wspaniałych filmów, *Gierek* czekał na premierę, po raz trzeci zszedłem się z Marcelą. Wszystko znowu wróciło na swoje miejsce. Polecieliśmy we trójkę na Kanary, a potem do Dubaju, gdzie nigdy wcześniej nie byłem. Od dwóch lat nie wyjeżdżaliśmy rodzinnie, bo ciągle się rozstawaliśmy. Spadły więc na mnie same łaski.

Czekając na premierę *Gierka*, na nic się nie nastawiałem. Po *Siedmiu uczuciach* wyleczyłem się ze złudzeń.

Uroczysta premiera odbyła się w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej. Widzowie nagrodzili film brawami i owacją na stojąco. Jednym z nich był syn Edwarda Gierka – profesor Adam Gierek, któremu film o ojcu

bardzo się spodobał. Chwalił cię, mówił w wywiadach: „Pan Koterski w sposób idealny, stuprocentowy oddaje emocje mojego ojca”.

Pamiętam, jak przed zdjęciami klęczałem przed obrazem Matki Bożej, który wisi za twoimi plecami, i modliłem się: „Panie Boże, proszę Cię o jedno, żebyś pomógł mi oddać rzeczywistość, jakąś prawdę o tym człowieku, żebym nie zbłądził w kierunku fałszywej kreacji”. Po jednym z pierwszych prywatnych pokazów usłyszałem od syna Gierka, że poprosił producenta filmu o kopię na jakimś nośniku, żeby mógł mieć ojca „żywego” na co dzień w domu. Poczułem, że nie ma dla mnie większej nagrody. Pomyślałem: „Dziękuję Ci, Boże, to właśnie się spełniło”.

W Dąbrowie Górniczej widziałem film po raz pierwszy i oglądałem go z zapartym tchem. Przy *Siedmiu uczuciach* tak się bałem, że nie mogłem oddychać. Teraz nie. Na koniec ludzie wstali, odwrócili się w moją stronę i zaczęli mi bić brawo. Mój ojciec był pod ogromnym wrażeniem, miał łzy w oczach, widziałem po nim, że kolejny raz go zaskoczyłem, chyba nie spodziewał się po mnie, że mogę aż tak dobrze zagrać. Marcela była dumna. Najbardziej mnie poruszyło to, co ojciec powiedział dziennikarzom: „Każdy powinien zobaczyć ten film. Z jednego względu. Bo pokazuje, jak Polak potrafi zniszczyć Polaka. My od wieków sami zjadamy swój ogon. W obliczu dzisiejszego podziału narodowego powinniśmy się nad tym zastanowić”.

Film wszedł do kin i...

... krytycy go zmiążdżyli.

Przez dwa tygodnie w mediach rozpętała się taka sieczka, taka młócka, dostaliśmy taki – za przeproszeniem – wpierdol, że nie wiedziałem, gdzie się schować. W swojej naiwności nie przewidziałem jednego, że polityka zje ten film.

Tego, o czym mówił mój ojciec, co dla mnie było najważniejsze, nikt nie zauważył. Wszyscy kłócili się o politykę. Nie mogłem tego pojąć, przecież to się wydarzyło pięćdziesiąt lat temu, tamten czas się skończył, jesteśmy tu i teraz, tylko

to się liczy. Chyba nie zdawałem sobie sprawy, że ja wziąłem udział w filmie, ale wszyscy dookoła wzięli udział w jakiejś rozgrywce politycznej, w rozliczaniu na nowo przeszłości. Sto pięćdziesiąt artykułów i kopanie z każdej strony. Rzucono kość i psy się rzuciły, tylko czekały, żeby coś rozszarpać. Poczulem się jak w *Dniu świra* w scenie, w której ludzie rozszarpują flagę Polski i orzeł krwawi, a lud wrzeszczy: „Moja jest tylko racja i to święta racja. Bo nawet jak jest twoja, to moja jest mojsza niż twojsza. Że właśnie moja racja jest racja najmojsza!”. Ten film był tak gorący, że jego krytykowanie stało się modne.

Każdego dnia walili w nas jak w bęben. Rozmawiałem o tym dużo z Sebastianem Stankiewiczem, z którym zaprzyjaźniliśmy się na planie. Najpierw staraliśmy się zbyć to śmiechem, ale po tygodniu nawet nie chciało się nam wychodzić z domu. Na hasło „Gierek” miałem odruch wymiotny. Wcześniej cieszyłem się jak dziecko. Zagrałem główną rolę w filmie, którego nie wyreżyserował mój ojciec, dostałem szansę udowodnienia innym, że potrafię grać.

Udowodniłeś. Po raz kolejny.

Nigdy nie zapomnę swojej rozmowy z Jankiem Fryczem, kiedy chciałem mu założyć konto na Instagramie: „Janek, jesteś teraz po serialu *Ślepnąc od świateł*, twój Dario to majstersztyk, młodzież szaleje na twoim punkcie. Założę ci Instagram, będziesz miał tysiące lajków”. A Janek mi wtedy odpowiedział: „Wiesz co, Misiu? Nie chcę tego mieć. Choćby tam było i tysiąc pochlebnych wiadomości na mój temat, jaki to jestem wybitny i wielki, wystarczy, że pojawi się ta jedna, że moja gra jest żenująca, i ja już nie będę widział żadnej innej. Ta jedna jedyna będzie mnie mordować, dręczyć i zatruwać życie. Dziękuję bardzo”.

Genialny aktor i mądry człowiek.

Zgadzam się. Może Jankowi jest łatwiej, bo jest z innego pokolenia, ja niestety jestem od tego Instagramu uzależniony jak małe dziecko i łasy na pochwały. Mirek Baka zadzwonił do mnie i powiedział: „Oglądałem ten film i powiem ci, Misiu,

jedną rzecz. Przykro mi, bo jako aktor widzę, że włożyłeś w to ogrom ciężkiej pracy, ale niestety muszę cię zmartwić, trudno mówić o dobrych rolach w słabych filmach. Musisz się z tym pogodzić”. Jestem wdzięczny wielu aktorom, którzy do mnie napisali, na przykład Marcinowi Kowalczykowi, podziwianemu przeze mnie za wybitną rolę Magika. Wysłał mi wiadomość: „Michał, to jest mistrzowska kreacja”. Pani Grażyna Szapołowska, wybitna aktorka, choć nigdy nie graliśmy razem, napisała mi: „Michał, gratuluję. Ten film jest wstrząsający w swojej wymowie”. Odczytała dokładnie to, co mój ojciec. Któregoś dnia wracałem z pokazu *Gierka* z Łukaszem Maciejewskim, krytykiem filmowym, z którego zdaniem się liczę. Usłyszałem wtedy pierwszy wyważony głos pochodzący od krytyka. Łukasz mi powiedział, że powinienem chwalić się tą rolą: „Mam różne zarzuty do scenarzysty, do reżysera, ale nie do ciebie. Wręcz przeciwnie, ty wykonałeś najlepszą robotę. Nie widziałem cię wcześniej w takiej roli, zaskoczyłeś mnie. Powinieneś być z niej dumny, nie daj sobie tego odebrać”. Niestety, nigdy nie napisał ani nie powiedział tego publicznie. Bał się, że koledzy po fachu go zjedzą. I pewnie by go zjedli. Nie mam do niego pretensji, wiem, jakie to jest środowisko, i cieszę się, że mogę być od tego z daleka.

Na szczęście za filmem stanęli zwykli widzowie. *Gierek* wszedł do kin w najwyższej fazie omikronu, a mimo to zebrał pół miliona widzów. Potem był hitem Netfliksa, gdzie był najchętniej oglądaną polską produkcją 2022 roku! Pod koniec roku odbyła się premiera telewizyjna. Dostałem setki wiadomości od widzów i gratulacje za świetną kreację. Moja rola została doceniona, wielu ludzi zaczęło mnie postrzegać zupełnie inaczej niż do tej pory. Z postrzelonego Sylwusia stałem się dojrzałym aktorem. Ta rola zmieniła mój wizerunek. Od czasów *Dnia świra* nie zebrałem tylu pochwał i gratulacji. Do dziś ludzie zaczepiają mnie na ulicy. Kiedyś mówili: „Jak tatuś zrobi dziubek, to nie ma chuja we wsi”. Dziś cytują: „Pomożecie? Pomożemy!”. To kolejny raz upewniło mnie w tym, że mój ojciec ma rację: trzeba robić swoje, na przekór innym, a ciężka praca i wytrwałość wcześniej czy później zostaną docenione. W mojej głowie zawsze dudnią słowa ojca, że nie ma takich nagród i pochlebstw krytyki, które mogłyby mu zastąpić

miłość zwykłego widza. Nie obchodzą go zachwyty środowiska, kiedy film obejrzy garstka ludzi. Tata powiedział mi też: „Widocznie my, Koterscy, tak mamy i taką drogą musimy iść, żeby cały czas przeć do przodu”.

Łukasz zauważył jeszcze jedną ciekawą rzecz, mianowicie że przełamane swój wizerunek wesołka, i powiedział, że teraz chętnie zobaczyłby mnie w roli psychopaty w stylu Gary’ego Oldmana w *Leonie zawodowcu*. Pochlebilo mi to, ale przy *Gierku* odczułem, jak bardzo ta praca przenosi się na moją rodzinę. Przy trudnych rolach jestem w domu jak kwaśne albo raczej zgniłe jabłko. Ani Marcela, ani nasz syn na to nie zasłużyli. Wolę być jabłkiem słodkim i soczystym.

No tak, po zakończeniu zdjęć do *Gierka*...

... wtedy właśnie po raz drugi się rozstaliśmy. Był grudzień, miałem świętować szóstą rocznicę trzeźwego życia. Zamiast tego przeżywałem nasze rozstanie, ale tym razem wiedziałem, czego się złapać, żeby nie zatonać. Miałem swoją wspólnotę, było mi trochę lżej. Razem pojechaliśmy na pielgrzymkę do Calvi pod Rzymem, do brata Elii, niezwykle stygmatyka i mistyka, założyciela wspólnoty Apostołów Bożych, który zamieszkał w starym franciszkańskim klasztorze. Jego misją jest modlitwa za ludzi, którzy do niego przychodzą. Spotkania z bratem Elią są pełne znaków, które za jego pośrednictwem zostawia sam Pan Bóg. Kiedy po mszy święcił różańce, różaniec naszej koleżanki zmienił barwę z przezroczystej na różową. Ogromnie to przeżyła. Wspominam o tym, bo w drodze powrotnej do Polski ktoś zaproponował, żebyśmy odmówili różańcową nowennę pompejańską, zwaną modlitwą „nie do odparcia”. To najtrudniejsza modlitwa. Za jej pomocą wypraszamy u Najświętszej Marii Panny łaski, które mogłyby się wydawać niemożliwe do spełnienia. Matka Boża dała obietnicę, że każdy, kto przez kolejne pięćdziesiąt cztery dni będzie odmawiał piętnaście tajemnic różańca, otrzyma łaskę, o którą prosi. Kluczem do uzyskania łaski jest niezłomna wiara oraz wytrwałość w modlitwie. Policzyłem, że odmówienie całego różańca, czyli części radosnej, bolesnej i chwalebnej, zajmuje mi godzinę i dziesięć minut. Ponad

godzina modlitwy dziennie. Mało kto jest w stanie wytrwać przez pięćdziesiąt cztery dni z rzędu. Jest to kwestia łaski.

Było to przed Wielkanocą. Zadzwoiłem do Marceli złożyć jej życzenia, była wtedy z Frysiem u rodziców. Serce mi pękało, że w takiej chwili nie jesteśmy razem. Czułem, że Marceli też jest z tego powodu smutno. Postanowiłem odmówić nowennę pompejańską w naszej intencji, żebyśmy znowu stali się rodziną. Haczyk tkwi w tym, że intencji nie można zmienić w trakcie nowenny. Pechowo po trzech tygodniach dowiedziałem się, że Marcela się z kimś spotyka. To było jak nóż w serce. Tak mnie uraziło, że jak na koncercie życzeń zmieniłem intencję i zacząłem się modlić o spotkanie miłości życia.



Z jedenastu znanych mi osób, które zaczęły wówczas odmawiać tę nowennę, dokończyły ją tylko dwie. Jedną z nich byłem ja. Lubię doprowadzać sprawy do końca. Niedługo później dostałem rolę w filmie *Gdzie diabeł nie może, tam baby pośle* i na planie poznałem Dagmarę. Zachłysnąłem się tym uczuciem jak narkoman heroiną. Na haju zakochania latałem kilka centymetrów nad ziemią. Pojechaliliśmy razem na wakacje, było cudownie i nagle – aż trudno w to uwierzyć – po dwóch miesiącach poczułem się tak, jakby ktoś wyłączył światło. Odciał mi dopływ prądu. W środku mnie była pustka. Nie wiedziałem, co mam zrobić, jak

z tego wybrnąć, jak o tym powiedzieć, nie raniąc drugiej osoby. W pierwszym odruchu człowiek zawsze ucieka od problemów, ale nauczony na mityngach, przełamałem się i postanowiłem powiedzieć Dagmarze, co czuję. Okazało się, że ona czuła podobnie: to coś, co było między nami, po prostu zgasło. Rozstaliśmy się w zgodzie.

Marcela do dziś mnie pyta: „Ale jak to? Co się stało?”. Nie jestem w stanie wytłumaczyć, co się stało. Dziękuję jednak Bogu, że nie skrzywdziłem młodej dziewczyny. Nigdy nie traktowałem żadnej kobiety jak zabawki. Ze wszystkimi, które kochałem, wiązałem się na lata, a nie na chwilę. Już się w życiu wyszalałem, szkoda mi czasu na przelotne związki, na życie w iluzji. Nie potrzebuję drugiego człowieka po to, żeby załatać własne emocjonalne niedostatki. Potrzebuję miłości. Dzisiaj jestem przekonany, że Bóg postawił na mojej drodze tę młodą kobietę, abyśmy obydwój z Marcelą mogli zrozumieć, co tak naprawdę mamy do stracenia. Nowenna pompejańska ostatecznie zadziałała!

Zacząłem robić kolejny film i nie mogłem pojechać z Frysiem na wakacje. Zbliżały się czwarte urodziny Fryderyka, zaproponowałem więc Marceli, żeby wybrała się z naszym synkiem w fajną podróż, a ja za to zapłacę w ramach prezentu urodzinowego. Nie robiłem sobie żadnych nadziei. Myślałem, że nasze wspólne życie to rozdział zamknięty. Marcela mi powtarzała, że bym przestał fantazjować i ułożył sobie życie, no to układałem, raz lepiej, raz gorzej. Pojechali do Dubaju razem z mamą Marceli. Spędzili tam cudowny czas i po powrocie pojawiła się wokół nas jakaś dobra aura. Za każdym razem, kiedy się widywaliśmy, iskrzyło. Wróciła wzajemna czułość, bliskość, przypomnieliśmy sobie, jak wiele nas łączy. Już wcześniej Marcela zaczęła się spotykać z moimi znajomymi ze wspólnoty. Zabrali ją na pielgrzymkę do Częstochowy, w jej życiu pojawił się Bóg. I Bóg tak zadziałał, że znowu nas połączył.

Do trzech razy sztuka... Piękna puenta.

Chciałbym, żeby ta historia się zakończyła happy endem. Dla nas, ale przede wszystkim dla mojego syna. Frysio jest teraz najszczęśliwszy. Jest niesamowicie

zabawny, fajny, cudowny, kochany, kochający i umiejący wyrażać uczucia. Jego szczęście jest najważniejsze. Oczywiście – nie będę hipokrytą – cieszę się, że spełniam się zawodowo, że mam wspólnotę, która jest moim parasolem ochronnym, a przede wszystkim, że mam Boga, który zawsze stoi przy mnie. No i Marcelę, którą bardzo kocham.

Cały czas pamiętam, jak po premierze *Mayday 2* wróciłem z kwiatami do pustego domu, usiadłem na kanapie i zapłakałem nad sobą, bo nie miałem się z kim podzielić radością. Najbardziej ze wszystkiego pragnę mieć pełną rodzinę. Wiem, że przed nami długa droga. Mamy wiele różnych nieprzerobionych spraw i zdarzeń, które trzeba oczyścić na terapii. A przede wszystkim musi być w tym Bóg. Wczoraj miałem słabszy emocjonalnie dzień, nic konkretnego się nie stało, po prostu poczułem się przygnębiony. I jak na zawołanie zadzwonił Sancho, któremu objawiłem się w Medjugorie, i powiedział: „Zwróć się do Boga. Powierz Mu ten stan, zadaj sobie pokutę, która będzie cię dużo kosztowała”. Tak zrobiłem. Poszedłem wieczorem na adorację, a dziś wstałem o siódmej, żeby pójść na siłownię, od miesiąca nie mogłem się zebrać, brakowało mi motywacji. Powierzyłem tę pokutę Bogu.

Mama na czterdzieste urodziny poprosiła mojego ojca chrzestnego Zbyszka Wichłacza i wszystkie moje byłe kobiety, aby z tej okazji napisali do mnie list. Szczery, prawdziwy, bez taryfy ulgowej. O tym, jak mnie pamiętają, kim dla nich byłem, co dziś o mnie myślą. Każda z moich partnerek się zgodziła, co mnie cholernie wzruszyło. Gdzieś podskórnie cały czas tlił się we mnie lęk, że zrobiłem im krzywdę. Aniołem nie byłem, ale na ile potrafiłem, starałem się być dobrym człowiekiem. Najbardziej poruszył mnie list od Sylwii, mojej pierwszej dziewczyny, która była ze mną dziewięć lat. Często go sobie czytam. Píše w nim, że odeszła ode mnie tylko z jednego powodu: już nie mogła patrzeć, jak na jej oczach umiera ukochany człowiek, któremu nie jest w stanie pomóc. Dzisiaj Sylwia jest dyrektorką wielkiej spółki, ma dwójkę dzieci, ale napisała, że nic jej tak nie wzruszyło jak wiadomość, że zostanę ojcem. Była przekonana, że umrę, że nie da się mnie uratować, choć razem z moją mamą zrobiły wszystko, co było do

zrobienia. A kiedy dzisiaj patrzy na mnie, na moją rodzinę, syna, sukcesy, wierzy, że wszystko w życiu jest możliwe. Każdemu, kto czyta tę książkę, mówię więc na swoim przykładzie: „Tak! Wszystko jest możliwe! Z największego mroku zawsze możesz wydostać się w stronę światła”.

Natomiast mój ojciec chrzestny Zbyszek napisał mi w liście, że wiele przeżył, jak to się mówi – z niejednego pieca chleb jadł, ale u schyłku życia z ręką na sercu może mi napisać, że najpiękniejsze chwile spędził z rodziną, ze swoją córką i jej mamą.

Niedawno miałem ósmą rocznicę trzeźwości. Znowu zdmuchnąłem świeczkę i kolejny raz pomyślałem życzenie. Zgadnijcie jakie?

ŹRÓDŁA FOTOGRAFII

Według stron wersji drukowanej

- s. 8, 16, 18, 38, 40, 47, 80,85, 155, 165, 211, 214, 221, 238, 242, 244, 252, 258, 260, 268, 274, 303, 307, 308, 343 – archiwum prywatne Michała Koterskiego
- s. 10 – kadr z filmu *Pieśń wojenna*, reż. Marek Koterski, 1986 r.
- s. 59 – kadr z filmu *Dzień świra*, reż. Marek Koterski, 2002 r.
- s. 69 – fot. PAP/Stefan Kraszewski
- s. 70 – fot. KFP/REPORTER
- s. 105, 111 – fot. Krzysztof Wellman/Afa Pixx/Getty Images Poland
- s. 118 – kadr z programu *Kuba Wojewódzki*, Polsat, 2006 r.
- s. 123 – fot. Jacek Grąbczewski/AKPA
- s. 136 – fot. Radosław Nawrocki/Forum
- s. 145 – fot. Tomasz Żukowski/East News
- s. 162 – fot. VIPHOTO/EAST NEWS
- s. 174 – fot. PAP/Maciej Kulczyński
- s. 191 – <http://www.oatzakroczym.pl/>
- s. 219 – fot. Jacek Kurnikowski/AKPA
- s. 265 – fot. Robert Jaworski
- s. 278 – fot. Łukasz Telus/AKPA
- s. 284 – kadr z programu *Agent – Gwiazdy*, 2019 r.
- s. 334 – fot. Wojciech Grabowski/AKPA

Wydawnictwo Znak dołożyło należytej staranności w celu odnalezienia aktualnych dysponentów autorskich praw majątkowych do zdjęć opublikowanych w książce. Niestety nie we wszystkich przypadkach było to możliwe. Z związku z tym wydawnictwo zwraca się z uprzejmą prośbą o kontakt do wszystkich osób, które posiadają informacje przydatne pod tym względem.

SPIS TREŚCI

Rozdział 1.

Dzieciństwo, dorastanie i pierwsze kłopoty

Rozdział 2.

Matura, pierwsze chwile dorosłości i filmowi idole

Rozdział 3.

Dzień świra, pojednanie z ojcem i paparazzi

Rozdział 4.

Wielka miłość, produkcja filmowa, brown sugar i pierwszy detoks

Rozdział 5.

Życie po terapii, stacja benzynowa, powrót do heroiny i Wszyscy jesteśmy Chrystusami

Rozdział 6.

Kanapa u Kuby, koniec wielkiej miłości, TOPtrendy i wyrok

Rozdział 7.

Nina, Misiek Koterski Show, śpiew i dziadek Jerzy

Rozdział 8.

Zamek z piasku, przyjaźń, powrót do Łodzi, Pierwsza miłość i ostatni dzień ćpania

Rozdział 9.

Wielka łaska, trzeźwienie, demony przeszłości i pozdrowienia od Billy'ego W.

Rozdział 10.

Teatr, palec boży, prawo jazdy i cud

Rozdział 11.

Spełnione marzenia, strzała Amora, to nowe życie i pomnik Fryderyka

Rozdział 12.

„Historia żołnierza”, Adaś Miauczyński, informacja o wnuku i nagroda

Rozdział 13.

Skok na bungee, kopniak od Gołoty, mityng na wyspie Lanzarote i rozstanie

Rozdział 14.

Medjugorie, autokarowa wycieczka, uzdrowienia i zgubiony portfel

Rozdział 15.

Powroty, Gierek, wielka krytyka, pompejanka i happy end?

Źródła fotografii



E-book dostępny na
woblink.com

Przeczytaj, co o książce sądzą inni czytelnicy, i oceń ją na
lubimyczytac.pl